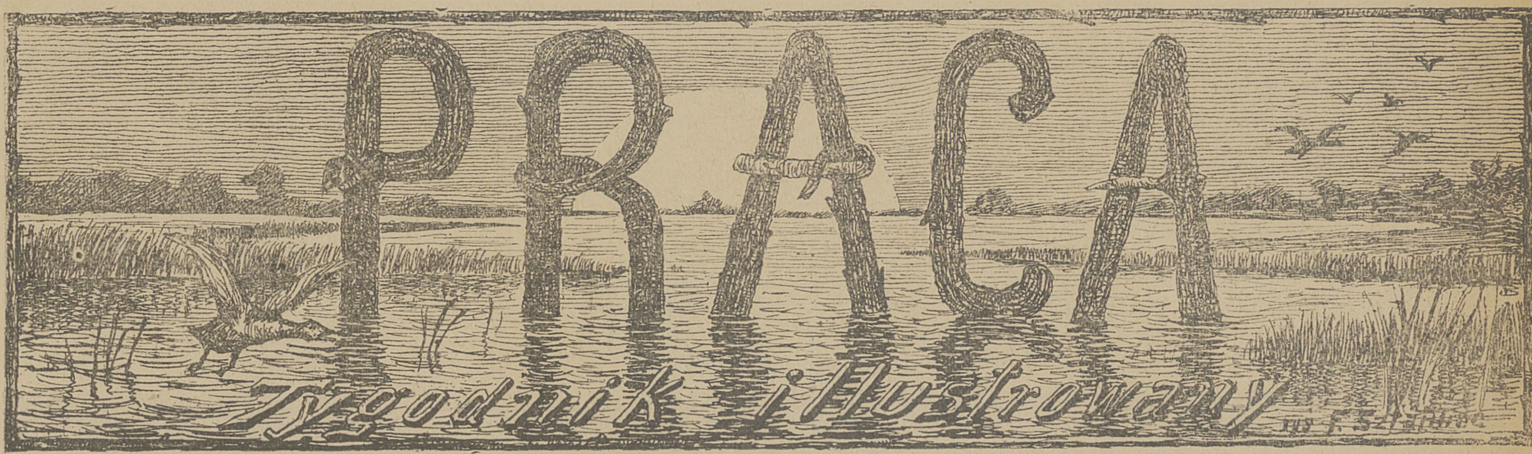
Abonentów 13,000.

Nr. 12. Poznań, Niedziela 24-go Marca 1901 r. Rok V.



*Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie **1,25 mk.**; na poczcie w Austro-Węgrzech **1 kor. 47 hal.***
Pod opaską:** w Niemczech **1,90 mr.**, w Austro-Węgrzech **2 kor. 30 hal.**, za Oceanem **1 dolar 25 cent.
Redakcya i Administracya „Pracy“ znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. Telefon Nr. 1246.

Manuskryptów nie zwraca się.

Nowa konfiskata

pozbawiła Szanownych Czytelników naszych obfitego w treść numeru 11 „Pracy.“

Tylko kilkanaście numerów wydostało się po za mury miasta Poznania, reszta spoczywa w gmachu tutejszej policyi.

Polakożercy

szaleją jak derwisze z radości, że wydawnictwo „Pracy“ znów ciężką ponosi stratę *i że pasmo myśli, które nas wiąże z przyjaciołmi naszymi, powtórnie przecięto. —*

Jedno z pism najbardziej zawziętych na wszystko, co tchnie duchem polskim, żydowsko-hakatystyczna „Posener Zeitung“, zapytuje się już nawet w swem nikczemnem, iście żydowsko-szowinistycznem rozradowaniu, czyby „Pracy“ nie można jako zadławić i zdusić zupełnie.

Przebiegła, żydowska „Posenerka“, umiejąca żebrać o łaskę u zwierzchności, które poprzednio zohydzała, wie bardzo dobrze, że mocą prawa nie można *pisma zamknąć, pociesza się więc przynajmniej tą nadzieją, że wskutek powtórnej konfiskaty i to właśnie krótko przed końcem kwartału — abonentów się zniechęci, a wskutek tego „Praca“ upadnie...*

Lecz nie twoje doczekanie, marny scribifaxie żydowski, skomlący hymn temu, który cię lepiej zapłaci, ty, którego pochwała i życzliwość byłaby dla nas hańbą.

Nie bolesnem też i nie przygnębiającem, ale chlubnem dla nas jest pragnienie hakaty i żydostwa, ażeby „Pracę“ w jakibądź sposób zgładzić ze świata i zgłuszyć raz na zawsze głos śmiały a szczerze polski, głos pokrzywdzonego narodu, głos wołających o sprawiedliwość, głos, którego dobitnem echem była zawsze i będzie „Praca,“

Pogardy godna taka uciecha z powodu konfiskaty, a śmieszna i niewczesna taka żądza zniszczenia naszego pisma; uciecha ta podła i nikczemna nie osłabi naszego ducha i nie złamie woli szczerej służenia nadal rzetelnie społecznemu dobru i polskim ideałom.

Cały też szereg przyszłych numerów „Pracy“ będzie miał treść bogatszą niż dotąd, a to, co Szanowni Czytelnicy nasi z powodu dwojakiej konfiskaty chwilowo stracili, powetujemy i wynagrodzimy w dwójnasób w następnych zeszytach. *„Co się zwlekło, nie uciekło“, mówi staropolskie przysłowie i nie uciekły naszym przyjaciołom piękne rzeczy, zawarte w dwóch zabranych przez policyę pruską nakładach „Pracy“.* Znajdą ie Czytelnicy **w przyszłych tem obfitszych zeszytach** *obok tego, co każdy nowy tydzień przynosi i gromadzi,* a liczne, piękne illustracye reszty dopełnią.

Zbyt wiele też mamy wiary w ducha polskiego naszych Czytelników i zaufania do ich szczerych narodowych uczuć, ażebyśmy przypuszczać mogli, iżby poskąpili nam swej życzliwości, i opuścili nas za to, że słowa „Pracy“ z wymaganiami prokuratoryi i policyi pruskiej niekiedy są w rozdźwięku, rozterce i zwadzie.

Tak, wierzymy i ufamy, iż życzliwość, że spojnia uczuć i myśli wiążąca Szanownych Czytelników z „Pracą“, że przyjaźń zadzierżgnięta i utrwalona pomiędzy wydawnictwem naszem, a kilkunastu tysiącami jego zwolenników będzie *potężniejszą nad wspomnianą powyżej, wygłoszoną bezwstydnie w „Posenerce“ polakożerczą żądzę zrujnowania „Pracy“, której byt i rozwój*

nie od łaski hakatyzmu i żydostwa,

ale od szlachetnego poparcia szczerze, patryotycznie usposobionych rodzin i obywateli zależeć chce i zależeć będzie.

Czytelnicy! Zadajcie kłam nadziei polakożerczej - hakatystyczno-żydowskiej „Posenerce"; pokażcie, że podwójna konfiskata nie zniechęca Was do dalszego abonowania i że wskutek tego „Praca" nie upadnie; zadajcie kłam temu hakatystyczno-żydowskiemu przedwczesnemu krakaniu o upadku „Pracy" — **przez tem liczniejszy abonament.**

Niech każdy z Was, Czytelnicy nie tylko, że niezaniedba odnowienia przedpłaty, ale niech się z Was każdy postara jeszcze o nowego przedpłaciciela, nowego bojownika za sprawę dobrą i szlachetną.

Dajcie dowód Czytelnicy, że żadna konfiskata pisma polskiego zniszczyć nie zdoła; zaagitujcie za „Pracą" wszędzie i przy każdej sposobności a mianowicie teraz, byśmy przy rozpoczęciu nowego kwartału z dumnie podniesionem czołem w imieniu Waszem śmiało rzec mogli, że „Praca" silnie opartą jest na opoce twardej i niewzruszonej, a tą opoką to Wy Czytelnicy, to tysiące gorących serc polskich, których nie złamie żaden szturm hakaty i nie — zniechęci żadna konfiskata — ani też oziębi złowrogi, piskliwy harmider żydostwa.

Właśnie te przejścia bolesne, które dziś przebywa nasze pismo, te gromy, które na nas spadają — niech będą podnietą dla wszystkich naszych Przyjaciół do tem serdeczniejszego zaopiekowania się „Pracą", do tem energiczniejszego zjednywania nam zwolenników i nowych abonentów.

„Praca" nie nawoływała nigdy do gwałtu lub buntu, **bo takie nawoływanie byłoby oczywistą zdradą,** — *ale nie zdradą stanu czyli państwa pruskiego,* — **lecz przedewszystkiem zdradą własnej sprawy polskiej,** *a pod tym względem król. prokuratorya może być spokojną!*

Natomiast polakożerczą zachłanność hakaty, oraz przemożny zalew germanizacyi i cyniczny a piskliwy harmider rozpasanego żydostwa — odpierać będzie „Praca" jak dotąd tak i nadal zawsze na drodze legalnej i prawnie dozwolonej, ale też całą siłą, w czem jej dopomóż Boże.

Czytelnicy — do szeregu więc pod sztandarem „Pracy!"

Redakcya.

Jeszcze nie zdążyliśmy odpowiedzieć hakatystyczno - żydowskiej Posenerce" na jej tak nieludzkie jak też bezwstydne podrygi radości nad możliwym upadkiem „Pracy," jeszcześmy nie ochłonęli z powtórnej konfiskaty i ustawicznych rewizyi, a oto znowu tj. dziś, w poniedziałek dnia 18-go bm. w wieczornej godzinie przychodzi do nas dwóch tajnych komisarzy z wydziału policyi politycznej w celu aresztowania już trzeciego redaktora naszego pisma, p. Teofila Bestyńskiego.

W naszych oczach zabrano nam redaktora i odprowadzono natychmiast do więzienia, nie zezwalając nawet na pożegnanie się z żoną i dziećmi.

Mianowicie dzisiejsze zabranie nam redaktora do więzienia spadło na nas jak grom z pogodnego nieba, bo artykuły przez prokuratoryą inkryminowane, za które p. Bestyński odpowiada, naszem zdaniem nie zawierają zgoła nic karygodnego, a już w żadnym razie tak niebezpiecznego, iżby mogło pociągnąć za sobą jakąś nadzwyczajną karę więzienną. To też nie marzył p. Bestyński o jakiejśkolwiek ucieczce, zwłaszcza, że nie był dotąd nigdy karany, a nadto że ma żonę i dzieci.

Wdrożone śledztwo wnet wykaże popełnioną zbrodnię, lecz mamy nadzieję, że z tej wielkiej chmury — nie będzie zbyt rzęsistego deszczu.

Cześć zasłudze.

Dzień 11 marca r. b. na długo pozostanie w pamięci całego zaboru pruskiego. W dniu tym Poznań polski wybierał posła do parlamentu i ze sposobności tej skorzystał, aby dać dowód siły, rozumu politycznego, jedności i zgody.

Znaczenie znakomitego zwycięstwa polega na tem, że pod hasłem narodowem poszło do urny wyborczej przeszło półtora tysiąca wyborców polskich więcej, niż w r. 1897 pomimo najzaciętszej agitacyi stronniczej zgromadzono na obydwóch kandydatów polskich.

Udział wyborców, jakkolwiek zwycięstwo zgóry było po naszej stronie, był olbrzymi, a przenosił 90%. Znaczy to, że zaledwie co dziesiąty wyborca Polak nie stawił się do urny wyborczej. Niemcy pomimo szalonej agitacyi wyborczej, pomimo oszukańczych odezw polskich, nawołujących do głosowania na niemieckiego kandydata, doprowadzili do tego, że z pomiędzy każdych dziesięciu, ośmiu ich głosowało.

Podkreślamy więc raz jeszcze doniosłość tych wyborów, jako niezaprzeczonego dowodu, że społeczeństwo nasze nie chce walki pomiędzy sobą, nie chce walki stronnictw, lecz chce zgodnie iść drogą rozwoju politycznego i ekonomicznego pod hasłem narodowem i demokratycznem.

Pismo nasze oddawna to twierdzi i do tego zastosowuje zakres swego działania. Czytelnicy „Pracy" przypominają sobie dziś zapewne, że wtedy, gdy kwestya kandydatów zdawała się bardzo zawikłana, myśmy pierwsi wystąpili z kandydaturą dzisiajszego posła naszego, p. mecenasa Chrzanowskiego, wskazując, że tylko w zakresie idei, które on reprezentuje, możliwy jest postęp, zjednoczenie sił polskich, zamiast rozstrzelenia. I głos powołanych instancyi wyborczych uznał te zapatrywania za słuszne, a cały ogół poszedł zadokumentować zgodę przy urnie wyborczej.

W zwycięstwie kandydata zjednoczonych Polaków w Poznaniu upatrujemy zwycięstwo tych idei, które i nam są drogie, i nam przyświecają w pracy społecznej i publicystycznej.

Jak tego dowód mamy w szeregu listów naszych czytelników, przyjaciele polityczni „Pracy" gorąco się zajmowali sprawą przeprowadzenia wyborów i ich też niewątpliwie zabiegom przypisać można ten niezmiernie wysoki procent obywateli Polaków, którzy spełnili swój obowiązek jako wyborcy.

„Cześć zasłudze!" — piszemy w nagłówku tego artykułu. „Cześć zasłudze!" — powtarzamy, tem świetnem zwycięstwem wyborczem bowiem obywatele-wyborcy Poznania i okolicy zaskarbili sobie wdzięczność całego społeczeństwa, bo dali przykład, jak spełniać obowiązek narodowy i pod jakiemi hasłami zgoda powszechna jest możliwa.

Niechajże przykład wyborców poznańskich przyświeca wszystkim wyborcom polskim i w przyszłych walkach wyborczych o mandaty polskie, niech ten rozum polityczny, którego oni dali dowód,

oświetli kraj nasz cały i do jaśniejszej przyszłości go prowadzi; niech wysokie poczucie obowiązku, którego oni dali dowód, jedna im wszędzie uznanie i budzi w całym kraju echo:

Cześć zasłudze! M.

Pożegnanie Patrona.

Podniosłą uroczystość obchodziły nasze Kółka rolnicze na zwykłem dorocznem walnem swem zebraniu: oto pożegnanie p. Maksymiliana Jackowskiego, długoletniego patrona Kółek rolniczych, męża zasłużonego Ojczyźnie, który swą pracą mrówczą za życia wystawił sobie pomnik swych zasług.

Zasługi jego wyliczać byłoby zbytecznem. Zna je każde polskie serce na Wielkopolskiej ziemi, tej ziemi, której nikt może więcej od niego nie ukochał i nie uposażył w owoc swej miłości i pracy. Pracował cicho, skrzętnie a stale. Pracował z Bogiem dla ludzi. To też dziś, gdy Kółka rolnicze, chluba wielkopolskiego zmysłu społecznego dla wielkiej i wspaniałej gromadzą się uroczystości, jednem tylko słowem wyrazić możemy wdzięczność społeczeństwa — słowem: „Bóg zapłać!“

Po poprzednio o godz. 10 odprawionej mszy św. w kościele św. Marcina na intencyą zebrania, otworzył o godz. 11 pan patron M. Jackowski walne zebranie na sali Bazaru kilku słowy powitania, dając wyraz radości za tak liczny zjazd, jakiego dotąd nie było. Dzięki składał za gorliwość w sprawach publicznych, jakiej szanowni delegaci i członkowie dają dowody. Oby Pan Bóg tej zbożnej pracy nadal nie odmawiał błogosławieństwa!

Po tych słowach odczytał pan patron *J. Chłapowski,* zastępca ustępującego patrona Jackowskiego adres i błogosławieństwo nadesłane przez X. Arcypasterza w słowach następujących:

„Wielce Szanownemu, a Nam tak umiłowanemu Patronowi w uroczystej chwili, gdy składa brzemię Swoich obowiązków na młodsze ramiona, przesyłam z wyrazem głębokiej wdzięczności za tak długoletnią, gorliwą, niestrudzoną pracę około podniesienia duchowego, moralnego i materyalnego ukochanych Moich owieczek stanu włościańskiego wraz z gorącą podzięką Arcypasterskie Moje błogosławieństwo i to tak dla Jego czcigodnej osoby jak i dla dzieci Jego duchowych: Kółek włościańskich.

Dan w Poznaniu, d. 11. Marca 1901.

Arcybiskup Gnieźnieński i Poznański
† Floryan.

Najrzewniejszą i najwznioślejszą chwilą w przebiegu całego zgromadzenia była chwila, gdy sędziwy Patron żegnał się z ukochanemi Kółkami i wygłaszał, rozrzewniony, złote słowa mądrości, okraszone perłami prawdziwego uczucia i serca.

Po przemówieniu jego wicepatron, pan Antoni Dembiński z Węgierc, złożył Patronowi prześliczny adres *imieniem Kółek włościańskich ziemi kujawskiej,* tej, jak zaznaczył, kolebki naszego rodu, i przemówił do niego temi ciepłemi słowy:

„Winniśmy cześć i wdzięczność Czcigodnemu Panu Patronowi Jackowskiemu, który nie żałował trudu w zbożnej pracy, a praca ta, tchnąca miłością ziemi naszej, miłością tych, którzy na niej i dla niej pracują, skupiała szczęśliwie wszystkie żywioły. Jakiekolwiek były prądy polityczne i taktyczne, jakiekolwiek walki wewnętrzne, rozterki i nieporozumienia, praca, w której przodował niezachwianie i dzielnie nasz drogi Patron, nie ustawała, obejmowała coraz szersze kręgi, pogłębiała naszą wiedzę zawodową, wzmacniała charaktery, wzmacniały się podstawy naszego bytu, — wzmagała się siła odporna społeczeństwa. Każde nowe Kółko było ogniwem w łańcuchu, który objąć powinien potężnie całość, zespolić nas wszystkich w karne i pracowite szeregi.

„Błoga, wdzięczna i w skutki bogata to praca Szanownego Pana Patrona, któremu Bóg też nie poskąpił błogosławieństw. Z pogodą i poczuciem dobrze spełnionego obowiązku możesz patrzeć, Czcigodny Patronie, na drogę swego życia, pełną znoju a tak szczęśliwie przebytą.

„Otaczamy Ciebie dzisiaj, niosąc Ci swe serca za serce, które dla ludu miałeś i masz.

„Otaczamy Ciebie jako swego ojca i przewodnika, który wskazywał wzniosły i wielki cel, a zarazem uczciwe i rozumne środki do celu. Stoimy społem, aby zagrzać się Twem ciepłem, natchnąć Twoim duchem i pójść Twoimi drogami. Tu nasze zbawienie! Im więcej damy światła, tem jaśniej patrzeć będziemy wszyscy w przyszłość. Budzić nowe siły na szerokich niwach ojczystych, wykrzesać nowy ogień, ćwiczyć i uczyć dźwigania słabszych i opuszczonych, uczyć pracowania w ziemi, bo to praca wdzięczna i tak pożyteczna. To obrona nasza, to twierdza niezdobyta! Ty to, Czcigodny Patronie, zrozumiałeś, odczułeś. Ty w tym duchu działałeś! Cześć ci za to, Panie Patronie!

„Niech żyje!“

Nieustające okrzyki „Niech żyje!“, które zabrzmiały w odpowiedzi, wywołały łzy w oczach sędziwego Patrona — łzy rozrzewnienia.

Najpiękniejszą jednak była chwila, gdy na estradzie zjawił się mówca w siermiędze, aby w imieniu włościan-gospodarzy złożyć zacnemu ich przywódzcy i nauczycielowi dzięki i hołd uznania za pracę tak zbożną i obfitą w owoce. Był nim gospodarz Michał Roszak z Zalesia, członek Kółka Wielko-strzeleckiego, który wśród niesłychanego entuzyazmu zebranych współwłościan wygłosił na cześć p. Patrona Jackowskiego samodzielnie napisany wiersz.

Nikt nie zdolen opisać zapału, jaki po wygłoszeniu tego wiersza panował na sali.

Ze łzami w oczach dziękował sędziwy Patron za te wzniosłe dowody hołdu i uznania jego pracy obywatelskiej.

Na zebraniu, które się później w mniejszem gronie odbyło na sali Bazarowej, grono przedstawicieli naszego społeczeństwa w serdecznych przemówieniach składało hołd zasługom czcigodnego Patrona.

Nowo obrany poseł, pan mecenas Chrzanowski w te przemówił słowa:

„Dzisiaj ze spokojem patrząc na to, co się u nas działo przed 100 laty — widzimy wielkich ludzi XVIII wieku. To samo będzie za lat sto — i ci, którzy będą patrzeć, będą widzieć obok Marcinkowskiego dziś pochyloną i przygasłą, a kiedyś za lat sto, wspaniałą postać Patrona Kółek, a dziejopisowie nasi, spisując wielkości XIX wieku, zaznaczą, że to był wykonawca i dopełniciel programu Marcinkowskiego.

„Bo kiedy Marcinkowski, ogarniając społeczeństwo całe, spełnił dużo, przedewszystkiem dla miast, to Patron Kółek rolniczych zajął się przedewszystkiem ludem włościańskim.

„*I wtedy, za lat sto, będą to pewnie dni słoneczniejsze, swobodniejsze, i wtedy społeczeństwo pomyśli, by pomniki ze spiżu i marmuru swoim wystawić,* gdzie?— ***w Poznaniu*** — a wtedy Poznań, w którego imieniu mam zaszczyt przemawiać, stawiając postać Marcinkowskiego na wielkim jakim placu — złoży na nim hołd i Patronowi!“

I redakcya „Pracy“, składając — aczkolwiek z powodu konfiskat — spóźniony hołd zasługom Czcigodnego Patrona, łączy się z głosem powszechnym, który te zasługi zrozumiał i nigdy o nich nie zapomni. *R. K.*

Obrachunki.

Lud polski na Górnym Śląsku doczekał się wreszcie, że i o nim prowadzono żywą dyskusyę w sejmie pruskim. Mógł przy tej sposobności ocenić swych reprezentantów, jak na to zasługują. Niestety i nasi politycy z Koła Polskiego przy tej sposobności pokazali ciemną stronę swego politycznego programu — o ile tyczy spraw górnoślązkich.

Ze strony posłów centrowych z Górnego Śląska przemawiał p. dr. Heisig i ks. Glowatzky.

Dr. Heisig wygłosił „w obronie“ ludu polskiego na Górnym Śląsku mowę, która jest po prostu moralnym policzkiem, wymierzonym narodowemu poczuciu tego ludu. Satysfakcyą za to dać sobie lud może tylko przy wyborach. Mówca oświadczył:

„Chciałbym tu wyrazić prośbę, ażeby takie trudności, które Niemcom pożytku nie przynoszą, a Polakom w niczem nie szkodzą, w przy-

szłości ustały, — tem więcej, że nawet nie mamy Polaków pomiędzy nami, tylko po polsku mówiących Górnoślązaków.“

Jeśli p. Dr. Heisig zaprzeczył, jakoby Górnoślązacy byli Polakami, to nierównie dalej posunął się ks. Glowatzky, bo ten już wprost twierdził, że oni są najlepszymi Prusakami.

Oto ustęp jego mowy:

„Górnoślązacy zawsze byli dobrymi Prusakami, wskazuje na to ich zachowanie się w czasie polskich powstań w latach 1830, 1848 i 1863. System szkólny obecny jest owocem walki kulturnej. Duchowieństwo górnoślązkie było zawsze lojalnem i oddanem tronowi. Mówca przytacza na dowód, że górnoślązkie duchowieństwo katolickie jest pruskiego ducha, fakt palenia książek polskich do nabożeństwa przez OO. Franciszkanów, ponieważ w książkach tych była litania o wybawienie z pruskiej i moskiewskiej niewoli. — Mówca zwraca się do rządu z prośbą, aby pozwolił duchownym działać! Kościół i państwo dobrze na tem by wyszło.“

Tak przemawiali „godni“ reprezentanci ludu górnoślązkiego.

A jakże odezwał się mówca Koła polskiego, poseł Jażdżewski? Czytając jego mowę, nie chcieliśmy wierzyć oczom, sądziliśmy, że mamy ze sfałszowanem sprawozdaniem do czynienia. Ale niestety — poseł Jażdżewski tak mówił:

„Przyznaję, że i na Górnym Ślązku stosunki bardzo się zaostrzyły, nas atoli posłów o to winić nie można. Agitacyę polską na Ślązku uprawiają wyłącznie redaktorowie, dla których sprawa ta jest kwestyą chleba! (Skandal! Red.) Redaktorzy ci nie znaleźli w Księstwie zajęcia, więc poszli na Ślązk do gazet górnoślązkich i tam stali się agitatorami. My zaś z tą agitacyą nic nie mamy wspólnego i *szanujemy zupełnie prawa Centrum do Ślązka* (skandal!) Tak samo ma się rzecz z Warmią. Zapewniamy też kolegów z Centrum, że *nie będziemy popierali dążności, któreby ich wyparły ze Ślązka!*“

Bardzo nam boleśnie ze względu na Czcigod. Prez. Koła oraz na innych posłów, ale interes publiczny nakazuje nam obrachować się za te słowa z posłem Jażdżewskim, jak na to zasługuje. Bo jeszcze przemówienia Niemców pojmujemy. Skoro lud polski na Górnym Ślązku wybrał sobie na posłów Niemców, to się też musi pogodzić z konsekwencyami tego faktu; musi patrzeć na tych „swoich“ reprezentantów bezsilnie, gdy jeden z nich odmawia mu prawa do nazywania się ludem *polskim*, a drugi zapewnia o wiecznej jego lojalności i wierności wobec Prusaków.

Lud polski przy najbliższych wyborach potrafi wyciągnąć z tego faktu odpowiednie wnioski i da dowód, że jest ludem polskim, który ataki hakatyzmu na ukochaną mowę polską tak samo dobrze odczuwa, jak jego bracia pod całym zaborem pruskim.

Jeśli jednak powiadamy, że łatwo nam zrozumieć, gdy Niemiec-poseł stara się zaprzeć istnienie narodowości polskiej, to nie możemy tego powiedzieć o Polaku, który mniej więcej to samo wygłasza.

Nie możemy powstrzymać wyrazu *głośnego oburzenia* na widok tego, gdy poseł-Polak w dyskusyi zabiera takie stanowisko, jak gdyby ten lud polski na Górnym Ślązku był jakimś obcym, nie-polskim, lub pół-polskim ludem — jak gdyby przez narodowość naszą miał być odepchnięty od pnia macierzystego i oddany w posiadanie obcym żywiołom ze słowami: „Macie, róbcie z nim co wam się podoba — my ubolewamy nad tem sami, jeśli ten lud chce się gwałtem nazywać polskim. My nigdy nie staniemy po jego stronie — natomiast zawsze stać będziemy przy was.“

A jednak w zacytowanej powyżej mowie — upiększonej nadto wysoce nietaktownymi wycieczkami przeciw redaktorom polskim, którzy rzekomo na Górnym Ślązku szukają kawałka chleba i dlatego tylko agitują — stanowisko takie zajął poseł Jażdżewski.

Poseł Jażdżewski, który tak chętnie stara się odgrywać rolę dyplomaty na trybunie parlamentarnej, powinien do tyla znać stosunki naszego społeczeństwa i usposobienie całego ogółu, aby się nie narażać na to, żeby głośny protest oburzenia całego społeczeństwa, będący odpowiedzią na jego wywody w sprawie agitacyi polskiej na Górnym Ślązku — doszedł aż do uszu ministrów pruskich. My wiemy, co poseł Jażdżewski mógłby *privatim* przytoczyć na swoją obronę: powiedziałby zapewne, że „względy polityczno-taktyczne“ wymagają, aby społeczeństwo nasze przez usta swych posłów oświadczyło się przeciw agitacyi na Górnym Ślązku, bo w razie przeciwnym możnaby się spodziewać pogorszenia ucisku w Księztwie Poznańskiem. Lecz nieudolna to i niepolska dyplomacya!

My wszyscy — na Górngm Ślązku — czy w Księztwie — czy też w Prusach Zachodnich — wszędzie jesteśmy jednem i tem samem społeczeństwem i to społeczeństwo energicznie musi zaprotestować przeciw takiemu sztucznemu wytwarzaniu prowincyonalistycznych programów, jakie kierowały słowami posła Jażdżewskiego.

To społeczeństwo *zastrzedz się musi wyraźnie* przeciw innemu traktowaniu jego spraw politycznych jak z punktu ogólnego. *Każdy z posłów naszych jest mandataryuszem nie swego okręgu wyborczego i nie Księztwa Poznańskiego, jako prowincyi, ale jest mandataryuszem społeczeństwa polskiego* w zaborze pruskim, powiązanym nierozerwalnymi węzłami ze wszystkiem, co losów tego społeczeństwa dotyczy.

Dlaczegóż to posłowie nasi tworzą „Koło *polskie*“, a nie „poznańskie“ lub „poznańsko-zachodnio-pruskie?“

Bo mają reprezentować interesy ludności polskiej bez względu na to, na jakim terenie interesy te się ujawniają i czy na Górnym Ślązku, czy w Poznańskiem lub

w Prusach, czy na wychodźtwie wreszcie.

Czasby już było na zawsze zerwać z tą taktyką odgraniczania się interesami jedynie Księztwa i Prus Zachodnich z uszczerbkiem Górnego Ślązka. *Odrodzenie narodowe Górnego Ślązka jest poczęści faktem dokonanym* lub się już dokonywującym. Nie jesteśmy za bezwzględną walką z centrum, ale *jeśli to centrum na Górnym Śląsku dobrowolnie nie ustąpi paru mandatów dla Polaków, jako Polaków, to je utraci wszystkie prędzej lub później.* Blizką jest chwila, gdy wśród posłów naszych staną posłowie polscy z Górnego Ślązka: niewolno nam czekać aż oni zapytają: Gdzież dla nas jest miejsce w „Kole polskiem."

Lud polski jest wszędzie jeden i ten sam, a ci, którym dano go reprezentować w obliczu świata, **niech się nie ważą zapierać tej jego jednolitości, aby w stanowczej chwili lud ich się nie zaparł.** Zwracamy to wyraźnie pod adresem posła Jażdżewskiego i mamy to moralne przeświadczenie, poparte licznemi głosami z najrozmaitszych kół ludności, że mówimy to w imieniu całego tego ludu polskiego od Pucka do Mysłowic.

Precz z prowincyonalizmem, który każe nam uważać braci naszych z Górnego Ślązka za coś innego politycznie od nas samych w Księztwie Poznańskiem! Precz z obłudnem umywaniem rąk przed zarzutami, że z Księztwa idzie agitacya polska w dzielnice Piastów! *Dałby Bóg, aby te zarzuty były słuszne:* moglibyśmy uważać je za największy zaszczyt dla całego Księstwa! Dążyć powinniśmy ku temu, aby jeden duch, jedna gorącem ukochaniem sprawy owiana świadomość narodowa ogarnęła cały Śląsk, Księstwo i Prusy Zachodnie i zniosła istniejące między nimi granice, które wytworzyła dłoń obca i własne nasze przesądy.

Vester.

Do Braci Górnoślązaków.

Niniejszy numer naszego pisma, poświęcony specyalnie sprawom polskim na Górnym Śląsku, był właśnie w przygotowywaniu, gdy nas zaskoczyła znana niestety, aż za dobrze znana, mowa posła Jażdżewskiego o Górnym Śląsku i agitacyi polskiej w tamtych stronach.

I przyspieszyliśmy chwilę wydania numeru, aby z naszych tu stron przelecieć ku Wam, bracia na Górnym Śląsku, z jaskółczą wieścią, że w Wielkopolsce wszystkie serca bratnie dla was żywią uczucia i że całą naszą prowincyę ogarnęła jedna fala oburzenia przeciw temu, kto śmiał twierdzić, że my nie chcemy ramię obok ramienia z Wami w jednym szeregu iść bronić wobec germanizacyi jednej wspólnej naszej sprawy.

Jak trafnie powiedział jeden z posłów niemieckich na przesiąkłe prowincyonalistycznym duchem wywody posła Jażdżewskiego, *takich ludzi zmiecie z ich miejsc pierwsza fala rozbudzonej samowiedzy narodowej.*

Nasze hasło brzmi coraz głośniej i coraz donośniej i to hasło zbliża nas coraz bardziej: Poznańskie ze Śląskiem, Prusy królewskie z Poznańskiem.

Lecz przejmuje nas niejako uczucie wstydu w chwili, gdy do Was, bracia na Górnym Śląsku, zwracamy się dzisiaj w imieniu Poznańskiego. Wstyd nas przejmuje i rumienimy się za tych, co niebacznie, dla przypodchlebienia się obcym, wypierają się łączności z Wami.

Rok temu rektor, pan hrabia Tarnowski, odmówił przyjęcia daru Górnoślązaków dla wszechnicy Jagiellońskiej, aby nie dać powodów, że „oficyalne sfery polskie" solidaryzują się z dążeniami Waszymi; dziś oto oficyalny reprezentant tylko okręgu krotoszyńskiego (nie całego Księstwa czasem!) wypiera się łączności z ruchem polskim na Górnym Śląsku.

W tych postąpieniach jest system, — *system zły, niepolityczny, nienarodowy.* Ojczyzna nie oficyalna, nie paktująca z wrogiem, lecz pełna wiary w przyszłosć i w siły własne i walcząca w obronie najświętszych ideałów, protestuje przeciw temu systemowi, bo właśnie w Was, w Górnym Ślązku, chce znaleść oparcie dla ducha polskiego, oparcie najpewniejsze — w setkach tysięcy piersi.

Ludu górnośląski! Przez sześćset lat byłeś wierny swemu polskiemu pochodzeniu, nie zatraciłeś ani swej polskiej mowy, ani poczucia przynależności do plemienia polskiego, więc i teraz pozostań wierny sztandarowi swemu, choć ten oto poseł w imieniu chyba — żydów krotoszyńskich wyparł się łączności z Górnym Śląskiem. *Posła Jażdżewskiego, który takiem powiedzeniem skalał usta swe, lud polski się wypiera i nie uznaje go za prawdziwego tłomacza swych uczuć;* nie w imieniu społeczeństwa polskiego i nie w imieniu posłów polskich przemawiał on, ale w imieniu tych wszystkich, którzy zawsze gotowi byli za cenę komplementu ministra i — ustępstw *na papierze,* wyrzec się spójności z ludem polskim, stać się głuchymi na to, czego dusza ludu naszego pragnie...

Nie w imieniu społeczeństwa polskiego, ale w imieniu tej właśnie garstki ugodowców przemawiał poseł Jażdżewski, którą przy pierwszej okazyi zmieść musi i zmiecie z powierzchni politycznej pierwszy powiew samowiedzy ludu.

Woła też już dziś wielu wyborców, że za krzywdę wyrządzoną Górnoślązakom poseł Jażdżewski zapłacić musi mandatem swym i że też istotnie zapłaci! Takie zadośćuczynienie — mówią — winien dać lud poznański braciom z Górnego Ślązka.

Lud polski wszędzie jest jeden, a kto tego pierwszego dogmatu niepodzielności naszego narodowego ducha nie uznaje, ten nie godzien być posłem, ten nie godzien być obrońcą sprawy polskiej! *Niech idzie do obcych — niech mu centrowcy dadzą mandat, Polacy bowiem stracili do niego zaufanie.*

Dosyć tych — ukłonów, kompromitujących nietylko osobę posła, ale i — naród.

A wreszcie jedna *prośba* do posła Jażdżewskiego!

Po tej skandalicznej kompromitacyi, za którą zresztą przy najbliższych wyborach mandat utraci, prosimy posła Jażdżewskiego, aby nigdy już i w żadnej okoliczności nie zabierał głosu w imieniu Polaków, bo ze strony polskiej prasy, którą sobie on tak lekceważy, spotka go jeszcze boleśniejszy i dotkliwszy obrachunek, niż teraz go spotkał.

Kto swemi niebacznemi przemówieniami umiał tak głęboko zranić duszę swego społeczeństwa, temu, bez względu na jego dostojeństwa społeczeństwo przez usta tej pogardzanej prasy zawoła takie *quos ego!*, że na przyszłość języka w ustach zapomni, gdy będzie zamierzał z trybuny parlamentarnej znowu obrażać narodowe poczucie Polaków.

Ze względu na sejmowe Koło Polskie, w którem zasiada szereg godnych i szanownych mężów pod przewodnictwem zasłużonego patryoty, przykro nam, że wobec jednego z jego członków zmuszeni jesteśmy zastosować tak niezwykle ostrą krytykę i napomnienie, ale — mówiąc otwarcie — przypuszczaliśmy, że to Koło w jakikolwiek bądź sposób da społeczeństwu zadośćuczynienie za słowa posła Jażdżewskiego i zaznaczy, że się z nim nie solidaryzuje. Skoro się tak, niestety, nie stało, zwracamy jedynie tylko uwagę na to, jak niebezpiecznym dla powagi posłów eksperymentem jest wywoływanie zatargów z prasą i chęć zmierzenia, który z tych czynników, prasa, czy posłowie, mają większy wpływ w społeczeństwie. Unikać trzeba, powtarzamy, tych zatargów — a co do spraw Górnego Śląska skłonić się wobec wyraźnej woli społeczeństwa.

Ordon.

Sprawa polska
na Górnym Śląsku.

Centrowcy, drżący w panicznym strachu, że im się z rąk wysuną mandaty polskiego ludu górnośląskiego; poseł „polski“, wyprzysięgający się łączności z agitacyą polską (jest to termin posła Dr. Jażdżewskiego dla oznaczenia narodowego odrodzenia Śląska); a obok tego lud górnośląski, który chce być polskim i jest polskim — który tak gorąco i rozumnie czuje i myśli, jak to się z licznych korespondencyi niniejszego numeru przekonać można — jest to zaiste widowisko polityczne godne bogów. Ani centrum, ani ów poseł polski, Dr. Jażdżewski, który z taką gotowością odstępuje całe prowincye polskie na rzecz obcych, jakby conajmniej miał mandat do jeneralnego zlikwidowania interesów polskich w Europie — te obie strony, prowadzące ożywiony handel ludem górnośląskim, zdają się nie spostrzegać wcale, że przedmiot handlu już się rozbudził i że ma nietylko wolę uważania się za polski, ale i świadomość tego, na czem ta polskość polega. Jeżeli więc mimo to, te dwie strony chcą na koszt tego ludu paktować, — to świadczy to jedynie, że — wyrażając się językiem dyplomatów, położenie sprawy polskiej na Górnym Śląsku domaga się rewizyi.

Bo jedno jest pewnikiem: jeśli władający mandatami górnośląskimi prawem kaduka centrowcy, jako plaster kojący obawy o całość mandatów, otrzymują od posłów *wielkopolskich* zapewnienie, że nikt im w drogę nie będzie wchodzić, aby tylko raczyli gniewne swe oblicze okrasić uśmiechem łaski dla Koła polskiego, to koszta tej transakcyi parlamentarnej ma płacić lud górnośląski, czyli sprawa polska na Górnym Śląsku.

A więc, jak powiadamy, rewizya!

I to rewizya w dwóch kierunkach: wobec centrowców z jednej strony, wobec Wielkopolski — z drugiej strony.

Stosunek Polaków na Górnym Śląsku do centrowców musi uledz zmianie, ponieważ wymaga tego wzrastające uświadomienie narodowe polskiego ludu górnośląskiego. Jasnem jest, że mówiąc o zmianie stosunku, możemy mieć na myśli jedynie tylko *zaprowadzenie normalnego stanu rzeczy t. j. aby polska ludność wybierała na posłów Polaków.*

Obecny stan nie odpowiada położeniu rzeczy. Można by było zrozumieć przed stu laty, gdy lud górnośląski uważał się nie za polski, „lecz za pruski, i śląski“, jeśliby wybierał na posłów — *niemieckich* księży.

Dziś rozbudzenie narodowe doszło tak daleko, że spójność narodowa z całą Polską jest tam większa, niż spójność z katolicyzmem niemieckim.

W przyjętych na całym świecie stosunkach parlamentarnych tak się dzieje, że Francuzi wybierają na posła Francuza, Niemcy — Niemca. W Austryi Czesi nie wybierają Polaków — lecz Czechów, Kroaci wysyłają do Rady państwa — Kroatę, a ciekawa rzecz, jaką by minę zrobiło wiedeńskie Koło polskie, gdyby tak katolicy niemieccy zaproponowali Polakom: odstąpcie nam parę mandatów, jesteśmy przecież tego samego wyznania i będziemy was popierać.

A cóż innego robi centrum niemieckie na Śląsku? Wmawia w lud polski, że nie jest polskim, lecz pruskim i powołując się na wspólność wiary bierze mandaty a za tolerowanie tej operacyi płaci Polakom wątpliwej wartości poparciem na arenie parlamentarnej.

Nie chcemy tu bynajmniej przyczyniać się do jakiejś walki z centrum. Centrowcy ani są zobowiązani, ani potrzebują okazywać nam swego poparcia: jeśli poparcie to wynika istotnie z zasady to powinniśmy być za nie wdzięczni i odpłacać się wzajemnością. Powinniśmy szanować tradycye wspólnych walk, jakie toczyli Polacy razem z centrum podczas kulturkampfu. Ale wdzięczność Polaka nie powinna dochodzić do granic samobójstwa narodowego. Jeśli mi ktoś powie: zabij się, a sprawisz mi tem wielką przyjemność, — to się pewnie nie zabiję, choćbym miał wielkie obowiązki wdzięczności wobec tego kogoś. Bo ponad obowiązek wdzięczności i sympatyi dla strony trzeciej stoi obowiązek samopomocy. A zapoznaniem tego obowiązku samoobrony byłoby, gdybyśmy wbrew logice chcieli akceptować stan posiadania Górnego Śląska przez centrum.

Nie z żadnej zasadniczej nieprzyjaźni dla centrowców, do których możemy czuć wielkie, nawet bardzo wielkie sympatye (parlamentarne) ale ze względu na interes narodowy musi opinia publiczna żądać, aby Górny Śląsk zaczął wybierać posłów polskich. Przez wybieranie posłów Niemców tłumi się w ludzie poczucie i świadomość narodowości, podstawia musię

zamiast narodowości — wyznanie, miesza się jedno z drugiem, gdy tymczasem pod płaszczykiem wyznaniowym przemyca rząd propagandę germanizacyjną. Lud polski, mając swych polskich posłów, którzy występują w obronie jego spraw narodowych, zyskuje sam przez to świadomość swej narodowości i kształci się politycznie. Wybory, zebrania przedwyborcze, mowy kandydackie, sprawozdania poselskie — przecież to olbrzymi czynnik, uświadamiający politycznie ludność.

Nie żadna animozya przeciw centrowcom, ale proste rozważenie sobie doniosłych korzyści, jakie w kierunku uświadomienia narodowego mają wybory Polaków, trzeba stanowczo żądać, aby Górny Śląsk zaczął wybierać tyko Polaków. I to nie Polaków, którzyby wstąpili do centrum i tam zniknęli bez śladu, lecz takich, którzyby wstąpili do Koła polskiego i wygłaszali stanowcze, jędrne mowy w guście tej, jaką wygłosił niedawno ksiądz poseł Stychel.

Jak powiedzieliśmy powyżej, głównym względem, w imię którego wymagać musi społeczeństwo polskie, aby Górny Śląsk wybierał posłów polskich, jest wzgląd na dalsze rozbudzenie narodowe tej dzielnicy polskiej. Jeśli opinia publiczna u nas w Poznańskiem przychylnie wita i popiera wszelkie wiece, sprawozdania poselskie i mowy posłów, to nie dlatego, aby się miała po nich spodziewać zwrotu w polityce rządu, lecz dlatego, że za ich przyczyną rośnie samowiedza narodowa.

Ten sam wzgląd miarodajnym być dziś powinien wszędzie, gdzie lud polski podatnym jest potemu materyałem — więc i na Górnym **Śląsku.**

Lecz kwestyę tę można postawić i rozstrząsać z innego jeszcze punktu widzenia.

Przypuśćmy, że ten pierwszy a tak ważny i miarodajny wzgląd na uświadomienie ludu — nie istnieje i że społeczeństwo polskie ma prawo (czemu jak najsilniej przeczymy) za judaszowskie srebrniki względów wszechmocnego centrum wyrzec się łączności z odradzającą się narodowo dzielnicą. Przypuśćmy...

Przyjrzyjmy się, jakież są te korzyści, odnoszone z zaprzedania centrowcom sprawy polskiej na Górnym Śląsku?

Poparcie parlamentarne? Uniżenie dziękujemy za poparcie, przy którem od szeregu lat akcyi parlamentarnej nic się nie zmieniło na lepsze, lecz wszystko na gorsze. Poparcie — to czcze słowa, frazesy! Patrzmy na rezultaty akcyi parlamentarnej w sprawie adresów polskich: cóż ona przyniosła za polepszenie, a przecież z takim aplauzem była przepowadzona, że centrum dziś w konferencyach poufnych z Kołem polskiem mówi: „patrzcie, jakeśmy energicznie was popierali.“

Ale gdzież wyniki tego poparcia? Przy tem poparciu kwitnie kolonizacya rządowa; język polski w wykładach nawet religii doznaje uszczupleń; dziesiątki tysięcy Polaków na obczyźnie cierpią głód duchowy, bo brak opieki kapłanów, mówiących po polsku; na prawo i na lewo co tknąć — to ślady germanizacyi przez księży niemieckich: rozwiązywanie zebrań wieców pod lada pozorem.

Gdzież więc realne wyniki tej przyjaźni? Jeśli my za nią płacić mamy w formie bardzo realnej i rzeczywistej, bo w formie mandatów górnoślązkich, to mamy prawo żądać jakichś realnych wyników, prócz platonicznych oświadczeń.

„A“ — powie zapewne niejeden obrońca sojuszu z centrowcami — „przecież to jest nierozum wymagać od stronnictwa centrum, aby przekształciło dla nas całą politykę rządową, bo ono przecież na nią decydującego wpływu nie ma i nie można go czynić odpowiedzialnem za całą politykę rządu!“

Otóż do tego tylko prowadzimy. *My wcale nie twierdzimy, że centrum jest winne, iż nam jest coraz gorzej; lecz twierdzimy właśnie, że ani centrum, ani inne stronnictwo parlamentarne nie jest w możności wpłynąć na polepszenie naszego położenia i dziwnem łudzeniem się jest przypuszczać, że poparcie centrowców nam jakieś realne wyniki zapewnia.*

Ale — powiedzą niektórzy — może poparcie centrowców przy wyborach daje nam możność przeprowadzenia większej liczby posłów?

I to nieprawda. Mieliśmy niezliczone przykłady, że wobec rozpasania hakatyzmu zwolennicy centrum nie idą zwartym szeregiem za naszym kandydatem, lecz połowa ich głosuje na Niemca, a tak więc poparcie całe staje się iluzoryczne. A my tymczasem za to nawet w Poznańskiem przecie ustępujemy dobrowolnie jeden mandat centrowcowi.

A wreszcie widzieliśmy w Babimojskiem, co za więzy nakłada na nas sojusz wyborczy z centrowcami: widzieliśmy jak niestrudzony agitator polski, któremu nikt wielkich zasług nie odmawia, hr. Maciej Mielżyński, stając przed ludem tam na kresach Księztwa, nie śmiał mówić: jesteście ludem *polskim*, lecz na rozmaite sposoby parafrazował wspólność wiary i z katolicyzmu zrobił program polityczny, a narodowość się gdzieś zapodziała, bo przecież kłuła by w oczy... centrowców.

O, za pozwoleniem, za tak dwuznaczne korzyści uniżenie dziękujemy.

Górny Ślązk powinien wybierać na posłów tylko swoich, tylko Polaków!

Niema dosyć kandydatów własnych — powiadacie? Brak mu inteligencyi? Mamy czekać, aż się własnej dochowa? Wcale nie. I na Górnym Ślązku znajdzie się dość ludzi, którzy potrafią głośno i dobitnie oświadczyć w imieniu ludności polskiej, że ludność ta jest polską.

Już z przykładu posła dra Jażdżewskiego widzimy, że można być wysoce wykształconym, znać kryte sztychy dyplomacyi europejskiej, mieć tytuły i ordery a przecież właśnie dla zbyt nadmiernej dyplomacyi — potknąć się na arenie parlamentarnej gorzej, niż by się mógł potknąć ktoś, co wchodząc w szereg posłów nie przyniósłby ze sobą nic, prócz *znajomości* stosunków własnego społeczeństwa i trochę *prawdziwego* polskiego serca, które *czuciem* odgadnie, że są granice uniżoności i uprzejmości przed obcymi...

Społeczeństwo winno być wdzięczne posłowi Jażdżewskiemu, że zwrócił uwagę i na zasłużonych działaczy idei polskiej na Ślązku, redaktorów pism polskich. Gdy mowa o kandydatach polskich na Ślązk, to niewiem, *dla czegoby ludu polskiego w ciałach prawodawczych nie mieli reprezentować ci, co godnie go reprezentują w opinii publicznej?*

Taki *Koraszewski*, *Maćkowski*, *Napieralski* z pewnością lepiejby wyrazić umieli uczucia i żądania ludu

niż dziś Faltin, lub Glowatzky. *Właśnie tym redaktorom górnoślązkim, wspominanym przez posła Jażdżewskiego — mandaty się należą, jako tym, którzy w pracy nad rozbudzeniem ducha polskiego jak pionierzy szli sami naprzód i dotąd idą w pierwszym szeregu, a rzadko róże, lecz zawsze ciernie zbierają w tej pracy.*

A wreszcie, jeśli by potrzeba było więcej ludzi, jeśliby znalazło się miejsce i mandat nietylko dla wymienionych powyżej, to przecież żaden przepis nie nakazuje, aby poseł miał pochodzić z tego samego powiatu. Wszak i poseł dr. Jażdżewski nie potrzebował wywodzić się od mieszkańców Krotoszyna, aby tam uzyskać mandat. Dlaczegożby więc i kilku godnych obywateli z Księztwa nie miało kandydować na Górnym Slązku obok Koraszewskiego, Napieralskiego lub Maćkowskiego? Owszem, toby się może przyczyniło w znacznej mierze do wytworzenia tej spójności pomiędzy dzielnicami, jaka jest potrzebna w interesie sprawy.

Przechodzimy tu do drugiego punktu naszych wywodów: rewizyi stosunku Górnego Slązka do całego zaboru pruskiego.

Utarło się już to, że się Slązk Górny uważa za coś innego od Księztwa. Pomijając historyczne uzasadnienie, już sam obecny stan rzeczy — nacisk germanizacyi — znosi przedział i niweluje różnice. Należy z tego wyciągnąć konsekwencye. Dla sprawy polskiej w zaborze pruskim nie można sobie nic lepszego wyobrazić, jak silne zjednoczenie Wielkopolski ze Slązkiem i Prusami królewskiemi. Zjednoczenie to zwolna się obecnie samo dokonywuje, należy jednak w celu jego przyspieszenia pchać opinię publiczną w tym kierunku.

Przez wystąpienie w guście posła Jażdżewskiego pogłębia się tylko przedział i zwiększa na Slązku tendencye separatystyczne, których niedoceniać nie należy.— Opinia publiczna powinna coraz bardziej oswajać się z tem, że Górny Slązk jest dziś dzielnicą zupełnie równorzędną z innemi, a wreszcie jeszcze jeden wzgląd— bodaj czy nie najważniejszy. Wątpić można, czy znalazłby się ktoś, obznajmiony ze stosunkami politycznymi Górnego Slązka, ktoby dziś z ręką na sercu nie musiał wyznać, że jeśli kierownictwa nad ludem polskim na Górnym Slązku nie zagarnie polski ruch narodowy, to go zagarnie socyalna demokracya.

A więc wóz i przewóz; na szerzenie się socyalizmu jeden tylko środek mamy w apteczce politycznej — budzenie narodowego poczucia.

Nie my, to socyaliści zagarną Slązk Górny. A jak dzisiajszy stan rzeczy kryje germanizacyę w sobie, tak samo ją kryje i socyalizm.

A więc wybór chyba nietrudny: nie do wojny z centrowcami, lecz do rewindykacyi tego, co nasze, nawołuje polska prasa.

Dr. Kazimierz Rakowski.

Germanizacya ludu polskiego
na Górnym Śląsku.

W jednym z poprzednich numerów przyrzekliśmy czytelnikom, że oświetlimy ten rodzaj opieki, jakiej doznaje lud polski na Śląsku ze strony katolickiego centrum.

Obojętność, cechująca *niemieckie* duchowieństwo katolickie na Górnym Śląsku, ograniczyłaby się zapewne na lekceważeniu potrzeb duchownych ludu polskiego, gdyby nie to, że rząd wszelkiemi siłami popiera germanizacyę wszelkiego rodzaju. Z przytłumieniem więc wszelkich idealnych pobudek gotowe duchowieństwo niemieckie każdego czasu na walkę z przywiązaniem do polskiego języka tego biednego ludu, byle się spodziewało różnych zaszczytów i odznaczeń... Niedarmo partya centrowa w parlamencie niemieckim staje się z dniem każdym coraz bardziej rządową: przeważają w niej przecież obecnie wpływy katolików ze wschodnich prowincyi Niemiec, a głównie z Górnego Śląska. Obecnie górnośląskie duchowieństwo niemieckie fraternizuje ze sferami rządowemi, a idąc za przykładem swego zwierzchnika, kardynała Koppa, ugania się za zaszczytami, zaprowadza systematycznie nabożeństwa niemieckie w polskich parafiach, zapędza na współkę z nauczycielami dzieci do kościoła na śpiewy niemieckie, a — co więcej jeszcze — stara się tę swoją germanizatorską działalność upozorować idealnemi pobudkami, płaszczykiem miłosierdzia, mówiąc, że „dla ludu lepiej będzie im prędzej się zniemczy“.

Te wypaczone pojęcia etyczne znalazły przecież swój wyraz nawet w prelekcyach seminaryum duchownego: profesor etyki (!) we wrocławskiem seminaryum katolickiem, ksiądz Kr. wypowiedział ex cathedra, że ze względów materyalnych pożądanem byłoby dla górnośląskiego ludu, aby zniemczył się jaknajprędzej.

Książę biskup Kopp mniej więcej w dwa lata po objęciu biskupstwa wydał tajny okólnik do księży górnoślązkich, żeby dzieci mówiące po niemiecku, albo słabo mówiące po polsku i po niemiecku słuchali spowiedzi po niemiecku, naukę katechizmu udzielali im w kościele także po niemiecku.

Powiatowi inspektorzy szkolni podają księżom spisy tych polskich dzieci, które księża mają uczyć w kościele religii — po niemiecku. Pisze o tem „Katolik“ z dnia 27 września 1900 i podaje tekst tego „rozporządzenia“, które brzmi:

„Euer Hochwürden überreiche ich in der Anlage ein Verzeichniss derjenigen zur Schule zu X. gehörenden Schulkinder, welche gegenwärtig den Beicht bezw. Kommunionunterricht besuchen sollen, mit dem ergebenen Ersuchen, bei der Aufnahme in den deutsch zu unterrichtenden Coetus thunlichst diejenigen Kinder der polnischen Abstammung berücksichtigen zu wollen, welche laut Vermerk des Lehrers der deutschen Sprache hinreichend mächtig sind.
Der Königl. Kreis Schulinspektor.“

To mięszanie się władz szkolnych rządowych w sferę czysto kościelną wywołałoby naturalnie gdzieindziej, nie na Śląsku, głośne protesty i krzyki oburzenia na krępowanie swobody Kościoła. Cała partya centrowa zmobilizowałaby się do ataków na rząd, który dopuszcza się czegoś podobnego, — ale na Górnym Śląsku, gdzie to rozporządzenie skierowane jest przeciw biednym dzieciom polskim — naturalnie rząd nie na protesty, ale na życzliwe poparcie duchowieństwa liczyć może.

A jeśli się znajdzie gdzie jaki wyjątkowy ksiądz, któryby z pobudek lepszego przekonania swego i głosu sumienia chciał to lub owo dziecko oznaczone jako „niemieckie“ przenieść do polskiego oddziału, ponieważ niemiecka nauka nie wnika należycie w umysł i serce jego, wtedy starczy denuncyacya do góry,

a lista proskrypcyjna „polonizatorów“ stanie się o jednego przestępcę bogatszą. W końcu obejdzie się bez denuncyacyi, ponieważ inspekcye szkólne — oczywiście prawie wszystkie protestanckie — zawsze mają baczne oko na liczby „niemieckich“ i „polskich“ dzieci, które przystępują do komunii i z tego wysnuwają wnioski, co szkoła robi i jakie jest usposobienie księży niemieckich.

Jak zaznaczyliśmy powyżej, są i na Górnym Śląsku księża wyjątkowi, kapłani z prawdziwego powołania, a nie karyerowicze. Lecz liczba ich jest niesłychanie małą. Prąd ogólny zresztą paraliżuje wszelkie ich kroki. Niech no tylko który zawcześnie zdradzi się ze swemi zapatrywaniami, a z pewnością nie dostanie probostwa, a przynajmniej będzie swe życie musiał pędzić w jakiejś odludnej parafii.

Również mało jest księży Polaków. Młodzi księża boją się przyznawać do narodowości polskiej, choć nieraz w duszy czują się Po lakami. Pamiętają oni aż nazbyt dobrze nauki w seminaryum, gdzie mogli się przekonać, że dość zadeklarować swą narodowość polską, aby być wyłączonym ze stada „wybrańców“ a być przyłączonym do ,,parszywych owiec“.

Na blisko pół tysiąca duchownych katolickich na Górnym Śląsku jest może zaledwie 20—25 księży, którzy się swej narodowości nie wypierają.

Działalność germanizatorska duchowieństwa górnośląskiego nie ogranicza się w ścisłym zakresie jego duszpasterskich funkcyi. Idzie ona, owszem, znacznie dalej i obejmuje sfery, w pośrednim zaledwie zostające związku z Kościołem. A więc przedewszystkiem towarzystwa polskie. Wobec wolności zawięzywania towarzystw w państwie pruskiem teren działalności w towarzystwach jest bardzo rozległy. K s i ę ż a g ó r n o ś l ą s c y r o s z c z ą s o b i e p r e t e n s y ę d o p a n o w a n i a w s z y s t k i m s t o w a r z y s z e n i o m, i s t n i e j ą c y m w i c h p a r a f i a c h, a z ł o ż o n y m z k a t o l i k ó w. Jako przewodniczący, honorowi prezesi, lub kuratorowie (ulubiony tytuł) nie dopuszczają oni gazet polskich, odczytów polskich, a wykluczają członków, których uznają za „wielkopolskich agitatorów“, lub rozwiązują towarzystwa nieposłuszne. Gdy towarzystwa św. Alojzego na Górnym Slązku zaczęły objawiać oporność wobec germanizacyi, księża odrazu w s z y s t k i e je rozwiązali i zawiadomili policyę, że te towarzystwa już nie istnieją.

Większość namiętnie zwalcza pisma polskie, w których upatruje największego wroga germanizacyi. Niektórzy księża posuwają się nawet do tego, że pod karą kościelną zabraniają swym parafianom czytania zwłaszcza rozpowszechnionych gazet polskich górnoślązkich, jak „K a t o l i k a“ z Bytomia, który na czele każdego numeru podaje „sprawy kościoła“, a w każde święto podaje ewangelię. Lecz pismo to psuje im ich polityczną robotę, więc je zwalczają.

Przed paru laty, gdy duchowieństwo całą siłą chciało zniszczyć wpływ polskiej prasy, założyli księża niemieccy gazetę polską w celu zwalczania innych gazet. Była to wychodząca po dziś dzień „G a z e t a k a t o l i c k a“ w Królewskiej Hucie. Księża zalecali ją z ambon i na nabożeństwach rozdawali ludowi, lecz nic to nie pomogło. Nie pomogły nawet takie radykalne, a w innych okolicznościach z powodzeniem stosowane środki, jak nakazywanie żonom przy konfesyonale, aby paliły swym mężom wszystkie gazety polskie, prócz „G a z e t y k a t o l i c k i e j“.

Prócz scharakteryzowanych powyżej sposobów germanizowania, uprawia górnośląskie duchowieństwo germanizacyę najzdradliwszą dla ludu prostego — germanizacyę pod płaszczykiem przyjaźni i miłosierdzia.

Widzieliśmy, jak germanizujący wpływ wywierają na obczyźnie towarzystwa katolickie niemieckie, przyciągając Polaków na członków swemi zaletami. Tak samo na Śląsku funkcyonuje jako narzędzie germanizacyi cały aparat instytucyi dobroczynności i miłosierdzia publicznego.

Istnieje np. cały szereg zakładów św. Jadwigi, które nie są niczem innem, jak instytucyami, niemczącemi polskie dzieci pod płaszczykiem miłosierdzia.

Do tych ochronek przyjmują dzieci już od 4-go roku życia i robotnicza ludność polska korzysta z tych zakładów, oddając dzieci na kształcenie. W zakładach św. Jadwigi starają się zakonnice wpoić w dziecko kulturę niemiecką, począwszy od niemieckiego „Vater unser“, a skończywszy na niemieckich zabawach. Dzieci, niegdyś polskie, opuszczają zakłady „dobroczynnych zakonnic“ przejęte nawskroś niemieckim duchem i germanizują potem swe rodziny, wprowadzając niemiecki język pod strzechę rodzinną.

Najsmutniejszem jest to, że te zakłady dobroczynne istnieją dzięki ofiarności samego ludu górnośląskiego. Aby dać próbkę tego, jak znaczne sumy poświęca lud polski na budowę kościołów i połączonych z nimi „dobroczynnych“ z nazwy, a germanizacyjnych z charakteru instytucyi, przytoczyć tu można którybądź z komunikatów, ogłaszanych po pismach polskich, o stanie budowy nowych kościołów. W takiem np. Zalężu rachunek przedstawia się tak: koszta gruntu 26 tysięcy mk., kościół i jego urządzenie 300 tys. mr. probostwo 37,500 mk., dom dla dzwonnika 16,500 mk. Zakład ś-tej Jadwigi 60 tysięcy mk., ogrodzenie 10 tysięcy — razem czyni 450 tysięcy.

Po tem wyliczeniu następuje charakterystyczna uwaga: ,,Dzięki zabiegom ks. proboszcza pokryto wszystko tak daleko, że tylko jeszcze 60,500 marek długu zostało“.

Jak po pierwsze 450 tysięcy — tak i po brakujące tysiące zwraca się ks. proboszcz do ludu polskiego ze słowami: dokończcież dzieła.

A lud ten płaci. Sypią się krocie dzięki ofiarności tego ludu i dźwigają się z tej potem górnośląskiego ludu zroszonej ziemi coraz to nowe zakłady ś-tej Jadwigi i ich filie, aby na duchu tej ludności wycisnąć niestarte znamię germańskiej kultury.

W pierwszych latach rządów ks. kardynała Koppa duchowieństwo zaczęło zbyt arbitralnie postępować z ludnością polską i jej językiem, zwyczajami i zapatrywaniami. Wypieranie języka polskiego działo się zbyt jawnie i bez osłonek, niechęć do wszystkiego co polskie, okazywali księża germanizatorzy zbyt otwarcie — tak iż nawet powolny i poddający się wszystkiemu z cierpliwością lud zaczął przybierać postawę opozycyjną i groził obrachunkiem przy wyborach.

Nietylko jednak nietolerancyą na punkcie narodowych praw ludności polskiej, ale niezrozumieniem elementarnych potrzeb socyalnych, najciaśniejszą swą kastowością zrazili sobie księża na Górnym Śląsku ludność. Nie trzeba zapominać, że wobec wysokiego rozwoju przemysłu na Górnym Śląsku ludność robotnicza łatwo jest dostępną dla rozmaitych idei, głoszących solidarność klasy robotniczej przeciw pracodawcom. Nasi zacni księża w Poznańskiem usiłują za pomocą

zdrowej, na demokratycznych podstawach opartej polityki żądania klas robotniczych sprowadzić do właściwego poziomu i poddając mu tło chrześciańskie, stanąć na czele ruchu społecznego, dążącego do poprawy bytu robotnika. I to jest wielką zasługą! Na Górnym Śląsku zaś duchowieństwo jest pod tym względem najreakcyjniejsze; działa ręka w rękę z wszechwładną na Śląsku policyą i razem z nią stoi na usługach pracodawców-Niemców.

Można przewidywać, że wpływ księży górnośląskich niemieckich, jako germanizatorów będzie przełamany: od postawienia i sposobu ujęcia kwestyi przez Polaków będzie zależało, czy wpływ ten złamany zostanie przez ruch, stojący na gruncie szczerze polskim, czy też przez ruch socyalno-demokratyczny. Oby ten pierwszy rychło się obudził!

Prawdzic.

Kto najwięcej niemczy lud polski na Górnym Ślązku?

Niedawno temu byliśmy na zebraniu hakatystów w Wrocławiu. Główny dowódzca wrogów naszych, pan von Tiedemann, wygłosił tam piorunującą mowę przeciw Polakom pełną fałszów i kłamstw, w której głównie napadał na duchowieństwo polskie w Wielkopolsce, bo ono najwięcej uprawia agitacyę wszechpolską. Na Górnym Śląźku natomiast, jak zaznaczył ten extra-minister dla spraw polskich, podobny ruch wszechpolski pod żelaznymi rządami kardynała Koppa powstać nie może, bo ten dostojnik Kościoła jest prawdziwym patryotą niemieckim i doskonale zna niebezpieczeństwo grożące państwu ze strony przewrotnych Polaków.

Pan Tiedemann nie powiedział wprawdzie nic nowego, aleć zawsze to bardzo nam przyjemnie, jeśli pan tak kompetentny w sprawie naganki na Polaków, o nas tak świetne świadectwo wystawia. Wiemy już bowiem, że hakatyści są zadowoleni z kardynała Koppa.

Nie zawadzi wcale zrekapitulować dzisiaj zasługi tego dostojnika Kościoła wobec Vaterlandu niemieckiego.

Zaraz po wstąpieniu na tron biskupi wrocławski kardynał Kopp zaznaczył dobitnie swe stanowisko, rozsyłając okólniki do księży górnośląskich, w których im nakazuje, by zaprowadzali, gdzie tylko można kazania i nabożeństwa *niemieckie*, któż to wyrugował ze Ślązka polski zakon żeński panien służebniczek?

Któż założył konwikt dla młodych teologów, aby im nie dać sposobności zarażenia się wielkopolską agitacyą?

Któż to sprowadzał jezuitów-*niemców* aż z Krakowa, aby na rekolekcyach urządzanych dla młodych kleryków, piorunowali *przeciw agitacyi wielkopolskiej?*

Któż to zakazał jeździć młodym klerykom śląskim podczas wakacyi do proboszczów w Księstwie Poznańskiem?

Kardynał Kopp. A to dlatego, bo by się tam mogli zarazić agitacyą wielkopolską.

Któż to zabronił jeździć młodym klerykom do Krakowa?

Kardynał Kopp, który klerykom groził, iż ich nie wyświęci, jeśli się dowie, że byli w Krakowie.

Któż to zabraniał klerykom zjeżdżać się w czasie wakacyi z starszymi księżmi Polakami i polską inteligencyą i śpiewać polskich pieśni patryotycznych?

Któż naszych księży Polaków wysyła na piaski brandenburskie, a na ich miejsca daje księży Niemców każących nasz język ojczysty?

Któż to odbiera od polskich księży przy nadawaniu im probostw przysięgi, że w wielkopolskiej agitacyi udziału brać nie będą?

Tak bez końca moglibyśmy wyliczać zasługi dostojnika Kościoła katolickiego ale myślimy, że przytoczone wystarczą.

Zupełnie podobnie postępują sobie też jego podwładni, nasi księża na Górnym Śląsku. Zaznaczamy, iż nie mamy tu na oku tych paru księży Polaków, którzy mimo wszelkich prześladowań stoją wiernie przy sztandarze narodowym i sumiennie pełnią obowiązki obywateli polskich.

Rząd uznaje też coraz częściej zasługi kapłanów górnośląskich i dekoruje ich piersi orderami, — a że rząd nie stał się dla nas przyjaźniejszym, więc zmienili się księża niemieccy. Oj tak! zmienili się: w kierunku sympatycznym Kennemanom i Tiedemannom.

Ileż to probostw znajdziesz na Górnym Śląsku, gdzieby mówiono po polsku? Wszędzie rozbrzmiewa język niemiecki.

Zdarzają się nawet wcale niezbyt rzadko takie wypadki, iż ksiądz a nawet organista nie chce z ludem mówić po polsku, lecz każe im zamawiać nabożeństwa niemieckie jak to się zdarzyło w ostatnim czasie w Gliwicach.

Gdzie się zjawi garstka Niemców, tam już proboszcz zaprowadza kazania i nabożeństwa niemieckie, chociaż panowie Niemcy tylko w wielkie święta do kościoła zaglądać raczą.

Któż to ruguje śpiew polski z kościołów zbudowanych za nasz ciężko zapracowany grosz?

Księża - germanizatorzy. Na dowód przytoczymy tylko parafię dorocką, gdzie młode dziewczęta nieomal przemocą znowu śpiew polski zaprowadziły.

Gdy chodzi o przygotowywanie dziatwy naszej do pierwszych sakramentów świętych, wtedy księża albo pędzą dzieci nasze na naukę niemiecką za wskazówkami rządowych inspektorów szkólnych, albo też wcale sobie pracy nie zadają, aby się przekonać, czy dziecko zrozumie naukę w języku niemieckim.

Wszędzie księża górnośląscy zaprowadzają ochronki dla dzieci, prowadzone przez niemieckie siostry miłosierdzia. Powiadają, iż czynią to z miłości bliźniego.

Siostrzyczki te, albo „panny“ jak je tu u nas nazywają, postępują sobie też zupełnie zgodnie z zasadami swych duchownych opiekunów. Tak niedawno temu w Niemieckich Piekarach, siostra miłosierdzia kazała dzieciom podrzeć polskie gazety, w które miały książki zawinięte.

Któż to zwalcza u nas polskie gazety wzywające do obrony zagrożonego języka naszego?

Księża niemieccy, którzy chcieli zdusić swego czasu „Nowiny Raciborskie“ dlatego, że im od czasu do czasu prawdę powiedziały, którym nawet łagodny kierunek „Katolika“ był jeszcze za ostry, i którzy go dlatego z kazalnic przeklinali.

I tak postępuje ten sam biskup, tak postępują ci sami księża, którzy niedawno temu wysyłali petycyę do rządu pruskiego w sprawie języka polskiego.

„Po czynach ich poznacie,“ powiada pismo św. Po czynach też poznajemy przyjaźń księży niemieckich, którzy z jednej strony pisali petycyą o przywrócenie języka polskiego, z drugiej zaś posyłają ciągle jako szkolni inspektorzy rządowi sprawozdania, iż dzieci doskonale naukę religii w języku niemieckim rozumieją.

Ludu polski „broń śmiało języka i obyczajów ojczystych, paraliżuj wszelkie zakusy germanizatorskie przez pilne czytanie pism polskich.

Ludu polski, ucz Twoje dzieci czytać i pisać po polsku, posyłaj je na polską naukę, bo dzieci są Twoje, a ani ksiądz niemiec, ani nauczyciel nie ma prawa dziećmi Twemi rozporządzać.

Kardynałowi Koppowi zaś i księżom germanizatorom przypominamy głos sprawiedliwego Niemca, Jana Samuela Richtera, który pod koniec XVIII wieku był ewangielickim pastorem w Pszerymie. Luteranin ten i Niemiec pisze w swej książce o górnośląskim włościaninie (wtedy jeszcze robotników przemysłowych prawie nie było) wydanej w r. 1797 w Wrocławiu między innemi tak na stronie 26-tej:

„Bez wątpienia trzeba przedewszyst-

kiem żądać, aby ci, którzy w przyszłości mają być nauczycielami w kościołach i szkołach górnośląskich, *gruntownie* nauczyli się *po polsku.* Chłop polski ma do człowieka mogącego się z nim dokładnie porozumieć większe zaufanie, a nauczyciel umiejący się za pomocą gruntownej znajomości języka polskiego swym słuchaczom dobrze wytłómaczyć, będzie w stanie uczniom swym nie jednej rady, nie jednej przestrogi udzielić, które ogółowi przyniosą niezmierne korzyści.

Znam niejednego nauczyciela, który jako tako może przetłomaczyć niemieckie kazanie na jakiś język niemiecko-polski i takowe wygłosić przed swoimi słuchaczami. Lecz gdy się z nimi ma rozmówić, nie jest tego w stanie uczynić. Jak niezmiernie wiele traci na tem uczeń!

A gdzież pozostaje zazwyczaj ważniejsza od kazania nauka w konfesyonale lub podczas przygotowania do pierwszej komunii św., gdzie każdy osobnik często i to zupełnie słusznie domaga się nauki stosownej do jego indywidualności.

A gdzież pozostaje pociecha na łożu śmiertelnem, gdzie koniecznie potrzebna nie tylko wiedza teologiczna, lecz zarówno także dokładna znajomość języka, aby wszelkie obawy i strachy chorego rozprószyć i wszelkie wątpliwości mu wyjaśnić. Jak mało dobrego ksiądz w tych wypadkach może zdziałać, jeżeli przy każdem zdaniu się zacina z braku znajomości języka, jeżeli z biednym i tak już na umyśle chorym, tylko z biedą i połowicznie może się porozumieć.

Jakżeż nauczyciel może udzielić swym uczniom jaśniejszych pojęć o Bogu, o zadaniu i obowiązkach człowieka, jeżeli nie zna dostatecznie języka, aby się zniżyć do pierwszych pojęć dziecęcych?... Języka w katechizmie używanego dzieci zazwyczaj nie rozumieją, a nędzną jest ta nauka, mało rozum oświecająca i mało serce kształcąca, jeśli tylko dawnym zwyczajem niedbalstwa dzieci uczą się na pamięć pytania i odpowiedzi katechizmowe i wypowiadają je jak nakręcone pozytywki. Następnego dnia dzieci zwykle już wszystko zapomniały, ponieważ się nauczyły na pamięć tylko pustych słów, a nie uchwyciły rozumem pojęć z niemi związanych.

Jeżeli Górnoślązak ma się kształcić, to go trzeba lepiej wychować, jeżeli ma być lepiej wychowanym, to trzeba mu dać polskich nauczycieli, rodowitych Polaków, którzy już od dzieciństwa języka polskiego się uczyli."

Tak pisał sto lat temu podczas pierwszych prób germanizacyjnych, sprawiedliwy Niemiec, pastor ewangielicki.

Nasi dzisiejsi duchowni katoliccy niechaj sobie złote słowa tego pastora w ramki każą oprawić, jeśli nie mogą ich mieć w sercu.

Niechby też księża germanizatorzy wzięli sobie za przykład śp. zacnego ks. Damrotha, który *nieprusczył* prastarej polskiej ziemi śląskiej, lecz jako taką opiewał w następujących słowach:

Ziemio śląska, polska ziemio,
Ojców krwią i znojem
Użyźniona, poświęcona
I ja dzieckiem twojem!

Ja twym synem: włos mój siwy,
Ręka moja drżąca,
Ale lutnia moja jeszcze
Krzepka i gorąca.

Więc Ci dalej nucić będę,
Jako w życia wiośnie;
Co do śpiewu sił nie stanie,
Dopłaczę żałośnie — —

Toć i krew nam nie pomogła
Przelana w stu bitwach:
Może będą łzy mocniejsze
Wylane w modlitwach.

Czego mieczem nie osięgli
Waleczni mocarze,
Może pieśnią swą wyżebrzą
Pobożni pieśniarze.

Przyjm więc, Panie, prośby naszę;
Ukróć doświadczenia
Długie chwile, potem przyspiesz
Godzinę zbawienia;

Bym i ja się raz pokrzepił
U wolności zdroju,
Poczem, Panie, puść starego
Pieśniarza w pokoju.

Górnoślązak.

Obliczenie sił naszych na Ślązku.

Coraz głośniej i energiczniej rozlega się wołanie na Ślązku: Precz z centrum! Lud zaczyna dojrzewać politycznie i nabywa przekonania, iż Niemiec nie może bronić sprawy polskiej, bo narodowość jego sama już mu na to nie pozwala. Są bowiem takie sprzeczności w interesach ludu polskiego i niemieckiego, jest taki głęboki przedział między narodem polskim a niemieckim, iż go nic na świecie wyrównać nie zdoła. Czuli i wiedzieli też to nasi ojcowie, bo mawiali zawsze: Jak świat światem Niemiec nie będzie Polakowi bratem.

Dopóki lud politycznie nie dojrzał, mógł sobie dać narzucić przywódzców obcoplemieńców, lecz skoro się rozbudził i poznał swoje potrzeby, wtedy naturalnym wynikiem tego jest zrzucenie przez obcych mu narzuconych posłów. Ta chwila rozbudzenia się i dojrzewania politycznego nadeszła dla ludu polskiego na Ślązku. Cały ruch dzisiajszy już zapowiada nam walkę, jaka się będzie toczyła na Ślązku podczas następnych wyborów w r. 1903.

Tak jak każdy wódz przed bitwą oblicza swe siły i porównuje je z siłami wroga, tak i naród polski powinien porachować swoje siły na Ślązku.

Otóż podług urzędowego spisu pruskiego z roku 1890 było na Górnym Ślązku i w dwóch powiatach średniośląskich 1,139,389 Polaków. Znając pilność Niemców w zapisywaniu Polaków jako Niemców podczas ogólnego spisu ludności, śmiało rzec możemy, iż na Śląsku żyje 1,200,000 Polaków i to w następujących powiatach:

(Ogólną liczbę mieszkańców podajemy podług spisu z r. 1895.)

1) *pow. pszczyński:* liczy 101,979 mieszkańców, pomiędzy nimi $^{9}/_{10}$ Polaków t. j. 91,774.

2) *pow. rybnicki:* 87,557 mieszkańców, z tych $^{9}/_{10}$ Polaków t. j. 78,801.

3) *pow. raciborski:* 141,476 mieszkańców i Polaków około 64,000, Morawian około 48,000, Niemców około 26,000.

4) *pow. katowicki:* 145,223 mieszkańców, z tych $^{3}/_{4}$ Polaków t. j. około 109,000.

5) *powiaty bytomskie* miejski i wiejski: 195,538 mieszkańcow, z tych $^{4}/_{5}$ Polaków t. j. około 156,000.

6) *pow. zabrski:* 91,137 mieszkańców, z tych $^{4}/_{5}$ Polaków t. j. około 73,000.

7) *pow. tarnogórski:* 57,546 mieszkańców, z tych $^{4}/_{5}$ Polaków t. j. przeszło 46,000.

8) *pow. tosko-gliwicki*: 112,428 mieszkańców, z tych $^{3}/_{4}$ Polaków t. j. przeszło 84,300.

9) *pow. lublinicki:* 46,259 mieszkańców, z tych $^{9}/_{10}$ Polaków t. j. blizko 42,000.

10) *pow. wielko-strzelecki:* 69,666 mieszkańców, z tych $^{9}/_{10}$ Polaków t. j. blizko 63,000.

11) *pow. kozielski:* 70,606 mieszkańców, z tych $^{9}/_{10}$ Polaków t. j. blizko 64,000.

12) *pow. głubczycki:* 86,210 mieszkańców, z tych około 5000 Pol. i 9000 Morawian.

13) *pow. prudnicki:* 98,764 mieszk., z tych przeszło $^{1}/_{2}$ Polaków t. j. około 50,000.

14) *pow. opolski:* 129,181 mieszkańców, z tych $^{4}/_{5}$ Pol. t j. około 104,000.

15) *pow. niemodliński:* 38,816 mieszkańców, z tych tylko przeszło 4000 Polaków.

16) *pow. olesznieński:* 49,105 mieszkańców, z tych $^{9}/_{10}$ Polaków t. j. przeszło 44,000.

17) *pow. kluczborski:* 46,339 mieszkańców, z tych $^{3}/_{4}$ Polaków t. j. około 35,000.

Do tych powiatów doliczmy jeszcze 2 powiaty średniośląskie z ludnością polską:

18) *pow. namysłowski:* 35,967 mieszkańców, z tych $^{4}/_{10}$ Polaków t. j. około 14.000.

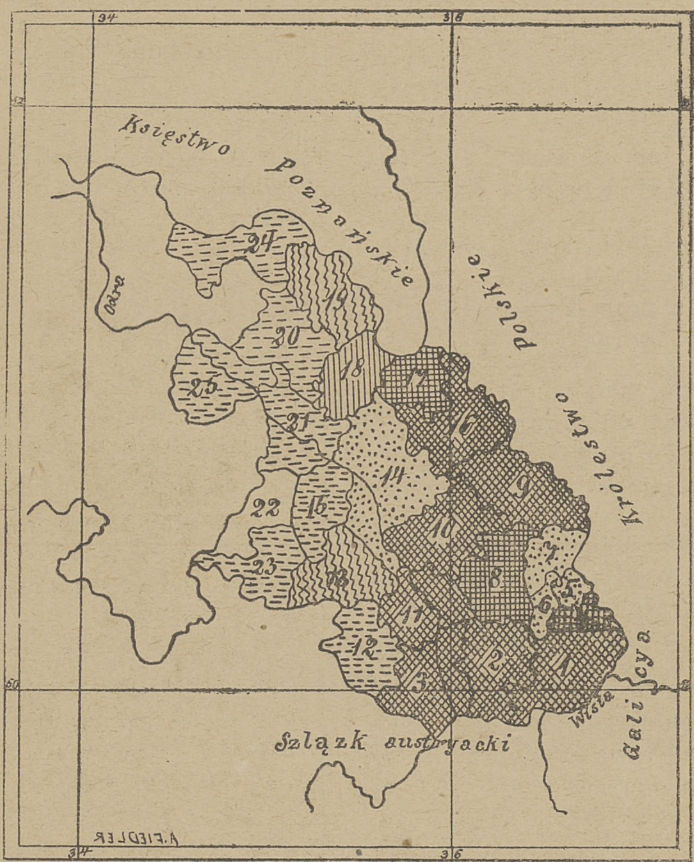
19) *pow. sycowski:* 49,986 mieszkańców, z tych $^{1}/_{2}$ Pol. t. j. około 25,000.

Powiaty brzeski, oleśnicki, grotkowski, nyski, milicki, wrocławski i t. d. są zupełnie zniemczone i mają tylko garst-

kę polskich wychodźców, lub też znikające resztki dawniejszej ludności polskiej.

Dla zoryentowania się Czytelników umieściliśmy mapkę przedstawiającą liczebne siły nasze na Ślązku.

Pomiędzy Polakami w powiatach kluczborskim, sycowskim, namysłowskim i częściowo pszczyńskim jest bardzo wielu Polaków protestantów.



Z 1000 mieszkańców jest Polaków w powiatach oznaczonych znakiem:

- *900 i więcej*
- *800 i więcej*
- *około 750*
- *przeszło 500*
- *przeszło 400*
- *niżej 100*

1. Oznacza powiat pszczyński.
2. „ „ rybnicki.
3. „ „ raciborski.
4. „ „ katowicki.
5. „ „ bytomski.
6. „ „ zabrski.
7. „ „ tarnogórski.
8. „ „ gliwicki.
9. „ „ lublinicki.
10. „ „ wielkostrzelecki.
11. „ „ kozielski.
12. „ „ głubczycki.
13. „ „ prudnicki.
14. „ „ opolski.
15. „ „ niemodliński.
16. „ „ olesznieński.
17. „ „ kluczborski.
18. „ „ namysłowski.
19. „ „ sycowski.
20. „ „ oleśnicki.
21. „ „ brzeski.
22. „ „ grotkowski.
23. „ „ nyski.
24. „ „ milicki.
25. „ „ wrocławski.

Za pomocą gorączkowej pracy około oświaty ludowej i energicznej agitacyi przedwyborczej, powinniśmy wybrać polskich posłów do parlamentu niemieckiego w następujących powiatach:

1) w obwodzie wyborczym kluczborsko-olesznieńskim,
2) opolskim,
3) wielkostrzelecko-kozielskim,
4) lublinicko-gliwickim,
5) bytomsko-tarnogórskim,
6) katowicko-zabrskim,
7) pszczyńsko-rybnickim,
8) raciborskim za pomocą Morawian, tu absolutnej większości Polacy nie mają,
9) prudnickim, przy bardzo energicznej agitacyi. (?)

Razem Górny Ślązk podług sprawiedliwości powinien wysyłać *co najmniej ośmiu* polskich posłów do parlamentu niemieckiego, a podług zdania naszego sześciu posłów polskich na przyszłe wybory może być wybranych.

W sycowskim i namysłowskim powiecie Polacy, o których niestety dziś nikt nie myśli, mogliby zawierać bardzo korzystnie kompromisy z innemi partyami, lecz niestety nikt dotąd nie postarał się o rozbudzenie ducha narodowego pomiędzy nimi.

O wiele gorzej przedstawiają nam się wybory polskich posłów do sejmu pruskiego i to z następujących powodów.

1) Górny Śląsk w przeważnej części jest własnością wielkich panów niemieckich: książąt pszczyńskich, Hohenlohych, Donnersmarków, Ballestremów i t. p.

2) Przy obecnym systemie wyborczym wywierają wielcy panowie niemieccy i ich urzędnicy ogromny nacisk na lud polski.

3) Robotnik polski, zależny od swego pracodawcy i skazany na liczne prześladowania, trudno się zdobędzie na odwagę oddania swego głosu polskiemu kandydatowi.

4) Stan średni, wybierający w tak zwanej drugiej klasie, jest przeważnie niemiecki.

Jakie takie szanse dla Polaka przedstawiają obwody wyborcze:

1) pszczyńsko-rybnicki,
2) opolski,
3) tosko-gliwicki.

W obwodzie wyborczym wielko-strzelecko-lublinickim ruch narodowy za mało dotąd ożywiony, również w kluczborsko-olesznieńskim.

Powiat kozielski złączony jest w jeden obwód wyborczy z niemieckim powiatem głupczyckim, powiat prudnicki, mający bogatych włościan, z niemieckim powiatem niemodlińskim.

W każdym razie należałoby postawić w wszystkich powiatach posłów Polaków, wybory powinny się odbyć pod hasłami polskiemi. Chociaż nie osięgniemy konkretnego rezultatu, w każdym razie zysk moralny będzie ogromny i przyczyni się niezmiernie do rozbudzenia ducha. *Górnoślązak.*

Rozwój towarzystw polskich
na Górnym Śląsku.

„Łączmy się i kochajmy, nie dajmy się.“ (Słowo poety śląskiego *ks. Damrota.*)

Gdy po ciemnej nocy pierwsze promienie światła na wschodzie zajaśnieją, nazywamy tę mieszaninę światła i ciemności brzaskiem, albo mówimy, że zaczyna dnieć.

Podobnym brzaskiem, albo raczej jutrzenką nazwać możemy przygotowania do utworzenia pierwszych towarzystw polskich na Górnym Śląsku.

Już w r. 1858 zaczęli się łączyć młodzieńcy z Rozbarku pod Bytomiem i zbierali składkę na odprawienie nabożeństwa do św. Alojzego, jako patrona młodzieży. I tak to regularne zamawianie nabożeństw do św. Alojzego trwało 13 lat, co podpadło bardzo ówczesnemu kapelanowi ks. Bontzekowi przy kościele N. P. Maryi w Bytomiu. W dzień Zwiastowania P. Maryi, 25 Marca 1871 r. kapłan ten ogłosił z ambony, aby się młodzież licznie zeszła do rozbarskiej szkoły, celem założenia towarzystwa. Zeszło się liczne grono, a jeden z ówczesnych członków jeszcze sobie przypomina pierwszą mowę ks. Bontzka:

„Na tom Was tu zgromadził, abyście czas na dobrem spędzali, a pieniędzy nie utracali. Następnie dlatego, abyście się napróżno nie błąkali. Chcę

Wam dobrego ducha do serca wlewać. Tu się macie pouczać, i nie tylko słuchać, ale i rozważać.“

Po tej przemowie przystąpiono do wyboru zarządu.

I tak powstało pierwsze towarzystwo młodzieży na Górnym Śląsku, które na sztandarze wypisało te słowa księdza Bontzka:

„Ty młodzieży, wznoś sztandary,
„Broń języka, broń twej wiary!
„Kto te Ojców skarby spodli,
„Darmo się do Boga modli.“

Ks. Norbert Bontzek był niejako ojcem towarzystw polskich na Górnym Śląszku, a inne na wzór tego powstały.

Proboszczem bytomskim był wówczas ks. Szafranek, gorący przyjaciel ludu i śmiały jego obrońca, za co go też lud obdarzył zaufaniem i ofiarował mu zastępstwo swoje na pierwszy sejm pruski. Tam to powiedział ten poseł ludu polskiego, stając w obronie praw ludowych, trafne słowa, które każdy Górnoślązak pamiętać powinien:

„*Mowa ojczysta jest kluczem do wszelkiego moralnego i politycznego wychowania ludów.*“

Wszystkie towarzystwa młodzieży były pod przewodnictwem księży. A było ich w 1896 roku 28 towarzystw św. Alojzego, po różnych miastach i wioskach obwodu przemysłowego, bo w Opolskiem i Raciborskiem później się budziło życie i duch polski, a w Kluczborskiem aż do Tarnowic, ta strona to jest tak uśpiona, iż nawet do dziś niema tam towarzystwa polskiego.

Byłoby ich do dziś więcej, ale padł na nie cios ze strony biskupa wrocławskiego, ks. kardynała Koppa, w r. 1897, który w tych niewinnych towarzystwach upatrywał jakąś agitacyę polską i rozkazał księżom wystąpić, złożyć przewodnictwo i rozwiązać towarzystwa, a zamienić je na bractwa kościelne lub niemieckie towarzystwa. Lecz to szczęście, iż przez ten szereg lat taki był duch polski w towarzystwach, iż tylko kilka poszło za germanizatorskim rozkazem, większość zaś zamieniła statuta i nazwizko towarzystwa na *Związek katolickich mężów i młodzieńców. Lecz matka tych towarzystw* została z tą samą nazwą do *dziś* i da Bóg doczekać, może jeszcze większy cios przetrzyma, aniżeli od księdza kardynała *Koppa*.

Towarzystwa te nie zajmowały się polityką, tylko nauką moralną, sprawami religijnemi i zapoznawaniem się z literaturą polską. Prócz towarzystwa młodzieży mamy wiele większą liczbę towarzystw robotniczych i tak licznych, iż niektóre po 1200 członków liczą. Najstarsze z nich miało być w Mysłowicach, ale dziś ono już nie istnieje, bo w r. 1868 założone. Dalej towarzystwo katolickich robotn. w Katowicach założone w roku 1869 przez nauczyciela Kutscherę, do dzisiejszego dnia istnieje.

Z tych tow. robotniczych wyłonił się „*Związek wzajemnej pomocy chrześciańskich robotników*“ ze siedzibą w Bytomiu. Jest to jedno z najruchliwszych towarzystw. Dalej kilkanaście tow. górniczych zawodowych, ale te są już mieszane. Najstarszem z kolei towarzystwem jest Kółko towarzyskie w Królewskiej Hucie, załone w roku 1872 przez Karola Miarkę. Prezesem jest obecnie Fr. Włoczyk. Mamy towarzystwa pod nazwą „Kasyna katolickie“ polskie, których jest mniejwięcej dziesięć, oraz kilka towarzystw przemysłowych, mianowicie: w Bytomiu, w Król. Hucie, w Katowicach, Lipinach i Rudzie.

Na tak wielki obwód przemysłowy jest to stanowczo za mało, i ztąd widzieć możemy, iż nasz przemysł polski na Górnym Śląszku jest bardzo słaby.

Jeszcze się nie przebudzili, albo nie doszli do przekonania nasi przemysłowcy, że obcy zbierają w przemyśle śmietanę a my mleko. A więc potrzeba się łączyć i jeszcze raz łączyć, jak powiada Mickiewicz. Zakładajmy towarzystwa przemysłowe i wstępujmy do nich a przejrzymy. A nie tak stronić od towarzystw, albo pogardzać, jak to wielu czyni, mówiąc, iż tam niema inteligencyi. Przyjść, a wytworzy się inteligencya. Wiele więcej by towarzystwa nasze prosperowały, gdyby inteligencya więcej się zajmowała niemi.

Wszyscy panowie żyjecie z tego ludu polskiego a przyjdzie czas, że wam się ten lud będzie mógł odwdzięczyć.

Dobrze byłoby, aby nasze towarzystwa przemysłowe przyłączyły się do Związku Przemysłowego w Ks. Poznańskiem, którego prezesem jest p. mecenas Czypicki w Koźminie.

Oprócz tego istnieje na G. Ślązku kilka gniazd sokolich, które mają obecnie wielką biedę, bo ani sali nie mogą dostać. Towarzystw śpiewu jest także kilka. Istnieje też parę kółek rolniczych. Nowo powstało towarzystwo właścicieli domów i gruntów. Jest towarzystwo pszczelarzy i dwa towarzystwa kupców polskich i handlarzy, oraz nowo powstałe towarzystwo ks. Engla „szerzenia elementarzy polskich“, prezes ks. Skowroński z Ligoty. Jest to jedyne towarzystwo, które dba o strawę duchową ludności polskiej, przez bezpłatne szerzenie elementarzy.

Mamy także pięć banków ludowych, bardzo bogatych, a te są, w Bytomiu, Katowicach, Siemianowicach, w Opolu i Gliwicach, także i w Król. Hucie ma założonym być bank ludowy.

Co do gazet, to oprócz „Katolika“ czyta jeszcze lud polski „Pracę“ z Poznania, „Diennik Berliński“ i kilka innych.

Życzeniem byłoby, aby cały Górny Ślązk się obudził z letargu i w tych stronach, gdzie nie ma towarzystw, trzeba takowe zakładać i wspierać je, a sprawa wnijdzie na lepsze tory, co daj Boże.

Rzemieślnik S.

O literaturze ludowej Śląska.

W wieku XVIII, w chwili, gdy Śląsk z pod austryackiego panowania przeszedł pod rządy pruskie, żywioł polski był jeszcze bardzo silnym w południowej części kraju. Po polsku wyłącznie mówił cały lud wiejski i znaczna część mieszczaństwa, duchowni słabo umieli po niemiecku. W Bytomskiem zaledwo kilku księży można było znaleść, którzy wogóle po niemiecku rozumieli. Nawet wśród mniejszej wiejskiej szlachty, język polski był nieraz zwykłą, potoczną mową. Już w początkach pruskich czasów, w r. 1764, w Gliwicach byli jeszcze nauczyciele, którzy zgoła języka niemieckiego nie posiadali.

Po dokonanej anneksyi, Fryderyk W. energicznie rozpoczął szerzenie germanizacyi, zakładając w tym celu szkoły początkowe po wsiach i miasteczkach. Zaniedbane dotąd szkolnictwo rozwinęło się istotnie pod kierunkiem słynnego księdza Felbigera z Żegania. Język niemiecki był wprawdzie na pierwszym planie, lecz wobec wielkiej masy ludodowej wyłącznie po polsku mówiącej, uczono na Górnym Śląsku także czytania polskiego.

Elementarne szkoły wydały owoce. Z jednej strony wprawdzie, rząd pruski w znacznej mierze dopiął swego celu. Miasta w całym kraju uległy stopniowo germanizacyi. Szlachty po polsku mówiącej ślad nawet zaniknął. Na Dolnym Śląsku, w stronach przeważnie ewangielickich, żywioł polski został złamanym. Za pruskich czasów zniknęły polskie szczątki w powiatach Zielonogórskim, Trzebnickim, Milickim, Oleśnickim, w okolicach blisko Wrocławia położonych. Natomiast twardo ostał się przy mowie ojców lud wiejski na Górnym Śląsku. Oświata szkolna budziła potrzebę czytania, a przyrodzona siła ciążenia zwracała ją w kierunku polskim. Lud zatracił dawno stare tradycye politycznej jedności, zapomniał o piastowskich czasach, lecz do czytania polskiego garnął się ochoczo. Między niemiecką lub zniemczoną szlachtą, a ludem polskim mało było duchowych punktów stycznych; tylko wyszli z ludowych sfer księża i nauczyciele byli przewodnikami, czytelnictwo poczynało się wyłącznie na tle religijnem. Książki modlitewne, pieśni pobożne, powieści moralno-religijne lub

treść swoją czerpiące w świecie bajek ludowych, były jedynym duchowym pokarmem ludu śląskiego. Bądź co bądź, na Śląsku lud zaczynał czytać już w tym czasie, gdy jeszcze na całym obszarze ziem dawnej Rzeczypospolitej sztuka czytania obcą była nietylko ludowi wiejskiemu, ale nawet korzystającej z praw politycznych szlachcie zagonowej. *Śląsk wyprzedził pod tym względem inne ziemie polskie.*

W początkach XIX. stulecia po miasteczkach w niedzielę mieszczanie schodzili się wieczorem do dobrego czytelnika i z ciekawością słuchali kazań o antychryście. Introligatorzy i obraźnicy handlowali książkami.

W r. 1804 Belitz w Opolu założył drukarnię polską. Proboszcz Gałeczka w Olesznie miał własne czcionki i małą drukarską prasę. Ułożywszy pieśń „Przed Tobą upadamy“, sam ją wydrukował i darmo pomiędzy parafian rozdawał. W tem samem mieście w końcu zesłego stulecia urodzony Józef Lompa, później nauczyciel w Lubszy, w powiecie Lublinieckim, pierwszy piśmiennictwo polskie na Sląsku wyprawił po za granicę wyłącznie religijnej treści. W r. 1821 wydał historyę Śląska dla szkół elementarnych, znaczniej później „Pielgrzyma w Lubopolu“, krótką opowieść śląskiej historyi wzorem pielgrzyma w Dobromilu. Ogłosił także krótki rys geografii Śląska, wydawał poezye i powieści. Ubogi ten nauczyciel wiejski przez długi czas po r. 1820 jednoczył w swojej osobie cały ruch piśmienniczy polskiego Śląska.*) „Ale lampa nie zgasła, choć skąpo oleju jej dodawano“ zwykł był o sobie mawiać, przez aluzyę do nazwiska. Słowa te sprawiedliwie mu się należały.

Przykład Lampy podziałał na innych. Górnośląscy księża Pohl, Stabik, Fietzek, Szafranek piszą i drukują książki polskie na tle religijnem. Zjawił się nawet samorodny pisarz; był nim górnik Lis, który w Opolu, w r. 1840 wydał modlitwy i pieśni dla górników. W r. 1846 ks. Stabik zaczął wydawać kalendarz w Gliwicach. Im bliżej r. 1848, owej prawdziwej wiosny budzących się do życia ludów, tem więcej okazuje się książek. W każdem wielkiem piśmiennictwie rzeczy te przeszłyby bez śladu, niepostrzeżenie. Nie było ich wiele i nie górowały też talentem pisarskim, lecz na śląskim gruncie były jedynym pokarmem duchowym ludu w mowie narodowej.

Pamiętna owa era zaznaczyła się wydatnie na Górnym Śląsku. Powstały pisma i gazety polskie, oczywiście z charakterem ludowym, bo innych czytelników nie było. Ks. Fietzek, proboszcz i fundator kościoła P. Maryi w Niemieckich Piekarach, zaczął wydawać w tejże wsi „Tygodnik Maryański“; „Dziennik górnośląski“ wychodził w Bytomiu, „Telegraf“ w Olesznie, „Gazeta wiejska“ w Opolu, „Przyjaciel ludu“ w Pszczynie. W tem ostatniem mieście, przedtem jeszcze — już w r. 1842 — wychodził „Tygodnik polski“, poświęcony włościanom. *Tym sposobem Śląsk stał się kolebką ludowego dziennikarstwa polskiego, wyprzedzając pod tym względem inne prowincye.*

Po r. 1849 nastąpiła doba ogólnej reakcyi, podczas której upadły także pozakładane gazety polskie na Śląsku. Ruch piśmienniczy ograniczył się znowu do niezbędnych książek religijnych. Pobożny lud górnośląski modlił się z polskich modlitewników, śpiewał po polsku pieśni nabożne, chciwie czytał pisane na tle cudownem powieści, słowem, w zagrodzie swej i rodzinie był zupełnie polskim, lecz poczucie wspólności z ogólnym obszarem etnograficznym jeszcze się w tej epoce nie odczuwało. Ślązacy byli ciągle jakby gałęzią od pnia rodzinnego odciętą, żyjącą własnem odrębnem życiem bez żadnego z całością związku. Z Poznańskiem nie było żadnych poważnych stosunków. Lud śląski nie czuł się jako niemiecki, lecz nie czuł się również polskim, był śląskim i pruskim.

Krótko przed francuzko-niemiecką wojną, jakby w przeczuciu ciężkiej próby, która zaraz potem słowiańskie ludy w Prusiech przechodzić miały, budzi się żywszy ruch na Slązku. Przedewszystkiem dojrzewają dwaj poeci, obaj rodowici Slązacy, obaj niegdyś komilitonowie istniejącego przy Wrocławskim uniwersytecie towarzystwa literacko-słowiańskiego i tam pewnie lepszym duchem owiani, obaj w utworach swych przejęci gorącą miłością ziemi rodzinnej, obaj wreszcie w życiu praktycznem zdala stojący od ruchu ślązkiego odrodzenia. Starszy z nich, ksiądz Norbert Bącek († w Bytomiu 1893 r.) znacznie później dopiero wydał dwie opisowe powieści wierszem o kościele w Miechowicach i Górze chełmskiej, które zresztą na lud nie wywarły wielkiego wrażenia. Wcześniej i z lepszym rezultatem wystąpił zakryty z powodu swego urzędowego stanowiska w kaptur pseudonimu Czesław Lubiński. W r. 1867, w Chełmnie, wyszedł jego Wianek z Górnego Slązka, w którym pomieszczony wiersz o Slązku, zaczynający się od słów:

„Znasz ty tę ziemię, co z swych kruszców słynie“ stał się z czasem ulubioną pieśnią inteligentnych, a w rodzinnym duchu myślących kółek nad Odrą. W rok później w Niemieckich Piekarach pod redakcyą ks. Purkapa, a nakładem i drukiem Heneczka, wychodzić zaczął „Zwiastun górnośląski.“ Był to niesłychanie ważny wypadek w losach czasowego piśmiennictwa polskiego na Slązku, bo odtąd trwa ciągły, nieprzerwany jego rozwój. Małe to pisemko wychodziło raz na tydzień, w niewielkim formacie, w cenie ośmiu srebrnych groszy kwartalnie. Ale w niepozornej szacie mieściło się sporo treści, więc przedewszystkiem artykuły religijne i moralne, nieco polityki ze świata, rozmowy Wojciecha z Jakóbem o bieżących sprawach, wreszcie różne wiadomości historyczne, a w nich częste wspomnienia o starym ojczystym pniu, na którym niegdyś ślązka gałąź wyrosła.

Przygodnie pisali tu wszyscy, nieliczni zresztą Slązacy, którym drogą była oświata ojczysta, pisał więc kowal J. Ligon i nauczyciel Karol Miarka, którego powieść „Szwedzi w Łędzinach“ wyszła w tym samym roku 1868, w drukarni Zwiastuna. Nawet ks. biskup sufragan Wrocławski, Adryan Włodarski, znalazł się w rzędzie współpracowników.

Materyalny byt pisma był z początku bardzo twardy; dopiero gdy Miarka objął redakcyę i z Piekar przeniósł ją do Królewskiej Huty, liczba odbiorców urosła z kilkuset na trzy tysiące z górą. Wtedy jednak wydawca zerwał umowę i usunął Miarkę od redakcyi. Pozbawiony na razie kawałka chleba, Miarka powziął śmiałą myśl założenia drugiego pisma. Nastąpiło to w r. 1869. Zakupiwszy za niewielki pieniądz „Katolika“, wydawanego w Chełmnie przez J. Chociszewskiego, począł go wydawać naprzód w Królewskiej Hucie, potem w Mikołowie. Wojna francuska i ożywiony stąd interes do czytania a więcej jeszcze zagajona po wojnie walka kulturna rozszerzyły koło czytelników. Miarka w piśmie swem stanął śmiało jako rzecznik interesów ludu górnoszląskiego, opierając je zawsze na dobrze zrozumiałej ludowi i wtedy jemu a może i sobie jedynie przystępnej katolicko-kościelnej podstawie. W opozycyi z rządem stojący księża gorąco popierali usiłowania Miarki. Liczba odbiorców rosła jak na drożdżach; wkrótce doszła pokaźnej cyfry sześciu tysięcy. Lud niezadowolony z ograniczeń w dziedzinie szkolnej i kościelnej, garnął się do czytania opozycyjnego organu i chętny posłuch dawał głosowi Miarki, nawołującego do poszanowania języka ojczystego, ciągle jeszcze jako podstawy życia religijnego. W krótkim czasie, nietylko w drukowanem słowie, ale i w czynnem życiu Miarka stał się przewodnikiem swego ludu, zawiązywał stowarzyszenia, urządzał teatra amatorskie w mowie ojczys-

*) Zwracamy na niniejszy artykuł uwagę posła Dr. Jaździewskiego. Może się zapozna z dziejami piśmiennictwa polskiego na Górnym Slązku i pozna, że są i byli tam ludzie, którzy pracują dla idei.

tej. Wprawdzie pierwsze kroki na tem polu stawiano już wcześniej; w Mysłowicach w r. 1868 istniało stowarzyszenie czeladzi katolickiej z charakterem polskim, w którem odegrano może pierwszy amatorski teatr na Szląsku. Miarka pierwszy sprawę stowarzyszeń pchnął na szersze tory, przez nie rozszerzał „Katolika“ a nawzajem przez pisma stowarzyszenia. Redaktorem ludowego organu był wzorowym; pracował nietylko piórem przy stoliku, ale zarazem jako najlepszy przyjaciel i bezinteresowny doradzca ludu w każdej potrzebie. *Takimi są odtąd redaktorzy ludowi na Szląsku*, takimi powinni być wszędzie. *)

Walka kulturna i kierowana na górnym Szląsku przez Miarkę, po ustąpieniu zaś jego przez ks. St. Radziejewskiego obrona wydały błogosławione owoce. Wyrazem ich widomym był wspaniały wiec katolicki, odbyty w wrześniu 1883 r. w Królewskiej Hucie. Świadomość siebie i swoich praw wzmogła na Szląsku potężnie. Potrzeba czytelnictwa polskiego zakorzeniła się głęboko. Brak polskiej nauki w szkole zastępowały matki w domu. To też ani złagodzenie walki kulturnej na polu kościelnem, ani aresztowanie Miarki i spowodowane tem ustąpienie jego z widowni publicznej nie podcięło bytu pisma. Redakcyę „Katolika“ objął ks. Stanisław Radziejewski i byt jego utrwalił najprzód w Królewskiej Hucie, potem w Bytomiu. Umiejętny kierunek redakcyjny, żywotne prowadzenie działu politycznego, przedewszystkiem zaś bogate wiadomości bieżące, lokalne i zorganizowana sieć korespondencyi, których dostarczali liczni czytelnicy pisma, zapewniły mu wysoką poczytność i doprowadziły liczbę odbiorców do imponującej cyfry, wynoszącej z górą 20 000. „Katolik“ po wyjeździe ks. Radziejewskiego w Poznańskie, redagowany obecnie przez Napieralskiego, jest najpoczytniejszem z pism ludowych, wogóle zaś drugiem z kolei na całej przestrzeni ziem polskich. Żelazną, niczem nieprzepartą podstawę wśród ludu, zapewniła mu rozumna obrona interesów ludności robotniczej. Wśród tej właśnie ludności, w okręgu przemysłowo górniczym, w powiatach Bytomskim, Górskim, Katowickim, Zabrzeskim i Gliwickim jest główny korpus czytelników Katolika.

W Raciborzu, w r. 1889 założone zostały przez sfery czysto szląskie nie mające nic wspólnego z partyą centrum „Nowiny Raciborskie“. Była to pierwsza polska gazeta w południowo-zachodniej okolicy Szląska. Dawno przedtem w r. 1846 ks. Cypryan Lelek założył tu czeskie pismo dla zamieszkałej w pobliżu, w powiatach Raciborskim i Głubczyckim, garstki Morawian. Pisemko to wkrótce upadło i odtąd nie było w Raciborzu ani gazety, ani śladu ruchu patryotycznego. Zbudziły go dopiero „Nowiny,“ stanąwszy od razu na szerszym, ogólnym gruncie. Nie opuszczając podstawy katolickiej, pisały jednakże w tonie śmiałym, w imię przyrodzonych praw jedności plemiennej, bez niewolniczej od centrum zależności. Wnet się ożywiło wszystko.*)

*) Niech poseł Jażdżewski to przeczyta — — bez zarumienienia się. *Red.*

Jednocześnie prawie z „Nowinami“ powstało w Raciborzu towarzystwo polsko-katolickie, a wkrótce potem lekarz Józef Rostek zawiązał towarzystwo pomocy naukowej. Ruch decentralizacyi dziennikarskiej poszedł dalej.

We wrześniu 1890 r. w Opolu Bronisław Koraszewski, współpracownik i uczeń ks. Radziejewskiego z redakcyi „Katolika“, z nader skromnymi środkami założył małą drukarnię, w której zaczął wydawać „Gazetę Opolską“. I w tej długo zaniedbanej stronie wionął nowy orzeźwiający prąd. W krótkim przeciągu czasu, młody, niezmordowanej pracy i poświęcenia redaktor, zdążył pozakładać liczne stowarzyszenia w Opolu i okolicy.

Wydawcą „Nowin Raciborskich“ był p. Maćkowski, obecny redaktor „Dziennika Kuj.“, który za śmiałe słowa prawdy przypłacił nietylko utratą niemal całego mienia, ale i więzieniem. Ten sam los spotkał też p. Koraszewskiego wydawcę „Gazety Opolskiej“.

Dr. A. J. Parczewski.

*) To jest poświęcanie się za sprawę, to jest męczeństwo, a nie gonitwa za chlebem — ks. Prałacie Dr. Jażdzewski! Lecz by to umieć ocenić, odczuć, trzeba wpierw *samemu* tego chleba skosztować — a przynajmniej poinformować się od ludzi, którzy ten chleb jedli, jak naprzykład ks. Radziejewski, który również więzieniem przypłacił za sprawę. — Przyp. Red. „Pracy“.

Specyalna korespondencya „Pracy.“

Z Górnego Slązka.

Bardzo to smutno, że w polskich pismach, a więc także w „Pracy“, rzadko kiedy można się spotkać z korespondencyą z Górnego Slązka. A jeżeli już kiedy coś kto napisze, to autorem tych kilku słów jest jaki wykształceńszy rzemieślnik lub robotnik. Ja co to piszę, także należę do tych pierwszych. Inteligencya milczy uporczywie, zdaje się, jakoby jej wcale u nas nie było. Czemu, to panowie inteligentni tak milczycie? Czemu to nie opisujecie stosunków tak smutnych pod względem narodowym na Slązku? Czy to panowie obawiacie się kogoś? Czy się boicie, żeby Was nie poczytano za wielkopolskich agitatorów? Jeżeli tak, to na kogóż ma się ten lud śląski oglądać? Komu ma zaufać? Kogo ma uznawać za swego obrońcę w walce z germanizacyą? Czy zniemczone duchowieństwo górnośląskie?

Ach, serce mi się kraje z bólu i żalu wobec tego duchowieństwa, które wyszło z łona tego polskiego ludu na Śląsku, a teraz zamiast w jego obronie występować przyczynia się wielce do zniemczenia tego ludu i jest podporą hakatystów. Bardzo to smutne, ale niestety prawdziwe. Wprawdzie mamy kilkunastu dzielnych księży, którzy razem z ludem czują ucisk pod względem narodowym, lecz ręce mają skrępowane, a w razie gdyby się odważyli otwarcie wystąpić w obronie narodowości polskiej, dostaliby czarną kreskę u duchownej wyższej władzy.

Albo mamy się spuszczać na posłów naszych górnośląskich? Zaiste nie. Jak ci posłowie dbają o lud polski, o swoich wyborców, niech posłuży fakt, który ich przychylność i obronę w prawdziwem świetle przedstawia. Otóż, gdy urządzono w Bytomiu zjazd Zarządów Towarzystw polskich na Górnym Slązku, około 40 Towarzystw wysłało swoich delegatów. Na ten tedy zjazd wysłano do dziewięciu posłów górnośląskich zaproszenia. I oto słuchajcie: Na zjazd nie przybył *ani jeden* z tych panów posłów centrowych, a wymijającą odpowiedź raczyło nadesłać dwóch posłów i to: Letocha i Moritz. Czy to nie wymowne?!

Albo czy też który z tych posłów pokaże się kiedy wśród swoich wyborców, ażeby im dać sprawozdanie z swojej działalności. Nie mamy do nich zaufania! Na wyżej wzmiankowanem zjeździe Zarządów, powiadał mi jeden z delegatów, że gdyby przy przyszłych wyborach znów postawiono w Bytomskim okręgu centralnego kandydata, to on chociaż socyalistą nie jest, jednak by oddał głos na socyalistę. Bo my lud, rozbrat chcemy wziąść z centrum, my chcemy mieć prawdziwych polskich posłów, którzyby tworzyli kółko w łonie Koła polskich posłów. Więc panowie, kierujący wyborami, pamiętajcie przy przyszłych wyborach, że albo będą polscy-narodowi posłowie, albo...

Powracam znów do sprawy obrony ludu. Panowie inteligentni może powiecie: A przecież macie jako przewodników wasze gazety polskie na Śląsku! To prawda. Ale tu zachodzi duże — ale. Prąd ugodowy, którym się pewne gazety polskie na Śląsku kierują, dawniej uchodził, dawniej nam się mógł podobać, ale dzisiaj, my chcemy więcej ciepła narodowego, więcej gorącego ducha polskiego, któryby nas swym ogniem zagrzał do obrony języka.

Ale czyż w tych gazetach można znaleźć prawdziwego ducha jędrnie polskiego? Zaiste, oprócz wiadomości potocznych, politycznych, z Berlina i mało znaczących artykułów, trudno w tych pewnych gazetach znaleźć coś gorętszego. Gazety polskie śląskie tak piszą ostrożnie i w duchu ugodowym, że prokurator tych pism wcale nie zna...

Każdy z czytelników „Pracy" łatwo pozna ducha tychże gazet, jeżeli tu przytoczę, że taki „Katolik", który ma przeszło 20,000 abonentów, ani słówka nie napisał swego czasu o żałobnej stuletniej rocznicy rozbioru Polski, naszej Ojczyzny. Rok minął i pilnie śledziłem to pismo przez ciąg całego roku, ale nie znalazłem wzmianki o tej ważnej, a tak smutnej dla nas rocznicy. To samo stało się przy obchodzie stuletniej rocznicy urodzin naszego największego wieszcza, Adama Mickiewicza. Mija rocznica za rocznicą bez wzmianki w temże piśmie, a jeżeli już kiedy jakie słówko poświęci, to na końcu pod wiadomościami potocznemi.

Lecz chociaż to pismo tyle tysięcy przedpłacicieli liczy, to ogromnie wielka liczba tychże ani nie wie, że są jednymi braćmi Polakami z nad Wisły i Warty. Nie wiedzą nawet, że dawniej Polska nasza Ojczyzna, istniała wielka i wspaniała. —

Ja znam czytelników „Katolika", którzy już od 20 lat go czytają, ale że nie czytają nic więcej, tedy na sprawach polskich nic się nie znają i o przeszłości narodu nie mają pojęcia.

Jedno jeszcze przytoczę. Bardzo się natomiast chwali „Katolikowi", że urządził bezpłatne zabezpieczenie dla swych czytelników na przypadek śmierci z powodu nieszczęścia. To dobrodziejstwo dla ludu pracującego w kopalniach. Lecz cieplejsze artykuły zdziałałyby również dużo, mianowicie tutaj. Tu trzeba pobudzić ducha, ośmielić lękliwych i zagrzać oziębłych do pielęgnowania języka polskiego i zapoznawania naszych dziejów ojczystych.

Odzywam się jeszcze raz do was, panowie inteligentni. Panowie stańcie się innemi, zrzućcie z siebie tę obojętność narodową, przestańcie się obawiać własnej cieni, przestańcie się umizgać do centrum, do tego centrum, które, można powiedzieć, was i cały lud polski na Śląsku za nos wodzi. Postawcie się na prawdziwem polskiem stanowisku, budźcie lud przez nadsyłanie treściwych artykułów do pism polskich, a zwłaszcza do „Katolika", któremu gorętszych artykułów brak. Lud będzie wam bardzo wdzięczny za waszą pracę. A choć czasem praca nad oświatą ludu najmniej bywa wynagradzaną, za to daje największej zadowolenia wewnętrznego. A więc do pracy, razem do pracy, wspólnie, w zgodzie, dłonią w dłoń.

Wkrótce więcej napiszę do kochanej „Pracy." (Bardzo prosimy. Przyp. Red.)

Młody Górnoślązak.

Z TYGODNIA.

Rzecz dziwna, że prowadzone w ostatnich latach wojny nie przyniosły zwycięzcom żadnych korzyści.

Tak przypominamy wojnę grecko-turecką, z której Turcy, jakkolwiek zwycięzcy, wyszli z faktycznemi stratami. Obecnie tocząca się wojna anglo-boerska zapowiada najzupełniejsze fiasko Anglików pomimo ich zwycięskich depesz.

Angielskie koszta wojenne oblicza *Revue des deux mondes*, jak następuje: „Kilku statystyków zapewnia, że wojna kosztowała 75 mil. fr. tygodniowo. Od września wydatki te zmniejszyły się do 50 milionów tygodniowo, gdyż część wojska powróciła do ojczyzny, tak, że cena zabitego Boera spadła teraz z 1,250.000 na 900.000 fr. O ile przekroczony zostanie kredyt 1.100 mil., żądany przez sir Michała Hicks Beach'a, nie można jeszcze obecnie powiedzieć. Ciężar to będzie tem większy dla płacących podatki, że już wydatki na cele wojskowe wzrosły niepomiernie w latach ostatnich.

Wobec tego mówią już na seryo o zawieszeniu broni i o definitywnem zawarciu pokoju pomiędzy Anglikami a Boerami.

Anglicy, jako naród praktyczny, widzą, że ten cały „interes" za drogo ich kosztuje i chcą, mówiąc po kupiecku — „zlikwidować".

Jedną z ostatnich prób angielskiej polityki było zawarcie przymierza z Niemcami. Przymierze to powitane zostało w Europie jako zapowiedź rozpadnięcia się trójprzymierza, a w samych Niemczech napotkało na ostrą opozycyę, która dobitny wyraz znalazła i w parlamencie. Z dyskusyi przytaczamy tylko urywek, mianowicie, gdy kanclerz Bülow twierdził:

„Naszą politykę zagraniczną dyktują wyłącznie interesy kraju, nie zaś związki pokrewieństwa. Wielcy monarchowie nie mają krewnych — powiedział Fryderyk Wielki. Trzymamy się wyłącznie realnej polityki narodowej, bo takiej polityki domagać się od nas naród niemiecki ma wszelkie prawo".

Przeciwko wywodom kanclerza wystąpił socyalista Ledebur i przywódca wolnomyślnych Richter. Obaj podnosili, że zainaugurowano politykę, która nie znajduje oddźwięku w kraju i jest nawet sprzeczną z uczuciami niemieckiego narodu. Richter zaznaczył także, że przy ochronie rolnictwa nie można poświęcać interesów przemysłu i konsumentów. Bardzo oryginalne były wywody znanego antysemity Liebermanna von Sonnenberg, który twierdził, że „szlachetna" krew anglo-saska znika u Anglików, a przeważa u nich celtycka dzikość i brutalność.

Kanclerz zabrał głos ponownie i oświadczył, że rząd winien bronić ogólnych interesów gospodarczych, a przytem stać ponad stronnictwami. Chodzi jednak przedewszystkiem o pogodzenie z sobą sprzecznych interesów. Otóż nie ulega kwestyi, że rolnictwu przysługuje prawo domagania się opieki i obrony." Uważam podwyższenie ceł zbożowych za niezbędne, ale podwyższenie to jest ograniczone równie ważnymi interesami przemysłu, tudzież koniecznością należytego zabezpieczenia warunków bytu naszych robotników. Wymiar pozycyi celnych winien być przeto dokonany z niezmierną starannością. Dotychczasowe traktaty handlowe nie odpowiadają dostatecznie potrzebie. Pragniemy na innych, odpowiednich podstawach dojść do nowych traktatów handlowych. Cel nowej taryfy celnej nie jest mojem zdaniem celem finansowym. Proponuję przeto, aby w razie okazania się nadwyżki dochodów z nowej taryfy, nadwyżka ta obracana była na cele dobra publicznego w Niemczech. W każdym razie polityka nasza handlowa w stosunku do zagranicy kierować się będzie wyłącznie interesami narodowymi".

W Poznaniu niedawno skończył swe obrady 33 sejm prowincyonalny. Udział polskiego żywiołu uwzględniony został zamianowaniem p. Teodora Żółtowskiego wice-marszałkiem obrad, z czterech zaś wydziałów sejmowych, jednemu zaledwie przewodniczył Polak, p. Stanisław Morawski. Kwestye praktyczne i lokalne, gospodarstwo prowincyonalne zupełnie wypełniły obrady, w których nie stało miejsca dla zaostrzonych na szerszej arenie przeciwieństw narodowych. Na obiad sejmowy u naczelnego prezesa, po raz pierwszy od czasu swej choroby, przybył ks. arcybiskup Stablewski.

K. O.

PRZEGLĄD PRASY.

Ponieważ w zasadniczych artykułach jużeśmy wszechstronnie omówili sprawę stosunku politycznego naszego społeczeństwa do centrowców niemieckich,

obecnie zatem, podając głosy prasy naszej w tym przedmiocie, czujemy się zwolnieni od obowiązku zaznaczania naszego stanowiska.

Wyborny artykuł p. t. „Bądźmy niezawisłymi“ — ogłosił w tej sprawie **„Goniec Wielkopolski“**. Nie przytaczaliśmy tego głosu poprzednio, chcąc zachować go sobie na numer niniejszy:

„Ostatniemi czasy niejednokrotnie pojawiały się w dziennikach naszych artykuły, tchnące duchem zachęty, ażeby Polacy „szli ręka w rękę“ z centrum jako najlepszym sojusznikiem. Do takiego zapatrywania skłaniają się też po części posłowie nasi, ale nie podziela go stanowczo ogół społeczeństwa, który ich wybiera. Cały szereg doświadczeń dawniejszych i nowszych spostrzeżeń złożył się na przeświadczenie takie, że niewolnicze trzymanie się wytyczni, dawanych przez wielkie katolickie stronnictwo niemieckie, szkodzi naszej sprawie i że jedyną właściwą postawą dla posłow naszych jest zupełna niezawisłość od polityki jakiegobądź stronnictwa.

„Duszeni złudnemi widokami i obiecankami posłowie nasi niejednokrotnie schodzili na drogi, które szły wprawdzie równolegle z drogami centrum, ale krzyżowały się z kierunkiem szczerej, prawdziwej i nieodmiennej myśli polskiej. Na drogach tych nie wiodących do żadnej poważniejszej materyalnej zdobyczy gubił się wątek narodowych dążeń, ten wątek, który nam podają nasza przeszłość dziejowa, nasza teraźniejsza istota i nasze ideały. Zwolennicy wieczystej przyjaźni z centrum przedstawiają sprawę tak, jakbyśmy od tego stronnictwa Bóg wie jakich dobrodziejstw doznawali i przez nie większych jeszcze spodziewać się mogli. Tymczasem cała ostatnia, wroga Polakom, prawie już trzydziestoletnia era powinna była nauczyć nas, że za sprawą polską, jeśli nie jest zarazem katolicką, centrum kopii kruszyć nigdy nie myślało i zapewne też w przyszłości kruszyć nie będzie. Wszakże nieraz chodziło rządowi w zagadnieniach żywotnego dla Niemiec znaczenia o pomoc centrum ba, ta pomoc była nawet nieodzowną, a w takich momentach czyli nie można było w zamian zażądać zniesienia ustaw antypolskich i sprawiedliwości dla polskich poddanych? A czy wtedy centrum pomyślało o naszej doli? Czy raziło je to, co nam do głębi serca dojmowało, co nieraz krzyk bólu i oburzenia wywołało w prasie naszej? Nie, raził je nieraz raczej krzyk protestu przeciwko naruszeniu praw narodowych, a niektóre pisma katolickie nazywały krzyk taki wybrykiem szowinistycznym!

„A przecież program posłów polskich powinien być czysto polski, powinien być odrębny tak samo, jak odrębnym jest naród polski, jak odrębnemi są uczucia i myśli polskie. Jak w kraju społeczeństwo całe chroni się od germanizacyi, a nawet od jej pozorów, tak też program posłów naszych od wszelkich obcych wpływów i od pozorów niepolskiej myśli wolnym być powinien. Bądźmy sobą i okazujmy się sobą, a nie oszukujmy siebie samych, że coś wypolitykować zdołamy. Polityka jest rodzajem targu. Targować się zaś można wtedy tylko, gdy jest czem się targować. A ponieważ na targu politycznym niczego, nawet poważniejszej liczby głosów poselskich wystawić nie możemy, przeto o polityce polskiej w ścisłem pojęciu mowy nawet niema“.

Niefortunna mowa posła dra Jażdżewskiego wywołała w prasie naszej i zakordonowej formalną burzę protestów i krytyk. Głos ogólny uznał ten wykwit parlamentarnej dyplomacyi, a nieparlamentarnego lekceważenia woli ludu — za jeden z najsmutniejszych objawów, które się pojawiły ostatniemi czasy na naszym horyzoncie politycznym. Zadaleko byśmy zaszli, gdybyśmy chcieli przytaczać głosy pism wszystkich, musimy się ograniczyć do najznamienniejszego głosu, bardzo przekonywującego i logicznego, z którym spotkaliśmy się na łamach **„Dziennika Kujawskiego“**. Słusznie można było spodziewać się po tem piśmie dzielnej odprawy, ponieważ kierownik jego dzisiajszy jest dawnym redaktorem „Nowin Raciborskich“ i załużonym działaczem w sprawie górnośląskiej. **„Dzien. Kujawski“** otóż pisze:

„Wywody ks. prałata Jażdżewskiego grzeszą przeciwko prawdzie z tej przyczyny, ponieważ „agitacya polska“ na Sląsku nie jest dziełem kilku rodaków — podjętem rzekomo „dla chleba“. To twierdzić tylko może człowiek, który nie ma najmniejszego pojęcia o stosunkach górnośląskich, lub któremu „ugodowe zakusy“ zupełnie wzrok przyćmiły. Faktem przecież jest, że narodowe odrodzenie Sląska wyszło z łona tego ludu, że pierwszymi apostołami tego odrodzenia byli rodowici Górnoślązacy: Lompa i Miarka i inni, a pośrednio pierwcy ślązcy ks. Stabik, ks. Bączek, ks. Damroth. Żaden z obecnych redaktorów polskich nie poszedł tam z własnego popędu, lecz na żądanie i życzenie rodowitych Górnoślązaków. Chleb redaktorski na Sląsku jest bardzo gorzki i każdy z redaktorów tamtejszych przypłacił go już długiemi karami więziennemi. Niejeden też chętnieby wrócił do Księstwa, gdyby go nie wstrzymywał ów zapał serdeczny a wprost żywiołowy dla sprawy narodowej, jaki okazuje lud górnośląźki.

„Ks. prałat Jażdżewski uważa widocznie redaktorów górnośląźkich za prawdziwych cudotwórców, jeśli im jedynie przypisuje zmianę stosunków na Slązku. Redaktorów poznańskich na Górnym Sląsku jest zaledwie kilku, a lud ślązki liczy więcej niż milion dusz. Niemożliwą tedy chyba wręcz jest rzeczą, iżby tych kilku ludzi, pracujących w dodatku jeszcze, jak twierdzi ks. prałat Jażdżewski — głównie dla chleba“, mogłoby wytworzyć taką zmianę w usposobieniu, poglądach i uczuciach tak ogromnej liczby ludu, gdyby lud sam nie odczuwał potrzeby tej zmiany, gdyby sam dobrowolnie a chętnie jej się nie poddawał. Tak też nie jest! Lud górnośląźki sam żywi głękokie i wierne poczucie polskie, sam się odradza narodowo — redaktorzy zaś są jedynie pomocnikami ludu w tym kierunku, wykonawcami jego pragnień i jego woli. Nie sztucznym, lecz naturalnym zupełnie — jak to już wskazano na wiecu w Gliwicach, jest dzisiejszy ruch narodowy na Sląsku — a kto tego nie rozumie i nie pojmuje, ten widocznie nie pojmuje i nie rozumie duszy narodu, nie pojmuje tego ogromnego płomienia boskiego, jakiem jest poczucie narodowe.“

W krytykę wywodów posła Jażdżewskiego już się tu bawić nie będziemy, natomiast dajemy wyraz zapatrywaniu, że bez względu na te lub inne deklaracye poselskie (które samym tylko posłom ujmę przynosić mogą) ruch narodowy na Górnym Slązku w ciągu najbliższych dwóch lat, które nas dzielą od wyborów, przełamie wszelkie faktyczne zapory i przeprowadzi polskich kandydatów do parlamentu, a może i sejmu. Posłowie obecnie dzierżący mandaty ślązkie nie mają się przed ludem polskim wykazać niczem, prócz chyba wyrazów głębokiej uniżoności i zapewnień przyjaźni ze strony ugodowej części Koła polskiego, — a o te zapewnienia lud polski na Górnym Slązku tyle dba, co o zeszłoroczny śnieg. Jako istotny wyraz zapatrywań ludowych sfer przytaczamy tu głos **„Dziennika Berlińskiego‘** (z numeru górnoślązkiego):

„Ale pożal się Boże z taką obroną! Nie wiedzieć czy płakać, czy też śmiać się nad przedstawicielami naszymi w Berlinie. Ale gorzko żalimy się; potępiamy tych ludzi, którzy nie wiadomo z jakich powodów, w błąd nas wprowadzili i namówili wybrać takich posłów jak hrabia Ballestrem, Stefan i inni. Naprzykład taki hrabia Ballestrem, który swego czasu chciał nas „Polaków bić po pyskach“, ma bronić narodowości naszej, on Niemiec zażarty, nie należący wprawdzie jawnie do bractwa hakatystów, ale w głębi duszy żywiący te same uczucia, co prześwietne bractwo, broniące „uciemiężoną niemczyznę na wschodzie“. Taki hrabia Ballestrem, wielki pan, właściciel kopalń, fabryk i folwarków ma się starać o to, aby robotnik miał coraz większe zarobki, dostawał coraz większą pensyę na starość i gdy go spotka nieszczęście przy pracy? Wszak on, który żyje z pracy ludu, stara się, by miał jaknajwiększe zyski. Wybraliśmy niemieckiego pana tego posłem, i zrobiliśmy to samo, jak gdybyśmy djabłu duszę powierzyli, by ją poprowadził do nieba. Podobni temu panu są inni nasi posłowie, jedni Niemcy, drudzy także „po polsku mówiący Prusacy“, Polaka między nimi nie znajdziesz, a przecież u nas lud polski posłów wybiera i mandaty rozdaje. Jakiem prawem otrzymują je Niemcy?

„Obrona, jakiej doznajemy od naszych posłów, jest też zupełnie dziwacznym wyborom u nas podobna. Centrowa frakcya co rok każe jednemu z swych członków odśpiewać starą litanię, że dzieci naszych nie uczą religii w języku polskim i na tem kończy się obrona naszej narodowości. Rząd, zdaje się, wie dobrze, że centrum jest zmuszone raz w rok te gorzkie żale odśpiewać, aby polskim wyborcom oczy zamydlić i gęby zamalować, i nie bierze sobie tego do serca. Tak broni centrum naszej sprawy narodowej.

„A może centrum broni naszych spraw robotniczych? Oj, widzieliśmy to, jak czytano petycye związku wzajemnej pomocy. Sląskie gazety nasze pisały, że petycye nasze polecono zachować jako materyał, to znaczy jednakże dla każdego człowioka znającego stosunki parlamentarne, że nasze petycye poszły do kosza.

„A czy wtedy przemawiał który z górnośląskich posłów?

„Przypomnijcie sobie, jak to centrum

broniło sprawy robotniczej podczas obrad nad polepszeniem prawa o zabezpieczeniach na starość i od wypadku. Raz oświadczali, że można tylko tyle od rządu dla robotników wymagać, ile podług prawdopodobieństwa tenże uczynić zechce, drugi raz, że trzeba się prędko ze sprawą zabezpieczenia załatwić, bo czas wyjeżdżać na wakacye.

„Posłów posyłamy na to do parlamentu i sejmu, aby tak od rządów pruskich jak też niemieckich jaknajwiększe prawa nam wywalczyli, na przytakiwanie rządowi wystarczyłyby nam i lalki malowane.“

Jednem z pism, zasługujących na gorące poparcie na Górnym Ślązku, jest redagowana w duchu szczerze polskim i ludowym **„Gazeta Opolska“**. Zapatrywania tego pisma na sprawę kandydatów polskich na Górnym Ślązku odpowiadają też istotnym potrzebom społeczeństwa i nie różnią się od wyrażonych powyżej poglądów. Nadto „Gazeta Opolska“ ma i tę jeszcze zasługę, że sprawę polską na Górnym Ślązku ujmuje zawsze zasadniczo, jako nieodłączną dziś część sprawy polskiej wogóle.

Oddawna już trzymamy w tece wyborny artykuł tego pisma, aby go w niniejszym numerze, jako przeznaczonym dla Górnego Ślązka, przytoczyć:

„Jak wyglądało na Śląsku z początkiem 19 stulecia? Jedną tylko odpowiedź dać możemy na to pytanie: Niezmiernie nędznie! Nędzę tę odzwierciedlić i opisać odpowiedniemi słowami, to trudne bardzo zadanie, bo była ona tak wielka, że w czasach teraźniejszych ani wyobrazić jej sobie nie jesteśmy w stanie.

„Cały lud śląski jęczał wówczas w pętach niewoli poddaństwa cielesnego i ciemnoty duchowej. Ciałem był przykuty do pana, który nad osobą jego miał nieograniczoną władzę, nieprzymierzając jak nad wołem lub wogóle bydlęciem. Bo jak bydlę trzymamy i żywimy tylko na to, by nam pracowało, powiększało nasz majątek i nas żywiło, tak też w czasach owych lud wiejski pracował tylko dla powiększenia pańskiego majątku i dla uprzyjemnienia panu życia. Lud nie miał własności takiej, jak ją dziś rozumiemy. Pan wyznaczył chłopu kawał roli, aby ją uprawiał i przez to zarabiał na utrzymanie swoje i swojej familii. Rola ta nie należała jednak do chłopa, bo pan mógł go w każdej chwili z niej wypędzić i oddać ją innemu. Chłop nie miał także własnego domu. Pan dał mu wprawdzie drzewo na wybudowanie nędznej chałupy, ale po jej wybudowaniu uważa się za właściciela, z której w każdej chwili mógł jej mieszkańców wyrzucić.

„*Zmiana na lepsze nastąpiła dopiero po wielkiej klęsce państwa pruskiego*, zadanej mu przez Napoleona I w r. 1806. W nieszczęściu swem rząd zrozumiał, że chcąc się wyratować, trzeba uwolnić lud z poddaństwa, dać mu wolność i własność, wychodząc przytem z zasady, że kto nic nie posiada, tego nie łatwo skłonić do obrony cudzej własności. By więc wypędzić z kraju Francuzów i zachęcić lud do czynnej obrony, nadano mu wolność osobistą i przyznano chłopom tę rolę, którą dotychczas uprawiali na swe utrzymanie, na własność, zwalniając ich przytem od wszelkich obowiązków względem pana. Ale nie długo to tak potrwało. Jak tylko bowiem wypędzono Francuzów z kraju, zaczęto okrawać prawa, co dopiero ludowi nadane. Chłopi musieli odrabiać przez pewną ilość dni pańszczyznę, stanowiącą zapłatę za wyzwolenie ich z pod jarzma poddaństwa. Stosunek ten trwał jeszcze blizko 40 lat, bo dopiero w r. 1850 został ostatecznie uregulowany.

„Temu nieszczęśliwemu położeniu i niskiemu upadkowi ludu postanowili zapobiedz księża; między nimi położyli największe zasługi ks. Ficek i ks. Szafranek w piątym dziesiątku ubiegłego stulecia. Ks. Ficek zakładał towarzystwa wstrzemięźliwości, by uchronić lud przed pijaństwem, ks. Szafranek zaś rozpowszechniał po kraju elementarze, by lud nauczyć czytać i zapoznać z inną zabawą, z czytelnictwem książek i gazet. Były to podstawy, na których z czasem miał się wznieść gmach oświaty ludowej, tej wielkiej gwiazdy, prowadzącej lud do prawdziwej wolności ciała i ducha.

„Tak więc powstały za pośrednictwem początkowo księży, później także ludzi świeckich gazety ludowe na Górnym Ślązku, niosąc przed ludem kaganiec postępu i rozwoju umysłowego, dając mu to, czego szkoła, celom germanizacyjnym służąca, dać nie może.

„Jak więc widzimy, dotychczas starali się o rozwój oświaty na Górnym Śląsku ludzie dobrej woli, kochający lud i szczerze mu życzliwi, pragnąc wydostać go z poniżenia osobistego i narodowego. Natomiast lud sam z nielicznymi niestety wyjątkami nie troszczy się wcale o własne swe wykształcenie. Trzeba go wprost popychać do abonowania gazet a jeśli się kogoś uda zachębić do czytania, to gotów on to uważać za łaskę z swej strony.

„Znając jednak przysłowie, że Krakowa w jednym dniu nie zbudowano, nie tracimy wiary w przyszłość ludu śląskiego. Pozostało wprawdzie jeszcze bardzo wiele przywar z przeszłości; pijaństwo jeszcze bardzo rozpowszechnione, czytelnictwo zaś dosyć wolno się rozwija, ale widać przecież postęp ku lepszemu.

„Zważmy tylko wybory polskich posłów do parlamentu i sejmu, zważmy polskie wiece ludowe, a musimy przyznać, że lud górnoślązki przy końcu 19-go stulecia stanął na stosunkowo wysokim szczeblu rodzimej, własnej, polskiej kultury i oświaty.“

Życzeniem, aby przy przyszłych wyborach górnoślązki lud dał dowód swej polskości, zamykamy niniejszy przegląd prasy. *B. M.*

Głosy od Przyjaciół.

Drezno.

Kolonia polska w Dreźnie nosi w wysokim stopniu cechy rozproszonych wśród wielkich miast niemieckich kolonii polskich, — cechy, któreśmy scharakteryzowali omawiając polską ludność Berlina.

Liczba stale zamieszkującej w Dreznie ludności polskiej nie przenosi tysiąca głów. Nie składa się ona z ludzi jednakowej sytuacyi materyalnej, położenia towarzyskiego, lub wreszcie pochodzenia z jednej i tej samej prowincyi. Wyróżniają się trzy kategorye: Inteligencya (akademicy, lekarze, adwokaci, wyżsi urzędnicy, artyści-malarze i arystokracya), rzemieślnicy i kupcy (pomiędzy rzemieślnikami najwięcej jest krawców), a wreszcie robotnicy.

Podczas gdy liczba pierwszych dwóch warstw, składających kolonię polską, prawie że nie ulega zmianie, liczba robotników polskich, stosownie do zapotrzebowania i pory roku, zwiększa się lub zmniejsza. W lecie przy robotach ziemnych, w cegielniach i plantacyach podmiejskich pracuje do trzech tysięcy Polaków.

Ludność polska stale mieszkająca w Dreźnie, oddawna już uczuwała potrzebę utworzenia towarzystw polskich, istnieją też ich cztery 1) Towarzystwo przemysłowców polskich, założone w r. 1870, liczące około 40 członków, 2) Towarzystwo pol. katol. robotników pod opieką św. Wojciecha, założone w roku 1898. Odznacza się ono znacznem ożywieniem w lecie t. j. podczas napływu sezonowych robotników i ma charakter bardziej religijny niż narodowy, 3) Towarzystwo śpiewu „Chopina“ i 4) Towarzystwo socyalistów polskich, założone w r. 1890 (ma 30 czł.)

Żadne z tych towarzystw nie daje dowodów rozległej działalności. Istnienie ich nazwać raczej można wegetacyą. Inteligencya nie popiera wcale usiłowań dążących do spotęgowania objawów żywotności kolonii polskiej, a młodzież t. j. akademicy, choćby nieraz i chcieli wystąpić w towarzystwach z odczytami, ze względu na policyę zaniechać muszą najlepszych zamiarów. Przed paru laty wydalono z Drezna kilku akademików, pochodzących z Galicyi i z Królestwa, za to, że mieli odczyty w towarzystwach polskich.

Liczba małżeństw mieszanych jest znaczna. Germanizacya dzieci postępuje nadzwyczaj szybko. Są rodziny, gdzie ojciec i matka zaledwie trochę mówią po niemiecku, a dzieci wcale polskiego języka nie znają.

Jako instytucya wchłaniająca przybywający tu prosty lud polski i przerabiająca go nieznacznie na niemiecki, funkcyonuje znakomicie *Kathol. Gesellen Verein*, pozostający pod opieką i kierownictwem księży.

Stosunki opieki duchownej opłakane. Od lat 15 zaledwie raz jedyny odbyło się polskie nabożeństwo z kazaniem, a mianowicie, gdy przed kilku laty bawił tu w przejeździe ksiądz prałat Wawrzyniak i odprawił mszę w kościółku na Neustadt i miał kazanie polskie. Do słuchania spowiedzi wielkanocnej przyjeżdża ksiądz, rozumiejący po polsku, lecz kazań nie wygłasza. Dawniej było na drzwiach zakrystyi ogłoszenie w polskim języku, kiedy można się spowiadać po polsku. Obecnie znikło.

Najbliższe kolonie polskie są w Chemnitz (Kamienicy), Mittweida i Bautzen.

Czytelnik „Pracy.“

„Tu początek polskiej drogi
„I tu kamień jest węgielny,
„Co ma dźwignąć dom ubogi,
„I dać ziemi rok weselny."
W. Pol.

RODZINA-DOM.

Jadwiga z Z. S.

(Przedruk dozwolony tylko za podaniem „Pracy" jako źródła).

„Lecz czas łuskom odpaść z powiek,
„Czas już przejrzeć Boga wolę,
„Czas anielski podjąć trud,
„Czas odrzucić wszelki brud
„I tem samem znieść niewolę."
Zygmunt Krasiński.

Karta historyi naszego narodu — zamknięta. Ci, którzy ogłosili światu, iż Polska żyć przestała, powiedzieli zarazem, że historya Polski skończona. Ostatnia data rozbioru Ojczyzny naszej podpisana przez ostatniego naszego króla, jest metą, u której mieliśmy stanąć. Przecięto pasmo wolnego bytu narodu, wykreślono mapę Polski z kart Europy — powiedziano: — koniec.

Jednak głoszona śmierć nie była śmiercią.

Nie przestaliśmy żyć, jeno poczęliśmy żyć inaczej. Poczęliśmy wołać o to, by odrodzić naród w duchu, by go podnieść moralnie, by pokrzepić jego siły, bo w tych warunkach smutnych, jedynie praca wewnętrzna w narodzie mogła przed śmiercią wrota zamykać.

Minął wiek niedoli, poniżenia, sromu.

Najnowsze karty historyi, pisane od roku 1795 mówią wiele o tem, iż nie usnęliśmy w letargu, nie staliśmy z założonemi rękoma, nie zgrzeszyliśmy zwątpieniem.

Naród dźwigał się z upadku wytrwale, zadziwiał świat odwagą, męztwem i poświęceniem.

O życiu swem świadczył w bojach powstańczych, w pracy wewnętrznej, w odrodzeniu poezyi, literatury i sztuki.

Zwrócono się do ludu, poczęto go dźwigać w oświacie, zakładać szkoły, uświadamiać zastępy siermiężnej braci o ich obowiązkach obywatelskich, w zakresie podniesienia dobrobytu, rolnictwa i postępu robiono tyle, ile można było zrobić w trudnych naszych warunkach.

Jednak mimo tego wszystkiego, nie czujemy się silnymi, nie patrzymy z spokojem w przyszłość, nie możemy rzec, żeśmy zmężnieli, urośli silnie duchowo i moralnie w cnoty tak, jakoby nam silnymi i wielkimi być należało.

Do poprawy i do ulepszenia w naszem życiu moralnem, obywatelskiem, narodowem i patryotycznem — jest jeszcze bardzo wiele, a kto wie, czy nie coraz więcej.

Epoka obecna, pełna wynalazków i zdobyczy naukowych, epoka niosąca hasła realne, materyalne wyżej nad cnotę i moc duchową, epoka, oceniająca wszystko rozumem, a depcąca idee, jako rzeczy zacofane, ta epoka w samem życiu moralnem wielki wpływ wywarła.

Dawne cnoty gasną. Zwyczaje, tradycye — nikną. Stajemy się kosmopolitami w życiu, zasadach i uczuciach. Tu — lub tam strzeli wyżej duch potężniejszy, charakter czystszy, serce gorętsze, to też taka jednostka świeci jak pochodnia, na nią wszyscy wzrok zwracają, na nią wkładają ciężary i powinności wielkie, ona robi za setki, kocha za setki, myśli za setki.

Ale zaś niezliczona liczba jednostek w narodzie naszym jest tylko jednostką z liczby i istnienia, a nie z pojęcia swych obowiązków i z powinności, nie z wykonywania prac, nie z życia pełnego podniosłych przykładów.

Dlatego nie wykonuje się u nas wielkich prac tak jakby je wykonywać trzeba.

Dlatego nie idzie się u nas prawdziwie w górę, ani nie orze się na tę wielką przyszłość, która przyjść musi do narodu silnego moralnie i duchowo.

Gdzie wina?

Gdzie źródło poprawy?

Jest wielki i potężny świat, świat wiecznotrwały, choć na milionowe części rozdzielony, choć podkopywany i podminowany bezustannie — świat pełen siły, nadziei i przyszłości... i w nim tylko możemy zabrać się do naprawy naszego życia, odrodzenia ducha i cnoty.

Świat ten zwie się — *rodziną!*

Wy, którzy weń nie wierzycie, którzy z niego szydzicie, którzy podeptaliście jego świętość i czystość — nie urągajcie...

Wy, którzy go nie cenicie, nie znacie jego czarów i piękna, którzy jesteście zimni dlań i obojętni — nie odtrącajcie...

Wy, którzy macie serca gorące, wyciągacie ramiona z tęsknotą do lepszych dni życia, którzy pragniecie skarbów duchowych dla narodu stokroć krzywdzonego i pogardzonego, idźcie z nami, a będziemy o tem gwarzyć, czem dziś *dom i rodzina* być powinne.

Nieudolne nasze słowa do wygłoszenia wielkich prawd, do rozsiewu wielkich myśli, do wskazania wielkich dróg życia... jednak serce się garnie ku temu, bo pragnie wyprząść jedną bodaj nić jaśniejszą z głębi ducha, by i taką odrobiną dopomódz pracy narodowej.

Nie da się tu wypowiedzieć wszystko o powinnościach i obowiązkach rodzin, bo na to trzebaby pracy o wiele większej, niż nasza. — Nie da się tu ująć w ramy obrazu świat niezmierzony, materyalnie nieuchwytny — świat wiary, ducha, cnoty i przyszłości... jednak idźmy!...

Warto rzucić na chwilę czcze rozmowy, lekkie powieści, wygodne drzemki, na to, aby poznać, w czem jesteśmy słabi i winni, bo*) „duch nasz wzrośnie nie w swawoli, nie w rozpuście, nie w pogardzie religii i obyczaju, ale w gorącej, prostej pobożności, w surowych cnotach, w zamiłowaniu tego, co piękne i wzniosłe i narodowe."

__Rodzina__ — to kolebka i cnót wszystkich zaród,
Z niej wyrasta, co tylko ma świętego naród,

powiedział ksiądz Biskup Krasicki, dodając na innem miejscu:

*) Brodziński

— *Rodzina,* to moralna podstawa narodu! Bo bez zaprzeczenia *rodzina* jest i będzie podstawą narodu, jego siłą, potęgą, jego życiem i skarbem. A jak bez silnych fundamentów nie może istnieć gmach potężny, tak bez szlachetnie rozwiniętego życia *rodzinnego,* nie może naród mężnie wznosić się, stawać narodem, mającym słoneczną przyszłość przed sobą.

Rodzina — jest atomem wobec ogromu ludzkości, zamieszkującej glob ziemski — to kropla wody wobec oceanu to ziarnko drobne wobec łanu rozległego, szumiącego falą kłosów.

A jednak, choć zda się nikła, jak jest wielka!... Bo ma wielki cel w swem istnieniu i jeszcze większe powinności do wypełnienia. I zda się, że mówić o posłannictwie *rodziny* wogóle, a *rodziny polskiej* w szczególności, dziś — w dniach przełomowo twardych i trudnych, pełnych zawikłań i rozstrojeń — to znaczy uderzać w ton brzmiący nam ciągle w uszach, to znaczy powtarzać znane, stare, dobrze zrozumiane zasady.

Tak się zdaje.

W istocie — gdy z głębi ducha rwie się myśl gorąca, gdy z serca płynie pragnienie gawędy o tem, co najdonioślejsze i najdroższe — niema zda się tematu innego, ani kwestyi żywotniejszej nad rozwagę o powinnościach i obowiązkach *rodziny,*

Co to jest *rodzina?*

Ty pytasz?

Ciebie nie zadowalnia ta steorotypowa odpowiedź, iż *rodzina,* to ojciec, matka i grono dzieci.

Ah tak!... Zapewne, iż jeśli się tylko tyle wie o rodzinie, to wie się o niej za mało.

U nas nawet powszechniej zamiast słowa rodzina używa się wyrazu *dom* i temi trzema literami ma się oznaczyć to wszystko, co obejmuje życie prywatne, co jest zamknięte w naszem kole i jest nam najmilsze — najdroższe — najsłodsze...

Wracam do *domu* — mówi z radością młodzian przy końcu roku szkolnego i już marzy o tem życiu, jakie go czeka, o tem tchnieniu jego tak odrębnem od tchnień innego życia i ruchu, o jego harmonii — serdeczności i treści — — tak samo nieraz zupełnie innej od treści życia rzewnego...

Bo *dom* — to rzecz tak zjednoczona z pojęciem rodziny, iż ani domu bez rodziny, ani rodziny bez domu wyobrazić sobie nie można.

Czem gniazdko dla ptasząt — tem dom dla rodzin.

I tu i tam kolebie się młode życie, i tu i tam roztaczają się skrzydła troskliwej opieki, i tu i tam serdeczna miłość stoi na straży, aby uchronić ten kącik od napaści, od wichrów, zagłady, niepokoju niedostatku i smutku...

Dom!

Cztery ściany bielone, jedno okienko małe, drzwi skrzypliwie się zamykające — piec z przytuloną do niego ławą — strzecha mchem porosła — oto dom!...

Wspaniały gmach, lśniący kilkoma rzędami ogromnych okien, ozdobiony kolumnami o formach klasycznych, składający się z wielkiej liczby salonów, komnat, krużganków, z przepychem urządzonych — gdzie pełno marmurów, zwierciadeł i arcydzieł sztuk pięknych, to także dom!...

I wilgotna, ciemna, ponura izdebka w suterenach, do której rzadko kiedy złoty gość — promyk słoneczny zawita, i ta stancyjka na poddaszu, z której tylko dymy i czarne niekształtne dachy widać — to także dom!...

Jakże więc dużo to słowo w sobie kryje!... Jakąż obszerną gamę obejmuje!...

Od najnędzniejszej lepianki do najwspanialszego gmachu wszystko to, co w stopniowaniu od nędzy do przepychu da się ująć i w skalę postępowania ułożyć — to wszystko słowo *om* w sobie kryje.

Bo dom, prócz znaczenia swego określającego nazwę budynku mieszkalnego — ma przecież inne, wielkie, wzniosłe, święte znaczenie.

W słowie dom kryje się cały urok, piękno i szczęście życia *rodzinnego,* ciszy, spokoju — słodyczy i tego ciepła, jakiego nic w świecie nie da. To też, gdy się w gwarze ludowej spotyka owe dość często powtarzane wyrazy „bezdomny sierota“, zdumiewa to nas, jak lud umie w dwa słowa ułożyć tyle skargi i bolu...

Człowiek bez *domu-rodziny* — ptaszę bez gniazda, wiosna bez kwiatów, lato bez słońca.

Człowiek bez *domu-rodziny,* to na stepie samotnie stojąca drzewina, to złamane życie — pęknięta czara szczęścia.

Człowiek bez *domu-rodziny,* to wieczny tułacz, wygnaniec, istota biedna, sierota wśród świata wielkiego — sama jedna — sama jedna.

Człowiek bez *domu-rodziny,* to zbłąkany wędrowiec wśród wielu dróg życia — zabrakło mu tego światła, jakie daje ognisko domowe, więc ciemności otoczyły go w około — serce w piersi zamarło — najbliższy cel życia stracony. Niema gdzie spocząć, niema osobistego celu, do którego idzie — najnieszczęśliwsze życie istoty — a przecież — — ileżby Dyogenes odnalazł dziś wśród nas takich biednych ludzi — odnalazłby nawet — bez swej latarni!!

Dom-rodzina — to jedno.

Nie cztery ściany, które nas okrywają przed zimnem i deszczem, stanowią *dom,* ani samo istnienie kilku jednostek złączonych węzłem krwi — noszących jedno nazwisko — nie stanowią *rodziny.*

Są tacy, którzy mają domy bardzo wspaniałe, a przecież właściwie domu nie mają. I są tacy, którzy mają rodzinę, a przecież jej nie mają.

Tysiące, miliony domów na naszej polskiej ziemi — w każdym z nich tli się ognisko życia rodzinnego — w każdym kolebie się przyszłe pokolenie narodu — w każdym powinien mieszkać duch posłannictwa idei, która żyć musi i musi świecić.

Jednak są domy bezduszne i są rodziny, które idei nie znają.

Hoffmanowa powiada:

— Gdzie nie ma domowego życia, tam nie ma dobrych obywateli, tam miłość i porządek w parze nigdy się nie zejdą, tam zwichnięte w gruncie swoim cierpi *szczęście* kraju!!...

A w innem miejscu znowu woła:

— Bez *rodziny,* bez tych cząstkowych skojarzeń sił, z jednej strony, a słodyczy z drugiej, czemże byłoby ludzkie istnienie? — Spytajmy tych, którzy są osieroceni, których dola wygnała dość wcześnie z domowych progów, którym życie nie dało jaśniejszych chwil szczęścia i ciszy rodzinnego życia — jakie istnienie bez miłości rodzinnej, a może dowiemy się od nich, czem takie istnienie, jeśli sami — szczęśliwi — pojąć tego nie możemy...

Źle — smutno — sieroco — bez domu i rodziny. Ale jakże smutno tam, gdzie dom jest tylko ***mieszkaniem,*** a *rodzina* tylko liczbą osób razem mieszkających i jedno nazwisko noszących!...

Jak nie dość mieć znamię chrztu świętego na czole tak nie dość mieć nazwę ojca lub matki — *rodziny.*

Jak można z martwego kruszczu wyrobić arcydzieło sztuki — lub też stworzyć pieniądz na kupno zdrady — nieuczciwości i upodlenia, tak z utworzeniem rodziny można dać narodowi najpotężniejszą siłę moralną, albo z rozbiciem jej cnot — podkopać pod fundamentem przyszłości miny grożące ruiną zupełną.

(Ciąg dalszy nastąpi.

p



Witaj Królowo nieba i Matko litości — Witaj nadziejo nasza, w smutku i żałości.

Zwiastowanie Najśw. Maryi Panny.

(25-go marca).

Nadszedł nareszcie czas, w którym Pan Bóg Dziewicę z rajskiego kwiatu na ziemię zesłał, aby swój żywot doczesny rozpoczęła i aby się wypełniła Jego obietnica co do odkupienia rodzaju ludzkiego.

W królewskiem pokoleniu Dawida zakwitła lilia-dziewica, której anioł zwiastował, że ma być matką Zbawiciela, Syna Bożego, a ona z pokorą zwiesiła głowę i szepnęła:

— Otom ja służebnica Pana mego, niech mi się stanie według słowa twego!...

I stało się woli Bożej zadość — niech będzie imię Jego pochwalone!...

Dziewica z kwiatu zeszła na ziemię, jako Marya, druga Ewa ludzkości, która przyszła grzech zmazać poprzedniczki swojej, naprawić zło i zostać Matką Odkupiciela pokutujących plemion Adamowych, odrodzić je z ducha przez syna Swego i otworzyć im znowu drogę do utraconego Raju.

Maryan Gawalewicz.

Boga-Rodzica.

Wytężona modłami wzbiciem zachwycenia
Zadźwięła świętość duszy w boskim apostole;
Wylał się strumień hymnu, i jak zdrój zbawienia
Brzmiącym prądem opłynął wielkie Słowian
[pole.

Zagrzmiały nim świątynie i cały ród Lecha,
Przed hufcami Chrobrego wrzał jak huk nawały;
Kamienne go Krępaku pochwyciły echa,
I zagrawszy nim ziemi, niebu go przesłały.

I pierwszy raz Bóg słyszał dźwięk słowiańskich
[głosów
Jak bezdenne błękitu wzbijały się tonie;
Gwiazdy się rozstąpiły — i na tle niebiosów
Marya, w ludów polskich zabłysła koronie.

Wszystkie góry tonęły w wonnym ofiar dymie,
Mościł się lud potężny pod Jej boskie stopy;
Wojak na swym orężu rył Jej święte imie,
I podniebne Jej gmachów łupem wieńczył stropy.

Gdziekolwiek Jej ołtarze sławą cudów wzrosły,
Ciągnął w śpiewnych pielgrzymkach lud Chrystu-
[sa nowy;
Matki, Matce niebieskiej drobnych Słowian niosły,
I o progi Jej świątyń biły królów głowy.

Boga, Boga-Rodzica! w całym brzmiało państwie,
Boga, Boga-Rodzica! lud i kościół śpiewał;
A jak szumny nurt Wisły pędzi po Słowiaństwie,
Tak się nad niem w powietrzu wielki hymn
[przelewał.

I tak długi czas było — i czas ten upłynął,
Bladła wiara i język nowy przybrał zmiany;
Z znikłą czucia prostotą i ten hymn zaginął,
W świątyniach nawet pańskich wybrzmiał za-
[pomniany.

Zamilkł ów osiwiały rodzic wszystkich pieśni,
Ów pierwszy w niebo żeglarz z dziedzin polskiej
[ziemi;
Zamilkł — i w zacnej szacie świętej czasów pieśni
Zstąpił w grób starych wieków i pokrył się niemi.

Chwała tobie, Gnieźnieńska bazyliko, chwała!
Arko święta, ludowi twemu wiecznie droga,
Tyś mu to w twej kamiennej piersi przechowała,
Pierwszy dźwięk jego lutni, pierwszy głos do Boga.

Hymn twój przebrzmiał przez wszystkie wieki
[tej krainy
Na jej grobie brzmi nawet, dawną wiarę wskrzesza
Tak nas ciesząc, jak Judy rozproszone syny,
Gdzieś tam z za gór przeszłości stary głos Moj-
[żesza!

Dźwięk to pierwszy tej Polski, jako niebios córy,
Głos Anioła przez tysiąc lat do nas dowiany,
Co się łamał o wieki, sław i nieszczęść góry,
I jeszcze o serc naszych odbija się rany.

Pieśń do Matki nad ludu kołyską śpiewana,
Pierwiosnek sarmackiego maju chrześciaństwa,
Hostya przez pierwszego wzniesiona kapłana,
Świetna tęcza na grubej ciemnocie pogaństwa.

Ożył! ożył na nowo, zlany łzą cierpienia,
Ów kwiat, dziecię pierwszego wiary naszej
[wschodu;
I ten zgasły łuk tęczy znów się rozpromienia,
Oparty na kołysce i grobie narodu.

Cały lud ten na nowo swej Maryi woła,
Woła, błaga łez głosem i śpiewem żałoby;
Boga, Boga-Rodzica! wołają dokoła
Brzęk kajdan, puszcze wygnań i rozległe groby!

O nie daj, nie daj cichnąć hymnu tego dźwiękom
Wznoś ge stara świątyni, w dawnej wierze,
[cześci
Któż wie, może się naszym ulituje jękom,
Niegdyś nasza Królowa — dziś Matka boleści!

Dzierżykraj-Morawski.

Przebudzenie.

Kiedy noc ciemne osłoni błękity,
Anioł skroń dziecka śnieżną muśnie dłonią,
Kleją się oczka, śpi chłopczyk spowity—
Wnet go czarowne obrazy osłonią:
Uściski matki, siostrzyczek pieszczoty
Łączą się w marzeń łańcuch szczerozłoty.

Mijają chwile, a senne marzenia
Coraz inaczej, dziwaczniej się plotą:
Dawne wypadki i nowe wrażenia
Na przemian władną maleńką istotą —
Znikł obraz szczęścia, a przed duszą wstają
Jakieś poczwary nieprzejrzaną zgrają.

I przez sen dziecię rzuca się i kwili,
Duszyczką jego wstrząsa ból i trwoga—
Lecz cyt... śpiew jakiś ozwał się w tej chwili;
Wyciągło rączki... przed obliczem matki
Potwornych marzeń pierzchnęły ostatki.

Życie-sen mówią; bo jak sen się wije,
I jak snu słodkie pierwsze jego chwile;
Lecz kiedy próby godzina wybije,
Schmurzy się niebo — ulecą motyle,
Opuszczonemu od ludzi i Boga,
Długa walk, cierpień otwiera się droga.

Ach! ileż trucizn, przepaści, zawodów,
Ile majaków złudnych na tej drodze —
Jedni z rozmysłem lecą w przepaść lodów,
Drudzy brną oślep zrozpaczeni srodze;
A tak śpią twardo śród ponurej ciszy,
Że głosu matki żaden nie dosłyszy.

Ale ten zegar, co im do snu bije,
Kiedyś przebudzeń godzinę wydzwoni;
I jasno przejrzy duch, że jest, że żyje,
Że bytu swego nigdy nie uroni —
A wtedy z duszy zniknie wszelka trwoga,
Bo wiecznie pojmie i ukocha Boga.

Śród kwiatów, cierni, wichrów i błękitów
Sen mój trwa długo i nie widać końca;
Lecz już pieśń słyszę, gdzie od niebios [szczytów,
Co jak śpiew matki rwie mnie tam do słońca!
Może świt bliski... zbudzę się... stęskniona
Duszą ulecę w dal — na Stwórcy łono!...

Wincenty Stroka.

Nowi posłowie.

Jak już donosiliśmy obrany został dnia 5-go bm. z okręgu wyborczego jarocińsko-koźmińsko-krotoszyńsko-pleszewskiego na posła do sejmu pruskiego w miejsce zmarłego radzcy Mottego dr. Antoni Chłapowski, lekarz z Poznania.



Dr. Antoni Chłapowski.

Głosów oddano 537; z tych nasz kandydat, dr. Antoni Chłapowski, otrzymał 378, a kandydat niemiecki tylko 159 głosów.

Wiemy już o świetnem zwycięstwie rodaka naszego, Bernarda Chrzanowskiego, przy wyborze posła do parlamentu niemieckiego w Poznaniu i w obóch powiatach poznańskich. Niemcy robili niebywałe dotąd wysiłki, aby zapewnić sukces swojemu kandydatowi, potężnemu nadburmistrzwi Wittingowi. Wybór jego zalecono wyborcom w polskich plakatach. Dziwiono się, że policya ich nie usunęła, jako oczywistnego objawu polonizacyi Poznania. Polska odezwa wyborcza p. Wittinga zaczynała się od słów: „Kochani rodacy!“ Zaiste, rozczulające! A dalej mówiono w niej: „Polacy! Jeżeli wybierzecie Wittinga, uzyskacie potężnego orędownika dla siebie w Berlinie i u dworu; więcej przez niego zdobędzie, niż przez któregokolwiek z własnych rodaków. Podajcie roztropnie rękę do zgody. Jeżeli nadburmistrz Witting zwycięży, potrafi być wdzięcznym. Nie jest on wrogiem Polaków.“



Mecenas Bernard Chrzanowski.

W godzinę potem pojawiły się na murach Poznania plakaty następującej treści:

„Czy kandydat Niemców, Witting, przez noc spolszczał?“

„Rodacy, nie dajcie się obałamucić plakatami, które porozlepiano obłudnie na murach. To pułapka. Głosujcie za naszym kandydatem Bernardem Chrzanowskim.“

I tak też głosowano.

Głosów oddano wogóle 25,621, z tych padło na p. mecenasa Chrzanowskiego 15,412, na socyalistę Kasprzaka 720, a na nadburmistrza p. Wittinga 9482 7 głosów było rozstrzelonych. Większość absolutna wynosiła 12,811 głosów, zatem nasz kandydat zwyciężył 2601-ym głosem po nad absolutną większość.

— ski.

Modlitwa polskiego dziecka.

„W imię Ojca, — Boga Syna,
I świętego Ducha“:
Polska modli się dziecina,
A Pan Bóg ją słucha.

W oczach dziecka dwie łzy duże,
Wiara w każdem słowie:
„Ojcze! — błaga — coś jest w górze,
Daj Ojczyźnie zdrowie!“

Tak schylone nad posłaniem
Dziecię z Bogiem gwarzy;
A Bóg słucha z pobłażaniem,
Na ojcowskiej twarzy.

Słucha... zważa każde słowo...
Zadumał się... myśli:
I nad dziecka jasną głową
Znak zbawienia kreśli.

Władysław Bełza.



Patron Maksymilian Jackowski.
Patrz artykuł „Pożegnanie Patrona“.

Miłość Ojczyzny sławią pisarze świata całego po wszystkie wieki, a w Polsce ona bujnym wyrastała i wyrasta kwieciem. Kreślone przez pisarzy naszych słowo, ciałem się staje w narodzie, gdyż pisarze językiem narodu naszego wypowiadają myśli i dzieje, jakiemi go wiodła Opatrzność w postępie świata. Oświata Polski nie małe pomiędzy ludami zajmowała stanowisko, a do Akademii krakowskiej zjeżdżali za czasów Zygmuntów uczeni całego świata. — I dzisiaj, wśród trudnych dla pisarzy naszych okoliczności, piśmiennictwo nasze poszczycić się może całym szeregiem współczesnych pisarzy, których życiorysy i portrety podawać będziemy kolejno w porządku alfabetycznym w następnie zatytułowanym artykule:

Album współczesnych pisarzy polskich.

Zebrał i objaśnił Stefan Demby.

Władysław Abraham.

Urodził się dnia 10 październik 1860 roku w Samborze, gdzie też i gimnazyum w r. 1878 ukończył. Następnie udał się do Krakowa na wydział prawny Uniwersytetu Jagiellońskiego i tam w roku 1883 stopień naukowy doktora prawa uzyskał. W roku 1884 pojechał do Berlina, gdzie pracował na polu nauk historyczno-prawnych, a zwłaszcza prawa kościelnego. W roku następnym został wysłany przez Akademię Umiejętności w Krakowie, jako członek jej Komisyi historycznej — do Rzymu w, celu zbadania materyału źródłowego, znajdującego się w Archiwum Watykańskiem, a odnoszącego się do dziejów Polski w wie-



Władysław Abraham.

kach średnich. Po powrocie w r. 1886 habilitował się w Uniwersytecie Jagiellońskim z prawa kanonicznego, w roku 1888 został nadzwyczajnym, a w 1890 zwyczajnym profesorem prawa kanonicznego w Uniwersytecie Lwowskim. W r. 1899 obrano go rektorem. Z szeregu wielu prac jego wymienić należy: „Pojęcie i stanowisko kradzieży w prawie polskiem:“ „O justycyaryuszach w Polsce w XIV i XV wieku;“ Proces inkwizycyjny w ustawach Inocentego III i we współczesnej nauce;“ „Statuta synodu prowincyonalnego w Kaliszu z r. 1420;“ „Zjazd Łęczycki z r. 1181;“ Organizacya Kościoła w Polsce do połowy XII wieku;“ O powstawaniu dziesięciny swobodnej; „Statuta legata Gentilisa z r. 1309 i wiele innych.



Karol Appel.

Urodził się dnia 6 grudnia 1857 roku w Paryżu, jako syn polskiego emigranta. Nauki gimnazyalne pobierał w Piotrkowie. Od roku 1877 do 1880 był nauczycielem prywatnym, a w 1880 r. został nauczycielem języka francuzkiego w gimnazyum V-tem w Warszawie i na tem stanowisku do dnia dzisiejszego pozostaje. Od roku 1879 pracuje na polu językoznawstwa. Pierwsze swe prace drukował w czasopiśmie „Russkij fiłołogiczeskij Wiestnik“: „O gwarach języka polskiego,“ „O języku staropolskim,“ „O słoworodzie ludowym w językach słowiańskich,“ „O narzeczu białoruskiem,“ „O najnowszym psychologicznym kierunku językoznawstwa,“ „Ogólne zagadnienia językoznawstwa.“ W „Pracach Filologicznych“ z roku 1886 zamieścił opra-

cowany wspólnie z profesorem Adamem Antonim Kryńskim „Przegląd bibliograficzny prac naukowych o języku polskim.“ W Przeglądzie Filozoficznym“ zamieszcza od roku 1898 sprawozdania krytyczne „z dziedziny psychologii mowy.“ W „Poradniku dla samouków“ opracował dział „O języku francuzkim.“ Jest również współpracownikiem „Wielkiej Encyklopedyi Ilustrowanej.“ W r. 1899 Komisya językowa Akademii Umiejętności w Krakowie zaprosiła go do udziału w swych pracach.



Ignacy Baliński.

Urodził się dnia 21 lipca 1862 roku w Reginowie, w gubernii Grodzieńskiej z ojca Józefa, obywatela ziemskiego i matki Józefy z Jundziłłów. Lata dziecinne spędził na wsi, ucząc się w domu. W roku 1873 uczęszczał do szkoły prywatnej profesora Szmurły w Warszawie, a po roku przeszedł do gimnazyum IV-go, które z medalem złotym ukończył w r. 1880. Następnie wstąpił na wydział medyczny Uniwersytetu Warszawskiego, ale wkrótce przerzucił się na prawny. W tym czasie odbył podróż półroczną po Algierze, Hiszpanii i Francyi. Uniwersytet ukończył ze stopniem kandydata praw, który wraz z medalem złotym otrzymał po napisaniu rozprawy „O prawodawstwie fabrycznem.“ Po wyjściu z uniwersytetu osiadł w Warszawie jako obrońca prokuratoryi Królestwa polskiego. Będąc jeszcze w szkołach miał pociąg do pióra, to też po skończeniu studyów wstąpił do redakcyi wychodzącego wówczas w Warszawie tygodnika „Życie“, w którem zamieszczał oprócz poezyi, podpisywanych pseudonimem Aksel, artykuły literackie, krytyki, sprawozdania, feljetony itp. Następnie został współpracownikiem „Tygodnika Ilustrowanego“, „Kuryera Warszawskiego,“ „Kuryera Codziennego,“ „Tygodnika Polskiego“ i innych. W roku 1891 zamieścił rzecz większą w „Gazecie Sądowej“ O „prawodawstwie fabrycznem europejskiem.“ Od roku 1897 należy do redakcyi tygodnika dla dzieci i młodzieży p. t. „Wieczory Rodzinne.“

Oswald Balzer.

Urodził się dnia 23 stycznia 1858 r. w Chodorowie, w Galicyi wschodniej. Po skończeniu gimnazyum studyował prawo i filozofię w Uniwersytecie Lwowskim od r. 1878 do 1881, a następnie w Uniwersytecie Jagiellońskim badał specyalnie prawo polskie i historyę. W r. 1883 otrzymał w Krakowie stopień naukowy doktora praw i niezwłocznie dla dalszych studyów udał się na Uniwersytet Berliński. Po powrocie do kraju habilitował się na docenta prawa polskiego w r. 1885, w r. 1887 został profesorem nadzwyczajnym tego przedmiotu, a w roku 1890 profesorem zwyczajnym w Uniwersytecie Lwowskim. W r. 1889 Akademia Umiejętności obrała go członkiem korespondentem, a w r. 1891 otrzymał nominacyę na dyrektora krajowego archiwum akt grodzkich i ziemskich we Lwowie. Pomiędzy r. 1873 i 1881 ogłosił drukiem następujące prace beletrystyczne: „Strzeleccy“, powiastka 1873); „Kłopoty panicza“, komedya (1876); „Konkurenci panny Eudoksyi,“ komedya (1878); „Przekłady pieśni I, VI i części XIX Iliady Homera“ (1876—1881). Następnie ogłosił prace naukowe: „Kancelarye i akta grodzkie w w. XVIII“ (1882); „Rachunki domowe Zygmunta Augusta z roku 1549“ (1884); „Początek sądów kapturowych“ (1885); „Geneza trybunału koronnego“ (1886); „W sprawie słownika wyrazów prawa polskiego“ (1887); „Laudum Cracoviense“ (1888); „Studya nad prawem polskiem“ (1889); „W obronie historyografii naszej“ 1890); „Księga kryminalna sanocka“ (1890); „Regestr złoczyńców grodu sanockiego“ 1554 do 1638 (1891); „Corpus juris polonici medii aevi“ (1891); „Reformy społeczne i polityczne konstytucyi 3 maja“ (1891); „Genealogia Piastów“ (1898); „List otwarty do profesora Teodora Momsena;“ „Główne kierunki w rozwoju nauki porównawczej historyi praw słowiańskich i jej istotne zadania (1900) i w. innych.



Oswald Balzer.

Michał Bałucki.

Urodził się dnia 29 września 1837 roku w Krakowie. Nauki początkowe pobierał w szkole św. Barbary, a następnie w gimnazyum św. Anny, gdzie w roku 1857, będąc uczniem klasy ósmej, napisał wierszem wypracowanie na temat p. t. „Myśli jesienne.“ Była to pierwsza, rzec można, praca literacka Bałuckiego. Tegoż roku wstąpił na Uniwersytet Krakowski, zapisawszy się na wydział matematyczno-fizyczny, po roku jednak przeniósł się na — historyczno-literacki. W roku 1859 wyjechał do Włoch. Po powrocie do Krakowa, zaczął pisać wiersze, z których na wyróżnienie zasługują: poemat p. t. „Kostyna, czyli Dziewczyna z pod lasu“, drukowany w „Gwiazdce Cieszyńskiej“; poemat „Ziemowit, książę mazowiecki“, drukowany w „Niewieście“, powiastka wierszem p. t. „Cicha miłość,“ drukowana w „Dzienniku Berlińskim“ i wiele innych. W latach 1861 i 1862 był współpracownikiem „Niewiasty,“ gdzie drukował pierwsze swoje nowele: „Zapóźno“, „Dwie Siostry“ i inne, następnie był nauczycielem w instytucie prywatnym w Częstochowie i w tym czasie drukował nowele „Niewieścia siła“, „Heraklesowe drogi,“ „Ojcowska wola“. W r. 1863 powrócił Bałucki do Krakowa, napisał pod pseudonimem Elpildona powieść p. t. „Przebudzeni“, a po roku „Starzy i młodzi.“ Z Alfredem Szczepańskim redagował pismo dla kobiet p. t. „Kalina,“ po dwóch latach jednak odstąpił je innemu wydawcy, a sam poświęcił się wyłącznie pisaniu powieści i komedyi. Z powieści wyróżnić należy: „Błyszczące nędze“, „Sabina“, „O kawał ziemi“, „Żydówka“, „Romans bez miłości“, „Siostrzenica księdza proboszcza“, „Byle wyżej“, „Biały murzyn“, „Życie wśród ruin“, „Z obozu do obozu“, „Za winy niepopełnione“, „Garbusek“, „Z mętów społecznych“, „Zamki na lodzie“, „Pańskie dziady“ i wiele innych. Z komedyi: „Polowanie na męża“, „Radcy pana Radcy“, „Pracowici próżniacy“, „Emancypancya“, „Pozłacana młodzież“, „Rodzina Dylskich“, „Krewniaki“, „Sąsiedzi“, „Grube ryby“, „Gęsi i gąski“, „Dom otwarty“, „Piękna żonka“, „Flirt“, „Ciepła wdówka“, „Sprawa kobiet“ i inne.



Michał Bałucki.

Kazimierz Bartoszewicz.

Urodził się dnia 19 listopada 1852 roku w Warszawie, z ojca Juliana, znanego historyka polskiego i matki Kazimiery z Zapałowskich. Po skończeniu gimnazyum w Warszawie w roku 1870, udał się do Krakowa na wydział prawny Uniwersytetu Jagiellońskiego, a następnie przeszedł w roku 1873 na wydział filozoficzny. Po skończeniu uniwersyte-

tu przygotowywał się do habilitowania na docenta historyi literatury polskiej, wkrótce jednak zamiaru tego zaniechał. Będąc jeszcze na ławie szkolnej, pisywał artykuły do „Zorzy“ i „Kuryera Świątecznego“, a następnie do „Czasu“, „Tygodnika Powszechnego“, „Kolców“, „Muchy“ i wielu innych pism, redagował od roku 1875 do 1876 „Szkice społeczne i literackie“, później „Dyabła“, „Harap“, „Przegląd literacko-artystyczny“, „Ananas“,



Kazimierz Bartoszewicz.

„Kuryer Krakowski“ i „Przegląd literacki“. Drukiem ogłosił, oprócz artykułów drobniejszych i ciętych kronik, rozprawy literackie „O Antonim Czajkowskim“, „Janie Kochanowskim“, „Józefie Łukaszewiczu“, „O nieznanej satyrze XVIII w. pt. „Małpa człowiek“, „Z notat Imci pana Zapałowskiego“, „Rzeczpospolita Babińska“, „Józef Łepkowski“, „Zapiski Tymoteusza Lipińskiego“, „Polityka galicyjska“, „Lukrecyon“, poemacik humorystyczny pt. „Ogniem i mieczem“ i wiele, wiele innych. Wydał również dzieła ojca swego w 12 tomach.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Sylwetki z parlamentu austryackiego.

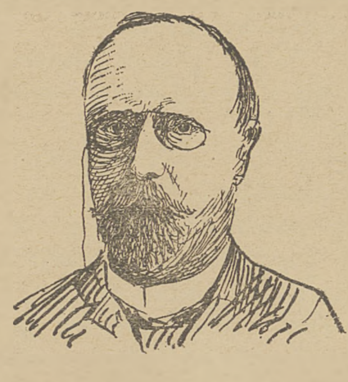
Ernest Koerber, prezes gabinetu austryackiego, urodził się 1850 roku; ojciec jego był majorem, a dziadek generałem w wojsku austryackiem.



Ernest Koerber.

Prezes gabinetu austryackiego jest wszechstronnie wykształconym mężem stanu i wstąpił w służbę państwową już od lat wielu po uzyskaniu tytułu doktora. Koerber posiada wielką znajomość spraw rządowych we wszystkich gałęziach biurokracyi, jest pilnym urzędnikiem i wstaje zazwyczaj o godzinie 6-ej. Koerber pozostał dotychczas wiernym swemu stanowi kawalerskiemu, żyje i mieszka razem ze swą matką staruszką.

* * *



Dr. Wojciech hr. Dzieduszycki.

Do najwybitniejszych członków Koła polskiego w austryackiej Radzie państwa należą minister Galicyi, dr. Piętak, dr. Wojciech hr. Dzieduszycki i Tadeusz Romanowicz, przywódzca polskiej partyi demokratycznej.



Tadeusz Romanowicz.

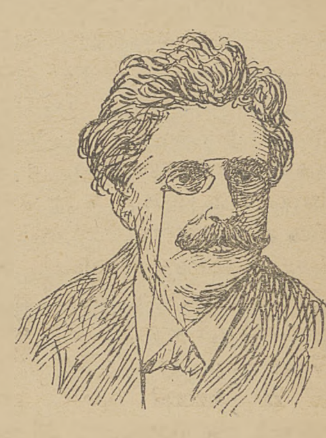
Od kilku dni Rada państwa pracuje spokojnie; codzienne karczemne burdy i bójki w parlamencie, wywoływane przez radykalistów niemieckich i czeskich, ucichły nagle!



Dr. Piętak, minister dla Galicyi.

Czyim staraniom parlament zawdzięcza chwilkę względnego spokoju, to wiemy bardzo dokładnie z oświadczenia marszałka na pierwszem posiedzeniu spokojnem. Na początku obrad marszałek w serdecznych słowach podziękował Kołu polskiemu za skuteczną pracę nad przywróceniem stosunków prawidłowych w izbie i wysunięcie na plan pierwszy najważniejszych wniosków rządowych. Kołu polskiemu udało się osiągnąć cel, do którego dążyło już przed rokiem, skłonić Czechów do porzucenia bezowocnej obstrukcyi, przez którą brali na siebie odpowiedzialność za nieład panujący w izbie, a wstąpienie na drogę polityki realnej, gdzie przez ustępstwa zrobione rządowi mogą osiągnąć praktyczne ustępstwa dla siebie. Skutkiem tego wszystkie te grupy parlamentarne, które w przeszłym parlamencie należały do związku prawicy, zbliżyły się znów do siebie, i jakkolwiek nie stanowią większości, to wywierają jednak wpływy potężne. Czesi, zgadzając się na porzucenie taktyki obstrukcyjnej, nie zyskali wprawdzie nic pod względem narodowym, ale tem więcej na polu ekonomicznem. P. Koerber, który właśnie kilka dni przedtem oświadczył pompatycznie w izbie panów, że nie powróci do taktyki hr. Thun'a i nie będzie zjednywał stronnictw opozycyjnych przez ustępstwa, zdecydował się natychmiast na tę potępioną przez siebie politykę, gdy nadarzyła się sposobność. A Koło polskie? Koło otrzymało z ust marszałka publiczne podziękowanie, ułatwiło zrównoważenie budżetu galicyjskiego, jeżeli ustawa o podatku spirytusowym rzeczywiście będzie uchwalona, wreszcie zaś zdobyło przyrzeczenie, że rząd pokryje koszta kilku kolejek lokalnych. Jest to w porównaniu z tem, co uzyskali Czesi, nie wiele, ale ostatecznie i to lepsze od zamętu, w którym niepodobna było załatwiać nawet najżywotniejszych spraw krajowych.

* * *



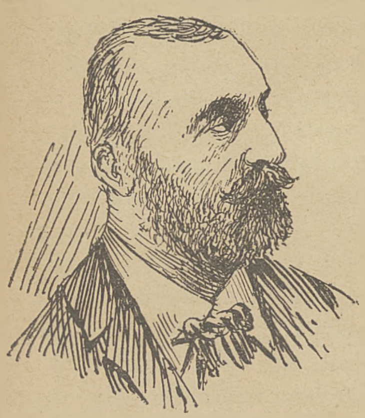
Wacław Klofac.

Poseł czeski Klofac jest groźnym bohaterem dnia w parlamencie austryackim.

Któż to jest p. Klofac?... W najogólniejszem określeniu jest to czeski Wolf, tylko podniesiony do kwadratu; co się zaś tyczy szczegółów biograficznych, to ma on za sobą przeszłość bardzo urozmaiconą. Był niegdyś jak sam twierdzi, współpracownikiem, a rzeczywiście reporterem „Narodnich Listów;“ z fachu agitator polityczny, miał do czynienia głównie z młodzieżą i robotnikami, którzy za nim przepadają, tak że dzięki im obecnie w dwóch naraz okręgach został wybrany do Rady państwa; kara jaką poniósł za odezwanie się *zde* zamiast

hier, męczeńskim wieńcem okoliła jego skronie....

* * *



Jerzy Schönerer.

Jerzy Schönerer, jest przywódzcą niemieckich radykałów (Związku wszechniemieckiego) wraz z znanym szubrawcem, Karolem Hermanem Wolfem.

Dla scharakteryzowania ducha, który wkradł się ze „wszechniemieckiem" stronnictwem pp. Wolfa i Schönerera do parlamentu austryackiego, powtórzymy krótki, ale wymowniejszy od wszystkiego dialog parlamentarny, jaki odbył się na posiedzeniu izby deputowanych w dniu 28-go z. m. pomiędzy posłem czeskim Silenym a „wszechniemieckim" wolfowcem Steinem.

Sileny żądał pewnego odszkodowania dla rolników włościańskich w Czechach i wyraził zdanie, że znowu pomiędzy p. Koerberem a lewicą niemiecką stanęła widocznie tajna umowa, aby, zamiast usuwać ciężary ludności, mnożyć je tylko.

Chodzi o to, aby wygłodzić Austryę i uczynić przystępniejszą dla planów, dybiących na jej przyszłość. Dzisiaj już zerka wielu w tak zwanym „zamkniętym obszarze językowym" w Czechach z ukosa poza blizką granicę niemiecką.

Wolfowiec Stein: My nie zerkamy z ukosa, my całem okiem patrzymy.

Sileny: Na dnie waszych progamów politycznych tkwią Niemcy.

Stein: Wy dążycie do Rosyi, my do Niemiec.

Sileny: Z tamtej strony niemieckich słupów granicznych nie brak zachęty. Podczas odsłonięcia pomnika Karola IV cesarz niemiecki nieomieszkał wygłosić jednej ze swych mów, w której rzekł: „Niemcy spodziewają się utworzenia wielkiego północnego państwa nad Elbą."

Stein: Ma słuszność!

Hovorka; Powiedz pan odrazu szczerze, że chcecie być Prusakami.

Stein: Mówię głośno: dążymy do zjednoczenia się z państwem wszechniemieckiem.

Sileny: „Echo mowy cesarskiej słyszeliśmy ostatniej soboty w tej izbie z ust „powszechnoniemieckiego dr. Eisenkolba, który zawołał z emfazą: Jeden lud, jedna religia, jedno państwo, jeden cesarz! Zrozumiano dobrze głos z tamtej strony, równie jak żołnierze niemieccy w Chinach zrozumieli hasło: Pardonu nie dawać!

Stein: I naszem hasłem jest: Pardonu nie dawać Czechom!

Śmiech homeryczny na ławach czeskich i głosy: No, no, zobaczymy!

Sileny wywodzi teraz, że Austrya nie odnosi żadnych korzyści z sojuszu z Niemcami, natomiast odniosłaby istotne korzyści ze zbliżenia się szczerego do Rosyi.

Sileny: Chcemy zbliżenia politycznego do Rosyi, jako dobrzy Austryacy

Stein: Bądźcie przecież szczerzy, nie weźmiemy wam tego za złe. Patryotami nie jesteście i wy także. Głupiec tylko jest dzisiaj patryotą w Austryi.

(A co, prawda, że budująca jest taka szczerość „wszechniemieckiego" posła do parlamentu wiedeńskiego? zaiste drzwiami i oknami wchodzi nieproszony gość do Austryi. Przyp. Redakcyi.)

—ski.

Pobudka.

Do czynu! hej, do czynu!
Pobudkę Miłość gra...
Wstań nowych haseł synu!
Niech pierzcha fałszu ćma!
Skalpel chwytaj, lekarzu,
Mędrcze, za pióro bierz!
Z krzyżem co lśni w ołtarzu,
Na bój, kapłanie, spiesz!
Nikt broni nie odpasze
Aż ofiar padnie dość —
Niech giną wrogi nasze:
Nędza, choroba, złość.

Ławą na tego smoka,
Co się ciemnotą zwie!
Choć popłynie posoka,
Niech każdy żga i rwie!
Skruszmy bałwana z lodu
Co drży u naszych bram:
Niech sczeznie widmo głodu!
Niech nie wygraża nam!
Tu epidemia blada
Przyczaja się jak zbój —
W łeb ją! niechaj przepada!
A z nią mar czarnych rój!

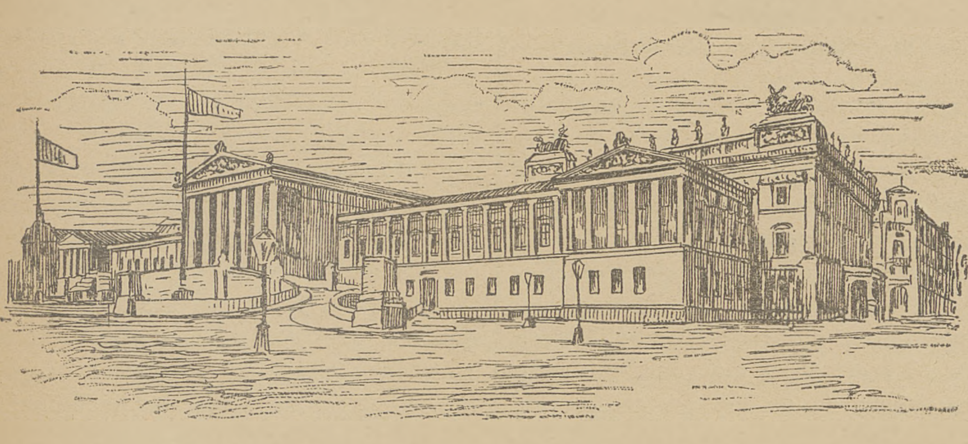
W zdrętwioną bólem ziemię
Sfinks szpony ostro wbił
I cielska jego brzemię
Kradnie jej resztę sił.
Sfinks zna zagadkę bytu
I śmierci tajnię zna —
Czemuż paszcza z granitu
W milczeniu martwem trwa?
Hej! gromem niech nań spada
Skalpel, pióro i miecz;
Dopóki nie zagada,
Kol go i kraj i siecz!.

Innych walk nam nie trzeba!
Nie trzeba krwi i łez!
Tej ciężkiej karze nieba
Raz już połóżmy kres!
Fatum z twarzą straszliwą
Oto nasz wspólny wróg;
Zduśmy tę hydrę mściwą,
Jaśniej nam błyśnie Bóg.
Ludzkości! na bój bratni
Nie tracić tobie sił!
Czyż chcesz, by później w matni
Czart z twej niemocy drwił?

O pokoju marzenie
Nim wyśni się jak sen;
Przedtem przez walk płomienie
Przebrnąć świat musi ten.
Lecz walka nowa, śmiała
Z innych się toczy kart:
Tu armią — ludzkość cała,
Wrogami — noc i czart.
Wszyscy ilu nas w świecie,
Huf złóżmy z dusz i ciał,
A wroga huf ten zgniecie
Bez mieczów, spis i dział!

Wieszczu! mędrcze! kapłanie!
Za pióro, skalpel, krzyż!
Niech armia murem stanie,
Ducha wzniesie na wyż!
Wstań, nowych haseł synu;
Niech pierzcha fałszu ćma;
Do czynu! hej, do czynu!
Pobudkę Miłość gra.

Wiktor Gomulicki.



Gmach Rady państwa w Wiedniu.

Krwawe Ofiary.

Powieść z francuzkiego

przez

F. de B.

(Ciąg dalszy i dokończenie.)

— Pan to wie?

— Domyślam się. Zapewne ktoś przyszedł i powiedział, że p. Lecoq czeka na panią w powozie...

— Tak, u wjazdu do Lasku Bulońskiego... Powinnam była się wystrzegać... raz już chciano mnie wykraść... ale ja nie myślałam o niebezpieczeństwie. Myślałam tylko o Ludwiku i poszłam za tym wysłańcem p. Lecoqa

— A gdy się pani znalazła w powozie, zakneblowano pani usta.

— Rzeczywiście.

— Konie ruszyły galopem i przywiozły tu panią w dwie godziny?...

— Nie wiem. Straciłam głowę... Pamiętam tylko, że powóz zatrzymał się w jakiemś miejscu odludnem... Tam przeniesiono mnie do łodzi.

— I napastnicy przywieźli panią do młyna... tymczasem postać w prześcieradle błąkała się nad brzegiem i udawała upiora, żeby odstaszyć przechodniów... Nikt inny, jak Tolbiac obmyślił tę sztuczkę piekielną.

— Tolbiac? — powtórzyła machinalnie panna Lecomte

— Tak, łotr, dybiący na życie pani i tej małej. Potem to pani wyjaśnię... w Paryżu... Nie wiem jeszcze, jak się tam dostaniemy, ale muszę coś obmyśleć.

— Naprzód trzeba dziecko ratować.

— Jeżeli ją wyratuję, to tem samem i panią i siebie. Stanie się to dziś lub nigdy, bo ci nędznicy pragną załatwić się z nami jaknajprędzej.

— Piédouche zastanowił się i wszystko rozważał.

Pewny był, że małżonkowie Chauffaille nie pochwalili się przed Tolbiacem, że im się trafia nowa zdobycz w osobie kolportera, bo musieliby się podzielić łupem. Była to więc spekulacya poboczna, na własną rękę. Obmyślili już zapewne, sposób dla zatarcia śladu tego projektowanego morderstwa.

Piédouche zaczął przyglądać się podziemiom. Był to loch obszerny i głęboki, musiał niegdyś służyć do przechowywania drzewa i wina. Obecnie były w nim tylko beczki puste i wiązki chrustu.

Piédouche obejrzał mury i przekonał się, że niema w nich drzwi.

Można było wydostać się tylko przez klapę.

Pozostawił świecę zapaloną w kącie, bał się bowiem chodzić ze światłem, żeby go nie spostrzeżono.

Teresa Lecomte czuwała nad tym cennym płomykiem. Usiadła przy Marcie i zapominając o własnym losie, starała się pocieszyć małą i dodać jej otuchy.

Piédouche przyglądał się wciąż ścianom i wreszcie dostrzegł jaśniejszy pas u góry.

— To musi być otwór — pomyślał — czuję nawet prąd powietrza. Gdzież ten otwór wychodzi? Zapewne na rzekę, a może łączy się z kanałem.

Zdaje mi się, żem widział wązki, podłużny otwór w murze pod kołami młyńskiemi. A więc można wyjść tym otworem. Ja jestem szczupły, panna Lecomte również, a Marta, istna myszka, przez lada szparę się przeciśnie. Chodzi tylko o to, żeby dosięgnąć otworu. Możnaby poustawiać beczki jedną na drugiej. Dziwi mnie, że te łotry nie przewidziały, że sobie tak poradzimy... Ba! myślą, że ja kark skręciłem, wiedzą, że panna ma ręce i nogi spętane, a mała nawpół żywa. Spokojni są o nasz los.

Rozumując tak, stanął przy murze, pod samym otworem, aby zmierzyć jego wysokość.

Nagle strumień wody spadł mu na głowę. Piédouche odskoczył zaniepokojony. Woda wlewała się do lochu przez otwór u góry.

Eksagent zrozumiał.

— Ach! gałgany! — szepnął — podnieśli śluzy górne; a zamknęli dolne, wpuszczają wodę z rzeki do kanału, z kanału wpuszczą ją tutaj i zatopią nas, jak myszy.

Dlatego nikogo nie zabili. Woda ich wyręczy. Dochodzi już do otworu. Za pół godziny loch będzie zalany, a my zginiemy marnie.

Piédouche zbliżył się do swoich towarzyszek niedoli.

Panna Lecomte trzymała dziecię na kolanach i tuliła je do piersi.

Przed chwilą spytała ją o nazwisko.

— Jestem Marta Cambremer — odparła dziewczynka.

— Marta Cambremer! — podchwyciła Teresa. — Chciałam bardzo cię poznać, Marteczko, bośmy kuzynki.

— Tak — wtrącił Piédouche — jesteście krewnemi i dlatego chcą was zamordować. Patrzcie, co się tu dzieje.

Woda napływała coraz szybciej, zalewając podziemie.

— Jesteśmy zgubieni — szepnęła Teresa.

— Jeszcze nie! — zawołał Piédouche, któremu nagle przyszła myśl zbawcza.

— Chwycił świecę i podbiegł do miejsca, w którem złożono beczki. Było ich trzy.

Przekonał się, że są puste. Aby mogły posłużyć do ocalenia, trzeba było zabezpieczyć ich wnętrze od wody. Z jednej strony dno beczek było odbite, ale mogły je zastąpić worki, które rzucono kolporterowi jako posłanie, a które razem z nim spadły do lochu.

Pokrajał je nożem i zatkał niemi otwory beczki, następnie potoczył beczki na środek lochu.

Utworzyła się już tam kałuża i coraz bardziej się zwiększała.

Piédouche wziął za rękę pannę Lecomte.

— Pozostaje nam ten jeden ratunek — oświadczył — bo woda szybko napływa. Niech się pani kładzie na beczce i trzyma oburącz.

— A ta mała?

— Ja się nią zaopiekuję, a i panią także — mówił dzielny agent. — Położę Martę na drugiej beczce, sam rzucę się na trzecią i będę pływał pomiędzy wami, pilnując, żebyście nie spadły i walczył z prądem, który nas będzie odtrącał, gdy się zbliżymy do otworu. Potem, skoro woda stanie na poziomie tego otworu, postaram się wyprowadzić beczki nazewnątrz. Jeżeli otwór za wązki i beczki nie przejdą, to pani położy mi ręce na ramiona, mała to samo zrobi z panią i puścimy się na wodę. Pływam, jak ryba. Dotrzemy bezpiecznie do brzegu.

— Jestem gotowa — rzekła Teresa odważnie.

— A ty Marto?

— Ja zrobię, co pan każe — odparło dziecko podnosząc główkę. — Teraz pana poznaję. Widziałam pana z tatusiem.

Piédouche położył ją na jednej z beczek.

Panna Lecomte stanęła przy drugiej, czekając na sygnał wybawczy.

Woda dochodziła już im do kolan i wpadała coraz wartszym prądem.

Piedouche zgasił świecę. Nie potrzebował już światła. Liczył tylko na swoją zręczność i siłę, a także na Opatrzność, która stoi zawsze po stronie gnębionych.

ROZDZIAŁ VIII.

Podczas gdy Piédouche walczył z zalewem, p. Lecoq błądził pod kościołem w Savigny i naprózno czekał na swego wiernego pomocnika.

Czuł, że musiała go spotkać jakaś przygoda, bo Piédouche nigdy się nie spóźniał. Niepokoiło to podwójnie staruszka.

Od chwili, gdy żandarmerya wmieszała się w jego sprawy, nie mógł już krążyć swobodnie po okolicy ani powrócić do Anglika, aby wyciągnąć dalsze a tak ciekawe zwierzenia.

Piédouche nie wzbudził żadnych podejrzeń, wolno mu było lustrować kąty i badać ludzi. P. Lecoq chciał mu powierzyć dalsze śledztwo w tej sprawie, a sam jaknajprędzej powrócić do Paryża.

Od chwili bowiem, gdy wyczytał w dzienniku, że rekurs syna został odrzucony, biedak nie miał ani chwili spokoju i zdawało mu się, że jego pobyt w Paryżu jest niezbędnym.

Dzięki zebranym poszlakom miał nadzieję skłonić sąd do odwleczenia terminu egzekucyi. Chciał iść wprost do

swego dawnego przyjaciela, szefa policyi i powiedzieć mu, jak rzeczy stoją.

Przed wyjazdem pragnął wszelako dać znać Piédouche'owi, że opuszcza te strony, a porozumienie było trudne.

Przedstawiciel firmy Rawson, Jenkins et C-ie nie znał przecie kolportera z Delfinatu. Gdyby p. Arystydes Chalumet stawił się w oberży „Pod zwycięzcą“ i zapytał o Piotra Palandru, wieść o tem rozniosłaby się po miasteczku i wzbudziła domysły i podejrzenia.

Nie było więc innej rady, jak pojechać do Paryża rano i wrócić wieczorem w nowem przebraniu i stanąć w tej samej oberży, co kolporter.

P. Lecoq czekał pod kościołem do jedenastej, a widząc, że się niedoczeka Piedouche'a, wrócił do hotelu, załatwił rachunek z ojcem Bonasson, napisał list do Piotra Palandru w taki sposób, by on jeden mógł go zrozumieć i domyślić się, kto pisze.

Nazajutrz, skoro świt, wyjechał do Paryża. Za przybyciem pozostawił tłomoki na dworcu i podążył pieszo na ul. Hachette do mieszkania Pigache'a. Chciał się dowiedzieć, czy wyrok ma być prędko spełniony.

Na szczęście agent nie był tego dnia na służbie. P. Lecoq zastał go w domu, a nawet w łóżku.

Rozmowa była krótka, lecz treściwa.

— Czytałem, że rekurs został odrzucony — rzekł staruszek. — Co mówią w prefekturze?

— Panie pryncypale, powiem panu prawdę: Sądzą, że nie nastąpi zmniejszenie kary. P. Ludwik nie chciał podpisać prośby o ułaskawienie.

— Spodziewałem się tego... Ale dzień nie jest jeszcze wyznaczony.

— Pan pryncypał wie przecie, że uwiadamiają brygadę w wigilię stracenia, niewcześniej. Że się egzekucya jutro nie odbędzie, to wiem. Pojutrze niedziela. W poniedziałek nie tracą skazańców: za dużo poniedziałkujących zbiegłoby się na plac. Ale kto wie... może we wtorek.

— Już we wtorek! — zawołał pan Lecoq, chwytając się za głowę.

Ale ten wybuch rozpaczy był krótki. Staruszek zapanował nad sobą i rzekł:

— Słuchaj, Pigache, jesteś mi potrzebny na jeden dzień.

— Do usług pana pryncypała. Co mam robić?

— Naprzód pójdziesz do swojego kuzyna, który wynajmuje powozy. Zostawiłem u niego mój kostyum indyjski. Niech zaraz zaprzęga i przyjeżdża po mnie na bulwar Ménilmontant. Powrócę do Grand-Hôtelu niby to z dworca Saint-Lazare. Po drodze się przebiorę. Niech wyjmie kostyum z kuferka i włoży do powozu, a kuferek postawi na koźle.

— Rozumiem. Za godzinę powóz będzie stał przy murze Pére-Lachaise.

— To jeszcze nie wszystko. Jak się z tego załatwisz, o godzinie 10-tej minut 15 wyruszysz koleją do Savigny sur-Orge. Wstąpisz do oberży „Pod Zwycięzcą“ i zapytasz o Piotra Palandru.

— To Piédouche, prawda, panie pryncypale?

— Tak. Jeżeli go pan zastaniesz, to mu powiedz, że chcę się z nim widzieć dzisiaj i przyprowadź go ze sobą. Nie potrzebuje przebierać się za murzyna. Jeżeli Piédouche'a niema „Pod Zwycięzcą“, spytasz o drogę do młyna Yvette i tam pójdziesz. Gdyby młynarze powiedzieli ci, że u nich nie był, to znaczy, że go zamordowali.

— To tak! — krzyknął Pigache, wytrzeszczając oczy.

— Jeżeli go zabili, to ich wyprawię na gilotynę razem z Tolbiacem — odparł Lecoq z chłodną determinacyą. — Gdybyś nie znalazł, Piédouche'a i nie mógł się o nim dowiedzieć, to powrócisz do Paryża wieczorem. Liczę na ciebie.

— Nie zawiodę zaufania — rzekł numer 33, wyskakując z łóżka. — Mój kuzyn mieszka opodal. Powóz będzie na bulwarze przed panem. A zrobię, co będzie tylko w mocy ludzkiej, żeby wyrwać kolegę Piédouche'a z rąk tych łajdaków. Poznają mnie oni, poznają...

P. Lecoq nie słyszał tych pogróżek — był na schodach.

Szedł powoli na umówione miejsce. Dzięki swemu przebraniu nie zwracał niczyjej uwagi i pozostałby w niem najchętniej, ale tylko w skórze nababa i w Grand-Hôtelu mógł spełnić plan, który sobie nakreślił.

Wszystko odbyło się pomyślnie. Stangret czekał na bulwarze Ménilmontant.

Dżafer z Bahuru powrócił do swoich apartamentów i zaraz na wstępie oświadczył, że jego czarny intendent zaniemógł w Hawrze i powróci następnym pociągiem, a tymczasem on, nabab, zadowoli się zwykłą usługą hotelową.

Raczył być w dobrym humorze i oświadczył, że przyjmuje wszelkie odwiedziny.

Rozkaz ten miał na celu ułatwienie wstępu wiernemu Piédouche'owi. Przed południem służący zameldował mu Holtza.

P. Lecoq wyczytawszy to nazwisko na karcie wizytowej, aż drgnął z radości, bo nie spodziewał się tak szybkiego ziszczenia swych pragnień.

Łotr wszedł przygarbiony, pokorny, choć zręczne oko policyanta dostrzegło odrazu, że Tolbiac tryumfuje w głębi duszy.

— I jakże się panu powiodło? — zapytał nabab.

— Po nad oczekiwania, wasza książęca mości — po nad oczekiwania. Odnalazłem sukcesora O'Sullivana.

— Chwała wielkiemu Brahmie! Będę mógł uiścić się z długu wdzięczności. Powiadasz pan: sukcesora? Więc pozostał już tylko jeden członek rodziny O'Sullivana?

— Tak przypuszczam, choć nie jestem jeszcze pewny. Łatwo to jednak sprawdzimy, bo mam już w ręku całe drzewo genealogiczne rodu O'Sullivanów, poczynając od ojca majora. Zebrałem dowody, że jeden z jego potomków żyje. Czy inni powymierali? To się okaże.

— Gdzie przebywa ten krewny najdroższego przyjaciela mego ojca? Jak się nazywa? — pytał nabab ze wzruszeniem wcale nieudanem.

— Szuka się nieraz daleko, mając pod ręką — odparł rzekomy Holtz. Spadkobierca ten mieszka o kilka mil od stolicy, w pobliżu wioski, zwanej Savigny-sur-Orge... To jedna z pierwszych stacyi na kolei Orleańskiej.

— Więc dobrze trafiłem — myślał p. Lecoq z radością.

— Nazywa się Jerzy Atkins. Ma lat trzydzieści ośm — mówi dalej Tolbiac. — Jest Anglikiem i jedynym synem Zofii Nesley, wnuczki przez matkę, Anny Sullivan, rodzonej siostry Jakóba Patrycego, który zmarł milionerem w Indyach Wschodnich.

— W takim razie jest prawnukiem majora. Czy nie istnieją bliżsi krewni? Bardzobym tego życzył, bo pragnąłbym Atkinsa wzbogacić, jeżeli niema prawa do sukcesyi legalnej. Jakiż jego obecny stan majątkowy?

— Opłakany. Jego matka poślubiła z miłości komedyanta, idąc w tem śladami swojej babki ciotecznej, najmłodszej z sióstr majora. Jerzy Atkins osiedlił się we Francyi i zamieszkał na wsi, przez oszczędność. Rodzice zostawili mu mały kapitalik; musiał go naruszyć, bo nie miał z czego żyć.

— Czy mu pan oznajmił o tej zmianie fortuny?

— Jeszcze nie. Chciałem wpierw dowiedzieć się czy pan nie zmienił swoich szlachetnych zamiarów względem niego. Bałbym się uradować go niepotrzebnie.

— Rozumiem pańską delikatność, ale teraz niema powodu zwlekać. Powiedz mu pan, że jest olbrzymio bogaty i że go usynowię.

— Dziś wieczorem zawiozę mu tę dobrą nowinę, a jutro, jeżeli Wasza Ekscelencya pozwoli, przedstawię jej Atkinsa.

— Miło mi będzie go przyjąć, a zarazem, wręczyć panu należne honoraryum. Sam je pan określisz. Podziwiam, żeś pan tak szybko ziścił moje marzenia.

— Nie wszystko jeszcze załatwione — odparł Holtz z udaną skromnością. — Posiadam dowody pokrewieństwa Jerzego Atkinsa z majorem, ale braknie mi jeszcze aktów zejścia innych jego spadkobierców.

— Czy masz pan nadzieję zdobyć te dokumenty?

— O! najzupełniejszą. To drobnostka. Z trzech sióstr Jakóba Patrycego, dwie wyszły za Francuzów; odnalazłem już ich ślady. Jutro będę wiedział, czy te gałęzie wygasły. Najmłodsza siostra miała jedną tylko córkę, zmarłą zeszłej zimy.

— A więc jutro dowiesz się, czy mam przelać wszystkie moje kapitały na Jerzego Atkinsa. Pan pewno dziś wraca do Savigny-sur-Orge.

— Tak, Wasza Ekscelencyo, dziś wieczorem.

Pytanie i odpowiedź doszły do uszu nowego gościa, którego wprowadził był służący, stosując się do poleceń nababa. Nie zameldował go jednak, bo mu się wydał niewart tej formalności.

Nowoprzybyłym był Piédouche, pod postacią skromnego mieszczucha.

Nabab zachodził w głowę, jakim sposobem Pigache zdołał wywiązać się tak szybko ze swego zadania.

P. Holtz jeszcze się nie pożegnał, choć już miał się ku wyjściu.

Piédouche poznawał go wybornie i wiedział, że pod tą peruką i okularami kryje się Tolbiac. Wahał się, jaką przyjąć postawę i dlatego nie prezentował się nababowi i nie wymieniał swego interesu.

P. Lecoq wybawił go z kłopotu.

— Przychodzisz pan zdać mi sprawę z ofiar, które miałeś rozdać ubogim? — zagadnął, rzucając mu porozumiewające spojrzenie. — A zatem do jutra — rzekł, zwracając się do Holtza. — Czekam pana niecierpliwie, w nadziei, że mi pan przyprowadzisz Jerzego Atkinsa.

— Jutro o tej samej godzinie będę miał zaszczyt zaprezentować go Waszej Ekscelencyi — odparł rzekomy Holtz, kłaniając się do ziemi.

Zaledwie przekroczył próg salonu, Piédouche począł giestykulować, wskazując, żeby go p. Lecoq nie wypuszczał.

Ale ten zgromił agenta spojrzeniem, a gdy drzwi od przedpokoju się zamknęły, rzekł głosem przyciszonym.

— Nie czas jeszcze na aresztowanie. Jutro ten nędznik przyjdzie ze swoim wspólnikiem i wpadnie w zastawioną pułapkę.

— On wcale nie przyjdzie — zawołał Piédouche. — Pan nie wie, co się stało dziś w nocy. Pan nie wie, że on chciał zatopić pannę Lecomte i małą Cambremer i mnie w dodatku... ale mu się to nie udało.

— Co też mówisz? — Tłómacz się jaśniej.

— Wczoraj, jak panu wiadomo, poszedłem do młyna Yvette. Młynarka dała mi coś przetrącić i zgodziła się wziąć mnie na nocleg. Był to fortel, żeby mnie ograbić i „zagołuszyć.“ Wsypała mi pieprzu do wina, a gdy zapadłem w odrętwienie, spuściła klapę i wrzuciła mnie do piwnicy. To cud prawdziwy, żem karku nie skręcił.

A wie pan kogo tam znalazłem? Córeczkę Cambremera. Ukrywali ją tam, trzymając o chlebie i wodzie, zanim przyjdzie chwila zagłady.

— Na cóż czekali?

— Na to, żeby upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Wczoraj wieczorem Tolbiac porwał pannę Lecomte, a o północy wrzucono ją także do lochu. Plan był łajdacki, ale prosty. Wysłuchałem rozmowy młynarza z młynarką. Umyślili zatopić obie dziewczyny, a potem zanieść ich trupy na tor kolejowy, aby je zmiażdżyła lokomotywa.

— Zatopić? Jakimże sposobem?

— W lochu był otwór, łączący się z kanałem. Zbrodniarze podniósłszy śluzy, napełnili go wodą. W trzy kwadranse podziemie zamieniło się w sadzawkę. Ale ja, dzięki Bogu, dojrzałem wpierw trzy beczki. Każde z nas położyło się na jednej i płynęliśmy spokojnie w górę.

Najgorzej było u otworu, beczki nie chciały wypłynąć. Musiałem wziąć na barki te dziewczęta i płynąć z niemi, ale to zuchy nielada. Leżały cichutko na moich plecach, ani jęku, ani skargi. Żal byłoby nie wyratować takich, więc mi Bóg dopomógł. Wypłynąłem z otworu, dotarłem szczęśliwie do brzegu...

— I przywiozłeś je do Paryża? — pytał Lecoq ze wzburzeniem.

— Nie wprost. Były zanadto zmęczone. Zaprowadziłem je do fermy, do której wstępowałem w ciągu dnia i wiedziałem, że są w niej dobrzy ludzie. Dziewczyny wysuszyły się, odpoczęły, a o dziesiątej z rana poszliśmy na dworzec do Epinay.

Odprowadziłem właśnie małą do Cambremera, a pannę Lecomte odwiozłem do Boulogne. Co to była za uciecha!

— I masz mi za złe, żem puścił Tolbiaca! zawołał pan Lecoq. — Ależ trzymamy go w ręku, mając tyle dowodów jego winy. Chciał zamordować Teresę i Martę, tak jak zamordował Maryę Fassitt, aby zapewnić sukcesyę po majorze owemu Atkinsowi, który mu obiecał, że się z nim podzieli. Powiadam ci, że jutro zjawią się tu obaj.

— A ja panu pryncypałowi powiadam, że nie przyjdą. Czy pan wie, co robią teraz ci zbóje z młyna Yvett? Oto wypuszczają wodę z lochu, żeby wyłowić trupy, które mieli zanieść w nocy na plant kolejowy. Tolbiac dowie się dziś wieczorem, że nic nie znaleźli, zrozumie, że dziewczyny uciekły, że oskarżą młynarzy, że młynarze wszystko wyśpiewają i że sukcesya w łeb wzięła.

Ten łotr umknie, jeżeli go dziś nie schwytamy.

— To prawda — szepnął p. Lecoq — a jeżeli ucieknie, to nie będę mógł dostarczyć dowodu niewinności Ludwika. A Pigache mówił mi, że egzekucya wyznaczona na wtorek. Trzeba się śpieszyć, bo będzie zapóźno.

— Czy mam wracać do Savigny i opowiedzieć moją przygodę merowi?

— Nie. Toby się na nic nie zdało. Chodzi mi nie o aresztowanie Tolbiaca, lecz o ocalenie mojego syna. Słuchaj, Piédouche, jeden tylko człowiek może mi dopomódz w tym razie, a to mój dawny przyjaciel szef policyi tajnej.

Pojadę do niego, a ty ze mną, bo twoje świadectwo jest mi potrzebne.

Piédouche zdziwił się wprawdzie taką decyzyą swojego pryncypała, ale nie pozwolił sobie na uwagi. Rozumiał, że czas nagli i że nie pora dyskutować.

Wyszedł i czekał na bulwarze.

W trzy minuty potem nabab ukazał się na ulicy, ku wielkiej radości gapiów. Wsiadł do dorożki, Piédouche zajął miejsce na przedniem siedzeniu i z rozkazu swego pana kazał jechać na Quai Conti.

— Nie boi się pan, że nas będą śledzili i domyślą się wszystkiego.

— To mi obojętne. Palę mosty za sobą. Sądzę zresztą, że policya nie aresztuje nieszczęśliwego ojca, występującego w obronie syna.

Przybycie nababa wywołało olbrzymią sensacyę w całym domu.

Odźwierny nie poznał ma się rozumieć swego lokatora pod tem przebraniem, dopiero gdy p. Lecoq oderwał przyprawioną brodę i turban, ucieszony stróż oddał mu klucz od jego mieszkania.

Po kwadransie p. Lecoq wyszedł w swojej właściwej postaci i wsiadł do dorożki, w której czekał Piédouche.

Gdy agenci w prefekturze zobaczyli staruszka i swego dawnego kolegę, aż odskoczyli ze zdziwienia, a choć wiedzieli, że powinni aresztować obydwóch, żaden jednak nie poważył się tego uczynić.

Domyślali się zresztą, że przychodzą oddać się sami w ręce sprawiedliwości, więc pozwolili im wejść na schody.

P. Lecoq kazał zameldować się szefowi.

— Pan tutaj! — zawołał tenże na widok swego dawnego przyjaciela.

— Tak, to ja — oświadczył Lecoq — przyprowadzam ze sobą Piédouche'a.

— Wiesz pan zapewne, że obaj jesteście ścigani?

— Wiem, zaaresztujesz mnie pan, jeśli uznasz za stosowne, ale wpierw musisz mnie wysłuchać.

— Cóż mi pan powie?

— Przynoszę dowód niewinności mojego syna.

P. Lecoq dostrzegł cień na twarzy swego interlokutora.

— Spóźniłem się, prawda? — podchwycił. — A jednak nie traciłem czasu. Od czterech miesięcy tropię nędznika, za którego cierpi mój syn i byłbym wyśledził każdego innego wcześniej, ale ten jest niezwykle zręczny i przebiegły.

— Któż to taki?

— Szef policyi uśmiechnął się z politowaniem.

— Pewny byłem — rzekł — że wcześniej czy później spróbujesz pan zwrócić podejrzenia na agenta, do którego masz urazę. O! nie potępiam cię! jesteś ojcem i wszelkich się środków chwytasz, byle ocalić syna.

Nie każę aresztować ani pana, ani Piédouche'a, choć go nie tłómaczą motywy takiej natury. Nie będę nawet was pytał, coście robili w czasie waszej nieobecnośi, bo wiem.

— Pan wie?

— Doskonale. Mieliśmy wciąż na oku Dżafera z Bachuru, a naszą pobłażliwość zawdzięczał dawnym zasługom pana Lecoqa.

— Dziękuję ci, przyjacielu — szepnął staruszek, zwruszony taką dyskrecyą swego dawnego zwierzchnika. — Ale i pan podziękuje mi, gdy mu powiem...

— Że wszedłeś do kompanii Tolbiaca, który źle bardzo robi, uprawiając stosunki z półświatkiem; że Piédouche śledził kazał śledzić węglarzom z ulicy Arbalête metresę Tolbiaca. Wszystko to wiem, a wiem również, że nr. 33 wykraczał nieraz prciwko swym obowiązkom, pomagając wam w maskarach.

— I nie uprzedziłeś pan Tolbiaca?

— Nie.

— Jesteś najszlachetniejszym przyjacielem! — zawołał p. Lecoq ze łzami.

— Jestem tylko sprawiedliwy. Współczułem pańskiej boleści, interesowałem się pańskiemi usiłowaniami. Zwierzchnicy pozwolili mi nie przeszkadzać tym zabiegom. Żałuję bar-

dzo, że nie osiągnęły pomyślnego skutku. Teraz jesteś już pan bezsilnym.

— Przeciwnie. Teraz właśnie zdobyłem oręż. Dowiodę wam, że Tolbiac zamordował Angielkę i wytłómaczę, dlaczego to uczynił.

— Mów pan — rzekł naczelnik z rezygnacyą człowieka, który ma obowiązek wysłuchać zeznań, które nie doprowadzą do niczego.

— Postaram się być zwięzłym. Wiadomo panu, że Tolbiac wyszukuje spadkobierców olbrzymiej sukcesyi.

— Sukcesyi O'Sullivan'ów. Czyni to jawnie. Opowiadał mi nawet, że jest na drodze do odnalezienia jednego ze sukcesorów.

— Znalazł go już oddawna, a ten sukcesor jest jego wspólnikiem. Major O'Sullivan miał czterech spadkobierców. Przyjaciel Tolbiaca jest najdalszym i może dziedziczyć tylko po śmierci tamtych. Tolbiac rozpoczął swą działalnść od zamordowania w dniu 13-tym stycznia r. b. Maryi Fassit, najbliższej sukcesorki.

— Jakto? Angielka z ul. Arbaléte była spokrewniona z O'Sulivanem?

— Była córką najmłodszej siostry majora. A czy pan wie, kto po niej ma największe prawo do tej fortuny Oto panna Lecomte, ta sama, którą mój syn miał poślubić. A po pannie Lecomte idzie córka zwrotniczego kolei Orleańskiej.

— To dziecko znikło niedawno.

— Tak, Tolbiac kazał je wykraść, a wczoraj sam wykradł pannę Lecomte, a jeśli zaś obu nie zatopił dzisiejszej nocy, to tylko dzięki odwadze i przytomności umysłu Piédouche'a. Gdyby zginęły, Jerzy Atkins, cioteczny prawnuk Patrycego O'Sullivana, odziedziczyłby dziesięć milionów i podzielił się nimi z Tolbiaciem. Jerzy Atkins jest opojem, zdziczałym niedołęgą. Czy uwierzysz pan w moje dowody?

— To jakiś romans fantastyczny — mówił szef policyi z widoczną nieufnością.

— Wcale nie romans! — zaprzeczył Lecoq. — Poszlijcie po pannę Lecomte do Boulogne, poszlijcie po pannę Cambremer do jej ojca na bulwar Hôpital. Zeznają one przed sędzią śledczym. Piédouche złoży także zeznania. Poszlijcie do Savigny-sur-Orge rozkaz przywiezienia natychmiast Jerzego Atkinsa, Anglika, mieszkającego przy młynie, a także Tolbiaca i jego metresy Arabeli Disney, którą posądzam, iż była panną służącą u Maryi Fassitt.

— Gdybym śmiał, tobym prosił pana naczelnika, żeby zabrano za jednym zamachem młynarza i młynarkę z młyna Yvette. Te łotry chciały zatopić obie panienki i mnie przy tej sposobności — wtrącił Piédouche.

Naczelnik zwlekał z odpowiedzią. Namyślał się widocznie.

— Kochany Lecoqu — rzekł wreszcie — nie sądzę, byś mnie chciał w błąd wprowadzić, ale fakty przytoczone są tak niezwykłe i nieprowdopodobne, że waham się, czy mam o nich donieść sądowi.

— Proszę pana o sześć godzin zwłoki i o czterech pańskich agentów dla aresztowania Tolbiaca i jego wspólników. Skonfrontujecie ich dziś wieczorem z ofiarami zamachu, a jutro...

— Jutro! — powtórzył szef policyi z naciskiem — jutro byłoby już zapóźno. — Słuchaj, przyjacielu. Przedsięwezmę natychmiast środki koniecznie i co w ludzkiej mocy, uczynię. Ale tymczasem mogę jeszcze coś zrobić dla ciebie i zrobię. Pragniesz zapewne zobaczyć twego syna?

— Pytasz o to? Pozwól mi wyruszyć do Savigny, a skoro tylko powrócę, skoro przesłuchasz nędzników, których tu przywiozę, pójdziemy razem do więzienia. Wtedy będziemy mogli powiedzieć Ludwikowi, że jego ułaskawienie jest rzeczą pewną.

— Chodźmy do niego zaraz — proponował szef policyi.

P. Lecoq spieszno było do Savigny, ale jeszcze pilniej uściskać syna. Skorzystał więc skwapliwie z tej propozycyi.

Wydała mu się ona dobrą wróżbą: nie zastanowiło go, dlaczego szef policyi obstaje koniecznie, by to widzenie odbyło się tego samego dnia.

Naczelnik zawołał dorożkę. Usiadł w niej obok p. Lecoqa, Piedouche'owi wskazał przednią ławeczkę; chciał go mieć pod ręką.

Drzwi więzienne rozwarły się przed szefem policyi tajnej. Dozorcy, którzy znali ojca Lecoq, widząc go odwracali oczy, aby ukryć wzruszenie.

W korytarzu szef policyi rzekł do Lecoqa półgłosem:

— Pozostawię pana sam na sam z synem. Biorę to na siebie w tem przekonaniu, że się pan tak zachowasz, iż nie będę miał z tego powodu przykrości.

— Dziękuję ci, przyjacielu — odparł staruszek — ale życzę sobie, abyś był świadkiem naszej rozmowy, bo jestem pewny niewinności Ludwika.

Szef policyi nie nalegał.

Dozorca otworzył drzwi celi, a właściwie klatki, wykutej w kamieniu, chłodnej, nagiej, oświetlonej okienkiem u góry. Oprócz łóżka i zydla nie było w niej nic zgoła.

Lecoq leżał na nędznem posłaniu i czytał. Ubrany był w kaftan bez rękawów, ale dozorca rozluźniał go we dnie, pozostawiając swobodę ruchów.

Staruszek wszedł pierwszy i podbiegł do syna. Przez chwilę trzymali się w objęciach. Szef policyi odwrócił się, aby ukryć swe wzruszenie.

— Przychodzę ratować cię — zawołał stary Lecoq. — Dziś wieczorem dowiodę, żeś nie winien, a jutro...

— Ja jestem winny — rzekł skazaniec głosem bezdźwięcznym.

— Nie oskarżaj się. To daremne. Odnalazłem mordercę Maryi Fassit. Tym nędznikiem jest Tolbiac.

— Tolbiac! — powtórzył Ludwik, przesuwając ręką po czole.

Widać było, że to nazwisko budzi w nim wspomnienia zagasłe już oddawna.

— Tak, mieni się Tolbiac'em, ale to musi być Anglik.., a przynajmniej musiał mieszkać w Anglii i tam poznał tę kobietę.

— I ja ją znałem — szepnął narzeczony Teresy.

Szef policyi, stojący na uboczu, przysunął się do łóżka.

— Panie — rzekł do niego skazaniec — nie byłbym pana wzywał dla uczynienia mu tych wyznań, bo jestem zrezygnowany na śmierć, lecz skoro ci zawdzięczam, że mogłem ujrzeć i uścisnąć ojca, chcę, byś się całej prawdy dowiedział.

Przebacz mi — dodał, spoglądając na słaniającego się staruszka — śmierć będzie mi łatwiejszą, a i ciebie mniej schańbi, gdy wszystko wyznam.

— Czyżbym się na nim zawiódł? — myślał nieszczęśliwy ojciec?

— Kłamałem zbyt długo — mówił dalej Ludwik — teraz już prawdę powiem. Istotnie to ja przechodziłem nazajutrz po zbrodni do pałacyku przy ulicy Arbaléte. Fotografię Maryi, miałem od niej samej, ale gdym przybył po nocy do jej buduaru, nie wiedziałem jeszcze o jej śmierci.

— A więc to nie ty ją zabiłeś?

— Nie kochałem już jej, ale kochałem ją niegdyś gorącą miłością szesnastoletniego chłopca — ciągnął Ludwik dalej, nie odpowiadając na wykrzyknik ojca.

Poznałem ją w Londynie, gdym był na pensyi w Clopham. Jej matka była aktorką i przeznaczała ją na deski teatralne. Ojciec jej, także aktor, już nie żył. Miała wielbiciela, który chciał ją poślubić wbrew jej woli. Kochaliśmy się wzajemnie i postanowiliśmy uciec. Ten pasjans — to była pamiątka naszego ostatniego widzenia. Mówiłem wobec sądu o jakiejś pannie z Heidelbergu. To było kłamstwo.

Rozstaliśmy się. Wywiozłeś mnie, ojcze, do Anglii. Zapomniałem o Maryi, ale ona pamiętała o mnie. Pół roku temu, gdy w sercu mojem powstała miłość do cudnej i słodkiej panienki, gdy byłem już jej narzeczonym, spotkałem tamtą na Polach Elizejskich.

Powinienem był uciec, ale zabrakło mi odwagi, bo mnie prosiła już nie o miłość, wiedziała, że kocham inną, lecz o opiekę.

Po moim wyjeździe z Anglii, jej prześladowca uwiódł ją. Była sierotą, pozbawioną środków do życia. Upadła, jak wiele innych w podobnem położeniu. Nie chciała jednak poślubić tego nędznika, choć znosiła jego despotyzm. Przejmował ją strachem.

— Wiem już teraz dlaczego ją zabił — wtrącił Lecoq.

— Uległem jej prośbom. Poszedłem ją odwiedzić — mówił dalej Ludwik — i przekonałem się, jak nizko upadła.

Jej prześladowca wynajął jej dom w odległej dzielnicy i sprzyjał życiu, które tam wiodła. Przyznała mi się, że żyje z hojności, wcale niebezinteresownej pewnego kupca.

Spotkałem go kilka razy na podwórzu i podobno wzbudziłem w nim zazdrość. Marya kochałe mnie jeszcze. Jej obojętność dla protektora podniecała jeszcze jego uczucia. Ta biedaczka miała wciąż nadzieję, że skłoni me serce ku sobie,

a jednak przysięgam, nie dawałem jej żadnych dowodów miłości, nie podsycałem jej złudzeń.

Bywałem u niej tylko na jej rozpaczliwe wezwania. Pisała mi, że ów tyran, który ją prześladował od jej dzieciństwa, straciwszy nadzieję zostania jej mężem, groził, że ją zabije; błagała mnie, bym ją bronił przeciw niemu.

Ilekroć przyszedłem zastawałem ją zawsze kładącą pasjans, który jej przypominał naszą miłość dawną.

Budząc te czyste wspomnienia, oczyszczała się jakby we własnych oczach.

Pewnego dnia wymogła na mnie, bym przyjął jej fotografię — tę właśnie, którą znaleziono w pugilaresie.

Kazała się sportretować z damą pikową w ręku, jak twierdziła, kartą fatalną dla naszej miłości, zwiastunką rozstania przed laty wielu.

— Ów nędznik wiedział, że ona cię przyjmuje. Wszak prawda?

— Wiedział. Doniosła mu o tem panna służąca Maryi, zaprzedana mu ciałem i duszą. Nie znał tylko mojego nazwiska i nigdy mnie u niej nie spotkał. Ale Marya mówiła mi, że jej robi sceny zazdrości o mnie.

— A więc wszystko się wyjaśnia nareszcie — zawołał staruszek uradowany. — Tamten zastał ją, kładącą pasjans i wbił jej w serce kartę fatalną.

— To zbyt romantyczne, aby mogło być prawdziwem — oświadczył chłodno szef policyi.

Na twarzy jego można było wyczytać, że posądza Ludwika o inscenizowanie komedyi.

— Wszak to on ją zamordował — powtórzył Lecoq.

— Tak, zamordował ją, bo nie chciała z nim wracać do Anglii. Zmusił ją, by się przygotowała do podróży. Miała wyjechać nazajutrz. Z jego rozkazu panna służąca została wyprawiona naprzód. Przybył po Maryę. Stawiała mu opór. Oświadczyła wręcz, że nie chce z nim mieć nic wspólnego, On wpadł w wściekłość i pchnął ją sztyletem.

— Słyszysz pan! — zawołał ojciec do szefa policyi.

— Wielka szkoda, żeś pan tego nie opowiedział przed sądem przysięgłych — rzekł tenże bardzo chłodno. — Byłbyś ich pan wzruszył. Angielka wymieniła panu zapewne nazwisko tego, którego mienisz jej mordercą?

— Tak panie, nazywa się Harry Dermott.

— Dermott! zawołali jednocześnie z odmiennemi uczuciami szef policyi i stary Lecoq.

— Widzę, że mnie pan posądzasz o chęć zwalenia mojej winy na cudze karki. Jesteś pan w błędzie — mówił Ludwik. Nie pragnę być ułaskawionym. Zabiłem i wiem, że śmierć mi się należy.

— Zabiłeś! — krzyknął ojciec Lecoq oszalały. — Kogoż zabiłeś?

— P. Lheureuse — odparł skazaniec.

— Bądź pan ostrożny — rzekł głosem zniżonym szef policyi. — Przyznajesz się do winy, a choć nie przyszedłem tutaj dla wyłudzenia zwierzeń, jednak mam obowiązek powtórzyć je komu należy.

— Powiadam, żem zabił pana Lheureuse, zasłużyłem na śmierć — oświadczył Ludwik stanowczo.

— Więc to prawda! — szepnął staruszek, ukrywając twarz w dłoniach.

— Zechciej mi pan wytłómaczyć, jak się to stało — rzekł szef policyi mniej chłodno.

Widocznie rozbroiła go szczerość tego wyznania i był usposobiony przychylniej.

— Wieczorem 13 stycznia — ciągnął dalej Ludwik — byłem na obiedzie u pani Lecomte. Rano tego dnia otrzymałem list od Maryi, w którym błagała mnie, bym przyszedł. List był naglący, że nie mogłem odmówić. Na moje nieszczęście przybyłem na ulicę Arbaléte dopiero o dziesiątej. Zastałem furtkę i drzwi wchodowe otwarte. Przez rolety widać było światło w pokoju jadalnym. Marya miała zwyczaj jeść późno obiad. Sądziłem, że jeszcze siedzi przy stole.

Wszedłem i znalazłem się oko w oko z protektorem, któregom spotykał kilkakrotnie wychodząc z tego domu.

Jadł sam. Dlaczego Marya nie siedziała przy stole? Do dziś nie wiem. Może się pokłóciła z zazdrosnym starcem, może obawiała się, bym jej nie zastał w jego towarzystwie. To jedno wiem, że on był pijanym.

Ujrzawszy mnie wstał rozwścieczony. Chciałem się cofnąć, lecz mi zagrodził drogę... Lżył mnie, schwycił za gardło, odepchnąłem go... wszczęła się między nami bójka... Czepiając się mojej odzieży, cofał się aż do drzwi garderoby.

Byłem silniejszy od niego, wyrwałem się z jego rąk, gdy nagle wymierzył mi policzek... Wtedy straciłem panowanie nad sobą... Miałem w ręku laskę.. Uderzyłem go... raz jeden... Padł i pociągnął mnie ze sobą... Próbowałem go podnieść i ujrzałem, że już nie żyje... Straciłem głowę i uciekłem...

— Nie zobaczywszy się nawet ze sprawczynią tego nieszczęścia? — pytał szef policyi.

— Gorzko żałuję, że mi nie przyszło na myśl zabrać ją z tego domu — rzekł skazaniec ze smutkiem. — Byłbym jej życie ocalił. Ale po prostu straciłem głowę. Wybiegłem na ulicę i pędziłem prosto przed siebie.

Miałem noc okropną. A nazajutrz, gdym musiał pójść do ojca, wysłuchiwać projektów, które snuł dla mojego szczęścia, gdy musiałem być na obiedzie u pań Lecomte, przechodziłem straszne tortury, wobec których śmierć na gilotynie jest niczem.

Dzienniki nie wspominały jeszcze o zbrodni przy ul. Arbaléte. Nie wiedziałem, że Marya zabita i myślałem wciąż, jak ją uwolnić od odpowiedzialności, jaka na nią spadnie, gdy w jej mieszkaniu znajdą trupa. Postanowiłem przyznać się do winy.

Gdybym tego nie uczynił, byłbym podłym tchórzem. Dość już i tak, żem mordercą — powiadałem sobie.

Wieczorem po odwiedzinach u narzeczonej, zdecydowałem się pójść na ulicę Arbalète. Wziąłem na wszelki przypadek kartę agenta, wystawioną na nazwisko Lecoqa. Sądziłem, że może mi się przydać. Już obmyślałem fortele, jak zawodowy morderca.

Wszedłem do pałacyku po ciemku, ale bałem się przekroczyć progu jadalni. Otworzyłem drzwi do salonu, był pusty. Wołałem Maryę... Pan wie, co było dalej...

— Ach! — czemużeś prawdę ukrywał! — zawołał ojciec, biorąc syna w objęcia. — Żaden sędzia przysięgły nie miałby serca skazać cię na śmierć.

— Nie raz, nie dwa w toku procesu otwierałem usta do wyznań. W chwili naprzykład, gdy przewodniczący błagał mnie, bym się nie gubił dobrowolnie, miałem już prawdę powiedzieć... ale Teresa była na sali.. Musiałbym wobec niej wyznać, że kochałem niegdyś kobietę skalaną, żem ją i teraz odwiedzał. Choćbym przysięgał, że pomiędzy mną a tamtą wszystko było oddawna skończone, Teresa nie byłaby mi uwierzyła, więc wolałem umrzeć.

— Biedne dziecko! — jęknął starzec. — Twoje obawy były płonne. Ręczę, że byłaby ci przebaczyła, że ci już przebaczyła; bo teraz wie prawdę. Ten nędznik chciał i ją zabić.

— Zabić ją — podchwycił skazaniec z najwyższą trwogą.

— Tak, opowiem ci całą intrygę potem, gdy Tolbiac zostanie aresztowany, a że zostanie to niewątpliwe. Teraz podziękuj szlachetnemu przyjacielowi, który pozwolił mi widzieć się z tobą i któremu będę zawdzięczał twoje ocalenie...

— Spełniłem tylko swój obowiązek — bronił się szef policyi. — Zresztą nie ma czasu na wylewy uczuć... Pańskie zeznanie musi być stwiedzone i to niezwłocznie.

— No, chodźmy prędzej — rzekł do Lecoqa.

Stary policyant miał tyle siły ducha, że nie pozwolił sobie na objawy czułości rodzicielskiej w tej chwili przełomowej, która miała stanowić o życiu lub śmierci jego syna.

Wyszedł śpiesznie ze swym przyjacielem, pożegnawszy Ludwika uściśnięciem dłoni.

— Czy jeszcze wątpisz o niewinności mego syna? — pytał Lecoq na schodach.

— Wierzę, że nie zamordował Angielki — odparł naczelnik wymijająco.

— A za to właśnie został skazany. Gdyby się był przyznał do tamtego zabójstwa, dostałoby mu się zaledwie kilka miesięcy wieży, bo zadał cios śmiertelny we własnej obronie i bez zbrodniczego zamiaru.

— Tak twierdzi i pewny jestem, że mówi prawdę, ale chcąc przelać to moje przekonanie w tych, od których los jego zależy, muszę im przedstawić dowody niezbite.

— Prosiłem, byś mi dał agentów dla aresztowania Tolbiaca. Wiem gdzie go szukać. Sam ich zaprowadzę. Pan wezwij Martę Cambremer i Teresę Lecomte. Piédouche jest pod ręką. Gdy wam dostanę Tolbiaca i jego metresę, będziecie mieli chyba dość dowodów.

— Sądzisz, że to wystarczy? Choćbyś udowodnił, że młynarze z młynu Yvette usiłowali zatopić kolportera i dziecko, nie stwierdzisz tem niewinności swego syna! Ci nędznicy będą się bronili. Tolbiac wszystkiemu zaprzeczy, a za-

pominasz, że wy obaj z Piédouche'm jesteście podejrzanymi świadkami i że sędziowie nie są skłonni do uwierzenia w romantyczne historye.

Zapominasz przedewszystkiem, że zabraknie nam czasu do tych stwierdzeń.

— Czasu! Dość mi będzie paru dni dla wykazania czarno na białem winy tego łotra.

— Dopomogę panu wedle możności, bo syn pański przekonał mnie najzupełniej. Powiedział, że prześladowca Maryi Fassitt nazywał się Dermott, a wiemy w prefekturze, że Dermott jest właściwem nazwiskiem Tolbiaca.

— Czegoż więcej trzeba?

— Na zebranie dowodów trzeba tygodnia, a my mamy zaledwie piętnaście godzin.

— Kochany Lecoqu, nie będę ci prawdy ukrywał. Doniesiono mi właśnie, że egzekucya wyznaczona na jutro rano.

— Jutro! To niepodobna. Rekurs został odrzucony zaledwie wczoraj! — jęknął ojciec, zataczając się jak pijany.

— Odrzucenie rekursu było postanowione z góry. Zbrodnia miała wielki rozgłos. Skazaniec zajmował stanowisko wybitne i dlatego sąd nie chce mu okazywać zbytniej pobłażliwości.

— I tybyś dopuścił do tego morderstwa sądowego, ty, mój przyjaciel, który wiesz całą prawdę?!

— Słuchaj, Lecoq — rzekł szef policyi wzruszony. Przysięgam ci, że gdyby to zależało odemnie, egzekucya zostałaby odłożona natychmiast. Ale znasz mechanizm administracyjny, wiesz, jak trudno odwołać rozkaz, wydany z zachowaniem wszelkich przepisów. Dołożę starań. Udam się do trybunału, do prokuratoryi, do ministeryum. Powtórzę, com usłyszał przed chwilą, będę prosił o zwłokę.

— Dziś wieczorem dostawię ci istotnego winowajcę.

— A ja ci dopomogę schwytać tego łotra. Dam ci moich najlepszych agentów, zabierzesz także Piédouche'a. Starajcie się ująć Tolbiaca, będzie się zapierał, lecz gdyby głuchoniemy poznał jego, nie zaś twojego syna, odłożonoby z pewnością egzekucyę.

— Dostarczę wam obydwóch! — zawołał Lecoq, budząc w sobie całą energię. — Jedźmy.

— Byle wam się udało załatwić jaknajprędzej. Minuty są godzinami, a godziny dniami dla Ludwika. Ja tutaj będę popierał jego sprawę, ty pracuj na swoją rękę. Czekam cię w swoim gabinecie do świtu... to jest do chwili, gdy będę musiał wyruszyć na plac Roquette... a wiesz, że latem słońce wschodzi wcześnie.

— Bóg nie dozwoli, by przyświecało kaźni człowieka niewinnego! — zawołał stary Lecoq.

ROŻDZIAŁ IX.

Odwiedziny w więzieniu zajęły sporo czasu; była już czwarta, gdy Lecoq wsiadł do wagonu z Piédouche'm i z sześciu agentami.

Każdy z nich zaopatrzony był w mandat, dzięki któremu wolno mu było aresztować winowajców.

Ojciec Ludwika jako przywódca wyprawy, miał prawo działać wedle własnego uznania.

Napozór był chłodny, a jednak serce jego toczyła trwoga śmiertelna. Zanadto znał procedurę sądową, aby się łudzić. Rozumiał, że schwytanie Tolbiaca nie uwolni jego syna od odpowiedzialności, że skutecznem w tym razie mogło być jedynie świadectwo głuchoniemego.

Ale gdzie szukać biedaka, usuniętego tak zręcznie przez winowajcę?

W pierwszej wyprawi, ani Piédouche, ani jego zwierzchnik nie zdołali wpaść na trop niemowy. A nuż go zgładzono tak samo, jak chciano zgładzić spadkobierczynie majora?

Lecoq łudził się jeszcze, że zamiast go zamordować, osadzono go w pałacu, wznoszącym się pod lasem Séquigny.

Była to zapewne siedziba Tolbiaca i Arabeli Disney. Ani Lecoq, ani Piédouche nie zdążyli tam dotrzeć za pierwszym razem i zapewne dostęp był utrudniony. Teraz mogli wtargnąć przemocą.

Ojciec Ludwika obmyślił taki plan: miano naprzód zrewidować młyn i podziemie. schwytać młynarzy, jeśli tam jeszcze byli; potem aresztować Atkinsa, co było rzeczą łatwą, ze względu, że od południa był zawsze pijany, wreszcie agenci mieli osaczyć dom z wieżyczkami i wtargnąć do niego gwałtem, jeśliby się nie dało inaczej.

Wszystko to można było dokonać szybko, a potem zabrać się do szukania głuchoniemego.

P. Lecoq postanowił wysiąść wraz ze swą drużyną na stacyi Epinay-sur-Orge. Nie chciał się pokazywać w Savigny, choć ani z ubrania, ani z twarzy nie był już podobnym do Arystydesa Chalumet. Bał się jednak spotkać na swej drodze szpiega Fanineux.

Program został wykonany ściśle.

Gromadka dotarła niebawem do zbiegu dwóch rzek; agenci zajęli tam stanowisko, aby zapobiedz ucieczce dwóch wspólników Tolbiaca.

Potem Lecoq z Piédouchem weszli do młyna. Drzwi jego były otwarte jak zwykle. Piédouche poznał miejsce, na którem mu urządzono łoże Madejowe, odnalazł kryjówkę, w której małżonkowie Chauffaille wiedli z sobą rozmowę, poznał klapy, spuszczające się do lochu, ale opryszków nie znalazł. Ulotnili się.

Napróżno lustrowali wszystkie kąty, wdrapywali się na drabiny, schodzili do podziemi.

Nie było nikogo, ani na strychu, ani w piwnicy z winem, zwykłej siedzibie Jakóbka. Podziemie było zalane do połowy; woda mogła wypłynąć przez otwór zbyt wązki.

— Rozumiem, jak to było — mówił Piédouche. — Tolbiac pojechał rano do Paryża, żeby się stawić u nababa, kazał wyłowić młynarzom zwłoki, które miano rzucić wieczorem pod koła pociągu. Szukali ich widocznie, bo oto hak, zawieszony na sznurze.

Gdy za powrotem Tolbiac dowiedział się, że nie znaleźli trupów, zrozumiał, że się dziewczyny ocaliły i domyślił się, że wniesiemy skargę na niego. Więc umknął, a małżonkowie Chauffaille i Jakóbek poszli za jego przykładem. Noga ich nie postanie już w tej jaskini zbójeckiej.

— I ja sądzę, że niema co szukać tutaj — oświadczył p. Lecoq. — Jeżeli nie drapnęli dalej, to muszą się ukrywać w pałacu.

Wyszedł natychmiast, postawił jednego agenta w izbie z workami, na wypadek, gdyby się kto zjawił, a sam udał się do mieszkania Atkinsa.

Agenci, postawieni na straży tej rudery, oznajmili mu, że nikt z niej nie wychodził, ani też do niej wkraczał.

Okna były otwarte, ale cisza grobowa kazała się domyślać, że dom jest pusty. Pan Lecoq był tego pewny, wszedł jednak i zdziwił się niemało, ujrzawszy w sieni na dole rudego pachołka.

Chrapał zawzięcie, skulony przed kominkiem, w którym dymił się kociołek z grogiem. Na pierwszem piętrze Jerzy Atkins leżał pijany wśród butelek pustych.

Pan i sługa byli niezdolni do ucieczki. Wystarczało pozostawić jednego agenta na stanowisku przy ruderze.

Uczyniwszy to, p. Lecoq zebrał resztkę swej brygady i poprowadził ją do pałacu, sterczącego na wzgórzu.

Zdaleka ta rezydencya ze swemi dwoma wieżyczkami przedstawia się wcale pokaźnie. Zblizka był to dwór, z którego tynk opadał. Wbrew feudalnemu wyglądowi, wieżyczki były poprostu gołębnikami.

Las zaczynał się o sto kroków od parkanu, a najbliższe siedziby ludzkie były o kilometr od dworu.

Tolbiac musi się tu ukrywać — pomyślał p. Lecoq i chciał już dzwonić u furtki, lecz spostrzegł, że jest uchylona. Popchnął ją i zobaczył, że nie było nikogo w budce, przy bramie. Przeszedł niewielkie podwórze i stanął u drzwi wchodowych, otwartych na oścież. Towarzyszył mu Piédouche. Reszta agentów stała na straży za parkanami. Była to jednak przezorność zbyteczna: Lecoq przekonał się niebawem, że dom jest pusty. Pozostały tylko ślady szybkiego odjazdu: otwarte kufry, rozrzucona odzież męska i kobieca.

— Te kufry podobne są do znalezionych u Maryi Fassit — mruknął Piédouche.

— A oto koperta listu zaadresowanego: Harry Dermott, w pałacu Sequigny! — zawołał Lecoq.

— Dermott, to jest Tolbiac. A więc weszliśmy w samo gniazdo os, ale osy już odleciały.

— Muszą być w bliskości — nadmienił Piédouche — Tolbiac zdążył zaledwie powrócić z Paryża i porozumieć się z Chauffaillami.

— To prawda, ale mógł odjechać koleją do Orleanu, a gdzie go teraz szukać?

— Trzebaby rozesłać depesze po całej linii.

— Nie, rzekł staruszek głosem zdławionym — to zbyteczne. Jest już siódma... a jutro o świcie...

Padł na krzesło i ukrył twarz w dłoniach. Siedział tak chwilę, wreszcie zerwał się, wołając:

— Musimy schwytać głuchoniemego... Ty jedź natychmiast, powiedz naczelnikowi coś widział... powiedz mu, że mam dowody, obciążające Tolbiaca... Pokaż mu ten adres... powiedz, że nędznik umknął, że młynarze ulotnili się... kłam w razie potrzeby, przysięgaj, że jestem na tropie głuchoniemego i błagaj, by naczelnik uzyskał jednodniową zwłokę... Przyszła mi nagła myśl, istne natchnienie. Jeżeli mi udzielą jeszcze jedną dobę, to wyratuję syna.

Piédouche był pewny, że staruszek zwaryował, ale będąc wytresowanym należycie, nie stawiał mu oporu.

— Jadę — rzekł. — Niech pan będzie spokojny; jeżeli nie uzyskam zwłoki, to nie będzie moja wina.

Lecoq postanowił działać bezzwłocznie. Stary policyant pozostawił jednego agenta na straży, a sam z trzema podążył do najbliższej wioski, Morsang. Szedł naprzód, wymachując rękoma, i rozprawiając głośno. Nagle, o trzy kroki od dworu stanął, zbiegł z drogi i puścił się ku łące nad rzeką. Agenci byli pewni, że dostał pomieszania zmysłów. Po chwili spostrzegli, że pędzi za jakimś księdzem, który krążył nad brzegiem Orge, czytając brewiarz.

Lecoq zrównał się z nim w chwili, gdy kapłan miał przejść na drugą stronę po mostku i spytał go obcesowo:

— Na miłość Boską, księże proboszczu, powiedzcie mi, czy to was widziałem wczoraj na tem samem miejscu? Weszliście do tej chałupy z chłopcem, który czekał na was tutaj.

— Istotnie, to ja byłem — odparł kapłan, zdziwiony taką napaścią.

— Życie mego syna zależy od odpowiedzi ks. proboszcza. Co to za chłopak?

Ksiądz zawahał się, wreszcie rzekł:

— To biedny głuchoniemy. Przychodzi tu codziennie na lekcye pisania.

Lecod omal nie zemdlał z radości.

— Mieszka w tym oto pałacu, wszak prawda? — wybełkotał.

— Mieszkał, ale cudzoziemcy, który wynajmowali ten dwór, opuścili go dziś właśnie.

— I... wzięli go ze sobą? — pytał starzec w śmiertelnej obawie.

— Nie. Wyjechali, zdaje mi się do Paryża. On ma za nimi podążyć dziś wieczorem. Czy pan przybywasz od nich?

— Nie, nie. Więc ma się z nimi złączyć?

— Oświadczył mi dziś, że jego pan kazał mu przyjść o zmierzchu do rudery przy młynie. Mieszka tam także Anglik.

— Czy i ten chłopak jest Anglikiem?

— Sam nie wie. Przywiózł go w zeszłym roku do Francyi niejaki Dermott, mieszkający w owym pałacu... Biedny kaleka nie przypomina sobie swego dzieciństwa. Wie tylko, że go rodzice opuścili, a ten Anglik przygarnął. Zresztą jego pojęcia są niejasne; przed czterema miesiącami nie umiał ani czytać, ani pisać, ani rozmówić się na migi, żył wśród ludzi, jak na bezludnej wyspie.

— Czy umie teraz pisać? Czy księdzu proboszczowi zawdzięcza tę umiejętność? — Pytał Lecoq z najwyższym niepokojem.

— Tak, zająłem się nim; zrobił wielkie postępy, choć musieliśmy się ukrywać, bo jego pan chciał go pozostawić w nieuctwie. Mało kto zna język głuchoniemych. Ja nim władam. Anglik nie chciał widocznie, by niemowa rozumiał swoich bliźnich.

— Jakimże sposobem on sam wydawał mu rozkazy, jak mu polecił stawić się dziś wieczorem u Atkinsa?

— Porozumienie było łatwe. Dermott wskazał głuchoniememu dom Atkinsa, podniósł 9 palców w górę. Niemowa domyślił się, że ma przyjść o dziewiątej. — Ale daruje pan, że ja go z kolei zagadnę. Dlaczego pan o to mnie pyta?

— Dlaczego? — podchwycił Lecoq. — Chodzi mi o ocalenie człowieka niewinnego. Ksiądz proboszcz musiał słyszeć o zbrodni przy ul. Arbalète.

— Nie trzymam dzienników świeckich, słyszałem jednak o tej potwornej zbrodni.

— I nie zastanowił księdza proboszcza dziwny zbieg okoliczności... współudział w niej głuchoniemego?

— Istotnie, dziwiło mnie to bardzo i nasuwało pewne wątpliwości co do winy podsądnego młodzieńca, którego oskarżano o tę zbrodnię.

— Tym młodzieńcem jest mój syn.

— Syn pański?

— Tak może mu ksiądz ocalić życie.

— Ja?

— Tak nikt inny, tylko ksiądz proboszcz... Mógłbym przysiądz, że mordercą jest ów Anglik z pałacu, a jego wspólniczką ta ruda kobieta... Winowajcą jest Tolbiac... właściwie Dermott... Głuchoniemy, który wiózł trupa w skrzyni, to ów uczeń księdza proboszcza.

— Przypominam sobie istotnie, że jeszcze przed tą zbrodnią Dermott wynajął ten pałac. Sam przyjeżdżał rzadko, ale osadził tam głuchoniemego. Drugi Anglik, Atkins, zjawił się w naszem mieście na krótko przed tem. Po Nowym Roku głuchoniemy znikł. W owym czasie znałem go tylko z widzenia. Po dwóch tygodniach ukazał się znowu. Wtedy zdobyłem jego zaufanie i zacząłem go uczyć pisać i czytać.

— Czy go ksiądz proboszcz nigdy nie pytał, co mu się zdarzyło wówczas w Paryżu?

— I owszem, pytałem, ale nie potrafił mi wytłomaczyć, co tam robił. Domyśliłem się z jego znaków, że go wsadzono do więzienia, a potem wypuszczono przez wygląd na jego pana.

— Dzięki Bogu! Ludwik nie umrze pod gilotyną — szepnął p. Lecoq, a głośno dodał: — Czy można liczyć, że głuchoniemy przyjdzie tu wieczorem?

— Ręczę za to. Ma niewolniczy posłuch dla swego pana.

— Powiedzmy raczej: obawę.

— Być może. Dermott jest despotyczny i twardy. Biedny chłopak przyzwyczaił się do ślepego posłuszeństwa. Przed chwilą właśnie przybiegł do tego szałasu, gdzie się schodzimy i żegnał mnie z płaczem, opowiadając na migi, że pan zabiera go do Anglii, że wyjeżdżają dziś wieczorem.

— Gdzie on jest teraz?

— W lesie. Trawi tam połowę życia. Choćbym go szukał, nie znajdę. Ale zjawi się on tu niechybnie o ósmej...

— O ósmej — szepnął staruszek, myśląc, że już o północy zaczną ustawiać gilotynę na placu Roquette.

— Nie spóźni się, bądź pan spokojny — pocieszał go kapłan: — dałem mu srebrny zegarek.

Rozmowa toczyła się przy moście murowanym.

Wieczorem opary przysłaniały już młyn Yvete. Okna domu Atkinsa były oświecone oblaskami kominka, w którym płonął napój djabelski. —

— Którędy przyjdzie głuchoniemy? zapytał Lecoq.

— Od strony łąki — odparł kapłan. To droga najprostsza do lasu.

W chwili tej stary policyant ujrzał podchodzącego agenta, którego był postawił na straży przy mieszkaniu Atkina. Lecoq zbliżył się do niego.

— Panie naczelniku rzekł do niego agent. Trzej mężczyźni i dwie kobiety weszli do rudery przy młynie.

— Trzej mężczyźni i dwie kobiety powtórzył Lecoq. — Jak wyglądają?

— Jest tam jeden pan i jedna pani — odparł agent — reszta, to zdaje się młynarka, młynarz i wyrostek.

— Czy cię nie spostrzegli?

— Niema obawy. Leżałem na brzuchu w zagonie kapusty. Człowiek wie przecie, jak trzeba się zachować.

— A twój towarzysz?

— Ukryty w młynie za żarnami.

— Wracajże na swoje stanowisko, a gdyby kto wysuwał się z rudery, to zagwizdaj. Agent obrócił się na pięcie i znikł wśród mgły. Lecoq podszedł znowu do kapłana, wielce zdziwionego temi manewrami.

— Księże proboszczu, — rzekł głosem wzruszonym — błagam was, ratujcie mi syna.

— Chętniebym to uczynił, ale cóż ja mogę?...

— Ksiądz proboszcz może bardzo wiele... Szukam mordercy kobiety, zabitej przy ul. Arbalète... Ci ludzie są moimi agentami.

Ksiądz żachnął się. Wstrętnem mu było widocznie współdziałanie z policyą.

— Błagam was, księże, wysłuchajcie mnie do końca — mówił Lecoq. — Mój syn jest niewinny. Już od czterech miesięcy pracuję nad jego ocaleniem... Wysłuchano moich próśb... i Bóg zezwolił wreszcie, bym znalazł prawdziwego winowajcę... Gdybym nie był was spotkał, zacny kapłanie, utraciłbym wszelką nadzieję, bo jutro ma paść głowa skazańca. Jutro rano! — Tak, chcąc uzyskać zwłokę, muszę dziś w nocy dostarczyć policyi tych wszystkich łotrów... Muszę przedewszystkiem przywieść głuchoniemego... Mordercy są osacze-

ni w tym domu, wy zaś księże proboszczu, pomóżcie mi wybadać głuchoniemego.

— Najchętniej.

— Muszę prosić jeszcze o coś więcej. Moje świadectwo byłoby podejrzanem, świadectwo głuchoniemego jest niedostatecznem, ale wasze byłoby dla nas dobrodziejstwem. Was, zacny kapłanie, znają w tej okolicy.

— Od lat dwudziestu jestem proboszczem w Morsang.

— Znacie tego nędznika Dermotta, jego wspólniczkę, Atkinsa i młynarza, potraficie rozmówić się z głuchoniemym. Zaświadczycie, że on nie udaje. Błagam was, jedźcie ze mną.

— Do Paryża!? — zawołał proboszcz, oszołomiony tą propozycyą.

— Tak, do Paryża i to dziś wieczorem.

— Ale zastanów się pan: od lat kilkunastu ani razu nie straciłem z oczu dzwonicy w Morsang, jestem potrzebny moim parafianom.

— Człowiek niewinny, który ma zginąć za winowajcę, potrzebuje waszej pomocy. Nie odmówcie jej, księże proboszczu. Nie będziecie mieli serca mi odmówić.

— Ależ... ostatni pociąg wychodzi z Savigny o dziewiątej minut dziesięć... Chciałbym jeszcze powrócić do Morsang, uprzedzić mojego wikarego, że wyjeżdżam.

— Ja to biorę na siebie. Jeden z moich agentów oznajmi to wikaremu, skoro tylko załatwimy się tutaj. Poczekamy na głuchoniemego przy moście. Gdy się pojawi, ksiądz proboszcz wytłómaczy mu, czego się po nim spodziewamy, ja każę ludziom swoim aresztować wszystkich w domu Atkinsa. W pół godziny potem będziemy w Savigny... a po północy stawimy się w gabinecie szefa policyi... Chodźcie no tutaj — zawołał Lecoq na swoich podwładnych, stojących dyskretnie na uboczu.

— Złoczyńcy weszli już do rudery. Numer 66 widział jak wpadli w naszą pułapkę. Czuwa nad nimi i nie pozwoli im się wymknąć. Jest ich siedmiu, pięciu mężczyzn i dwie kobiety, jedna może się liczyć za mężczyznę. Was jest tutaj trzech, tam dwóch. Zresztą Anglik i jego służący pijani i bezwładni. Tolbiac i młynarz będą się bronili, ale wy nie boicie się ani wystrzałów, ani nożów. Trzeba wziąć tych nędzników żywcem i załatwić się z nimi szybko. Dalejże do roboty. Agenci wyruszyli w milczeniu z chłodną odwagą, jak żołnierze idący na bitwę.

— Przyjdę do was niebawem — oświadczył p. Lecoq.

Agenci odeszli zaledwie kilkanaście kroków, gdy ksiądz szepnął:

— Oto głuchoniemy.

— Lecoq odwrócił się i ujrzał wysoką postać we mgle nadbrzeżnej. Głuchoniemy wahał się widocznie, bał się zbliżyć. Ksiądz podszedł do niego, wziął go za rękę i wprowadził na most. Nieszczęśliwy ojciec drgnął, znalazłszy się oko w oko z tym, który miał w swych rękach życie jego syna. Chciał go badać natychmiast, ale się już ściemniło, a dotychczas nikt nie wynalazł sposobu porozumiewania się z głuchoniemymi po ciemku.

— Chodźmy do młyna — rzekł do księdza; — mam ze sobą zapałki i świecę. Podczas gdy agenci będą się załatwiali z tamtą hałastrą, ja zbadam tego chłopca za pośrednictwem księdza proboszcza.

Zacny kapłan zgadzał się na wszystko. Wziął niemowę pod rękę i szedł z nim za staruszkiem. W oknach parterowych domu Atkinsa jarzyło się światło żywsze, niż przed chwilą. Nagle przez jedno z okien wypełzł płomień, oświetlając ruderę, w której zamknęli się mordercy Maryi Fassitt.

— Ogień! — zawołał Lecoq.

— Ten pijak zaprószył ogień w swojej norze... Tolbiac nam ucieknie... Trzeba temu przeszkodzić. — Rzucił się naprzód, a za nim ksiądz ze swoim uczniem. Pożar szerzył się z przerażającą szybkością. Suche domiska płonęły jak wióry. Ogień wszczął się na dole, w sieni, gdzie rudy pachołek gotował wciąż grog dla swego pana, płomienie żarły już podłogę pierwszego piętra, syczały na schodach.

— Panie naczelniku — szepnął jeden z agentów — powrócimy z pustemi rękami, dom ma jedno tylko wyjście, a płomienie go zatkały. Jeżeli ci Anglicy nie wyskoczą przez okno pierwszego piętra, to się upieką, jak kurczaki.

— Trzeba ich wyratować koniecznie! — zawołał ojciec Lecoq. Tym słowom wtórował straszny jęk i lament: kobiety chciały zbiedz ze schodów, lecz ujrzały przed sobą świecę płomienną. Okna pokoju na górze, w którym leżał pijany Atkins, otworzyły się z trzaskiem. Do jednego tłoczyli się małżonkowie Chauffaille i wyrostek, w drugiem ukazał się Tolbiac. W łunie pożogi łotr dostrzegł agentów, zaczajonych na dziedzińcu i ryknął z bezsilnej wściekłości.

— Wyskocz pan przez okno, moi agenci uchwycą cię na ręce! — krzyczał Lecoq.

— Ha! to ty, stara kanalio! — wrzasnął morderca Maryi Fassitt.

— Ja się upiekę, ale i twój syn pójdzie pod nóż jutro o świcie, a i ty zginiesz marnie. — Wystrzał podkreślił te słowa, kula musnęła ramię starego policyanta. Odskoczył i schował się za drzewo. Oprzytomniawszy, spojrzał na zegarek.

— Wpół do dziewiątej! — zawołał przerażony. — Chodźmy, księże proboszczu. Mamy zaledwo czas dojść do Savigny przed wyruszeniem ostatniego pociągu. Chodźmy prędzej.

Zacny kapłan nie mógł się oddalić bez wezwania miłosierdzia Bozkiego dla tych nędzników, pożeranych przez ogień. Wtem rozległ się trzask, posypały się iskry. Podłoga pierszego piętra zapadła.

— Odwagi, dzieci, odwagi — zachęcał Lecoq. — Starajcie się wydobyć ich żywcem. Ja idę ratować mego syna. — Pociągnął za sobą proboszcza, a za proboszczem poszedł głuchoniemy, niezbyt przejęty owym strasznym widokiem. Lecoq był pełen nadziei. Miał wreszcie w ręku żywy dowód niewinności swego syna. Za godzinę będzie mógł przedstawić go szefowi policyi. Ludwik był ocalony. Nieszczęśliwy ojciec nie miał złych przeczuć. A jednak gdy wraz z towarzyszami dotarł wreszcie do stacyi, pociąg już był wyruszył przed minutą.

ROZDZIAŁ X.

Północ wybiła na zegarze więziennym. Niebo było pochmurne. Na placu stracenia, przy świetle latarni krzątały się postacie złowróżbne. Sierżanci zagradzali już ulice, prowadzące na plac Roquette; po za tą żywą zaporą gromadził się już nocni włóczędzy i amatorowie krwawych widowi ki wiedząc, co znaczą takie przygotowania. Damy z półświatka, gracze, światowcy zblazowani, poszukujący silnych wrażeń po wesołej kolacyjce, pędzili w dorożkach i powozach na miejsce stracenia, w nadziei, że znajdą okna do wynajęcia.

Pachołkowie wyjmowali z zakrytego furgonu deski, kosze, skrzynie; ustawili naprzód platformę z desek, potem wetknęli w nią dwa słupy pomalowane na czerwono, złączyli je u góry przecznicą; następnie wydobyto ze skrzyni trójkątne toporzysko, opancerzone w gruby trzon ołowiany i przytwierdzono je pomiędzy dwa słupy. Pracownicy śmierci uwiązali powróz do trzonu, podnosili i spuszczali nóż kilkakrotnie, żeby się przekonać, że porusza się swobodnie i wreszcie uczepili go do sprężyny, na której zawisł. U dołu postawiono dwie deski ruchome, wyrznięte w środku tak, iż ten otwór miał kształt dwóch półksiężyców, złączonych ze sobą; do desek przysunięto podstawę stołu, przyczepiono do niej blat ruchomy w rodzaju huśtawki; pachołkowie wnieśli koszyk trzcinowy, postawili go przy desce ruchomej, podnieśli blat, postawili pod stołem naczynie miedziane, pobielane wewnątrz i wsypali do niego trochę otrąb. Przygotowania były już ukończone. Skazaniec mógł przybyć każdej chwili. Ulepszona gilotyna, bez dawnych schodów, bez balustrady, nie przedstawiała się tak strasznie, jak za czasów rewolucyi i gdyby nie jej czerwone ramiona i trójkąt stalowy, przypominałaby maszynę do szycia. Kat wyglądał za spokojnego kapitalistę, jego pomocnicy na biuralistów; wehikuł, czekający na zwłoki podsądnego, można było wziąć za wózek, rozwożący lód po mieście. Groźny widok placu kaźni został zatarty. Egzekucye odbywają się burżuazyjnie. Sierżanci tworzyli już szpaler po obu stronach chodnika, wiodącego od bram więzienia do wrót wieczności. Żandarmerya konna ustawiła się na ulicy. Piédouche i Pigache rozmawiali na uboczu, oparci o zielony furgon, który miał zabrać krwawe szczątki Ludwika Lecoqa.

Pigache odbył niepotrzebną a nawet niefortunną wycieczkę do Savigny, albowiem ukazanie się jego w tych stronach, wzbudziło tylko czujność bandytów. Jakóbek, widząc, że Pigache krąży koło młyna, zwęszył w nim szpiega i uprzedził małżonków Chauffaille; oni zaś donieśli o niebezpieczeństwie Tolbiacowi, co go zdecydowało opuścić tę okolicę jaknajprędzej. Nie udało się Pigache'owi dotrzeć ani do Atkinsa, ani do Sequigny, wrócił więc i zamilczał o swojej nieudanej wyprawie. Piédouche zastosował się literalnie do instrukcyi swego

pryncypała. Zaraz po przybyciu poszedł do prefektury i upewnił szefa policyi, że pan Lecoq zobowiązuje się dostarczyć przed północą prawdziwych winowajców i błaga, by odroczono egzekucyę o jednę dobę. Naczelnik obiecał, że zrobi, co będzie mógł. Piédouche dowiedział się jednak od kolegów, że nie odwołano rozkazu i że robotnicy krzątali się już około wystawienia gilotyny. Były numer 29 podążył z Pigache'm na dworzec Orleański; czekali tam na pana Lecoqa w przygnębieniu i trwodze. Ale ostatni pociąg już przyszedł, a pana Lecoqa w nim nie było. Agenci pobiegli na plac Roquette, aby dotrzeć do skazańca, gdy go będą prowadzili na rusztowanie i szepnąć mu kilka słów serdecznych. Czekali już od trzech godzin, patrząc na przygotowania i licząc minuty. Straszne narzędzie śmierci było już ustawione, niebo zaczynało się rozjaśniać.

— Za czterdzieści minut będzie już po wszystkiem. Widocznie ojciec nic nie wykrył — szepnął Piédouche.

— Kto wie — pocieszał go Pigache — dotychczas nie widać szefa, powinienby już się stawić. To dobry znak. Dopóki jego nie ujrzymy, dopóty można mieć nadzieję.

— Nadzieję! — rzekł Piédouche z goryczą. — Patrzaj, kat wyjmuje zegarek, coś szepce do swego pomocnika... zbliża się do komisarza cyrkułowego.

— Mówi mu zapewne, że się szef opóźnia... Powiadam ci, że to dobry znak.

— Gdzie tam... Spojrzyj, widzisz... pod murem... Roquette... idzie nasz naczelnik... za nim ksiądz... Pan Lecoq niema już syna — jęknął Piédouche.

— To jednak dziwne, że zbliżają się od strony przeciwnej — mruczał Pigache. — A i ksiądz inny... To nie jałmużnik... Jacyś trzej mężczyźni idą za nimi.

— Zapewne pisarz sądowy, sędzia śledczy...

— Wchodzą... już weszli...

— Istotnie.

Do więzienia weszło kilku ludzi, a na ich czele szef policyi. Kat spojrzał znowu na zegarek, skinął na swego pomocnika i podszedł do bramy, która niebawem miała się otworzyć na oścież, aby przepuścić skazańca i jego orszak żałobny.

ZAKOŃCZENIE.

Dnia owego, wczesnym bardzo rankiem, po Paryżu rozeszła się wieść zdumiewająca, niesłychana. Po raz pierwszy od lat sześćdziesięciu, rozebrano gilotynę, zanim dokonała swego krwawego dzieła. Sierżanci rozproszyli tłum, oczekujący „na skazańca, powtarzano sobie z ust do ust, że egzekucya uległa zwłoce.

Nazajutrz dzienniki opowiadały o śmierci w płomieniach całej bandy złoczyńców, o odnalezieniu głuchoniemego i bohaterskich wysiłkach ojca Lecoqa. Publiczność obdarzyła całą swą sympatyą ofiarę tych angielskich przewrotności; dziwiono się, że sędziowie mogli popełnić taką omyłkę. Szef policyi nie zaniechał niczego, by odwlec egzekucyę, bo wierzył zeznaniom skazańca, który twierdził, że jest winien śmierci Lheureuse, ale Marya Fassit została zamordowaną przez Tolbiaca. Starania i prośby szefa nie odniosły jednak skutku; tłómaczono w prefekturze, że sprawa miała wielki rozgłos, że morderca należał do sfery uprzywilejowanej i dla tego nie trzeba mu okazywać względów wyjątkowych. Przyjaciel Lecoqa miał jeszcze nadzieję, że ten przywiezie na czas głównego świadka w tej sprawie, wykradzionego podczas procesu. Dotarł on do dworca w kilka minut po odejściu ostatniego pociągu, a kuryerskie nie zatrzymują się na małych stacyach. Musiał biedz do Savigny, budzić spokojne miasteczko, szukając konia i wózka. Wreszcie znalazł je u jakiegoś oberzysty. Wyruszył do Paryża o wpół do jedynastej dopiero; o trzy kwandranse na pierwszą wózek stanął przed prefekturą. Wyjaśnienia trwały krótko. Głuchoniemy przy pomocy księdza spisał jako tako swe zeznania. Świadectwo kapłana było wiarogodnem. Należało jednak uprzedzić władze i wzbudzić w nich to samo przeświadczenie o niewinności skazańca. Ojciec Lecoq dokazał tego, dzięki szlachetnej pomocy przyjaciela. Przed świtem obrońcy Ludwika weszli do jego celi wraz z delegatem najwyższych władz sądowych, upełnomocnionym do wstrzymania egzekucyi. Przesłuchał on raz jeszcze skazańca, skonfrontował go z głuchoniemym i kazał rozebrać rusztowanie na placu Roquette.

Ludwik miał już życie ocalone, chodziło mu jednak o honor i rehabilitacyę zupełną. Powtórne śledztwo przeciągnęło się jeszcze długo; zachodziły rozmaite komplikacye i trudności. Gdyby żył prawdziwy winowajca, wyrok przeciw niemu wydany, uniewinniałby tem samem młodego Lecoqa. Ale Dermott zginął wraz ze wszystkimi uczestnikami tego krwawego spisku. Zeznania zatem musiały dać świadectwo prawdzie; na szczęście zeznań nie brakło. Przy ich pomocy odtworzono całą przeszłość mordercy i jego ofiary. Stwierdzono blizkie stosunki między Tolbiacem a panną służącą, Arabelą Disney. Stwierdzono dalej, że w jego interesie leżało usunąć spadkobierczynię, która za nic na świecie nie chciała go poślubić, oraz dwie siostrzenice majora O'Sullivana. Udowodniono, że Tolbiac vulgo Dermott zawarł układ z pijakiem Atkinsem, zobowiązując się zdobyć dla niego sukcesyą pod warunkiem, że Atkins podzieli się z nim tą olbrzymią sumą i wreszcie wykazano, że bandyci z młyna Yvette byli na żołdzie u Dermotta.

Głuchoniemy opowiedział migami i na piśmie swoją podróż do Paryża w dniu 13-tym stycznia. Tolbiac przywiózł go o zmroku, wprowadził potajemnie do pałacyku przy ulicy de Arbaléte, zamknął w piwnicy, zkąd go wyciągnął o drugiej po północy i kazał mu nieść skrzynię. Przy bulwarze de l'Italie powóz czekał na mordercę i trupa; ten sam powóz służył do wykradzenia Marty Cambremer i Teresy Lecomte. Znaleziono go w wozowni pałacu Sequigny; w stajni były konie, któremi powoził to Chauffaille, to Jakóbek. Te świadectwa i dowody wystarczyły sędziom.

W trzy miesiące po nocy, która miała być dla Ludwika Lecoq ostatnią, opuścił on mury więzienne z głową podniesioną. W ostatnich czasach wolno mu było widywać ojca, a jeśli panna Lecomte nie przychodziła go odwiedzać, to tylko dlatego, że będąc świadkiem w tej sprawie, nie mogła rozmawiać z więźniem.

Wolno było jednak panu Lecoq mówić synowi, że go Teresa kocha i że mu przebaczyła błąd okupiony takim kosztem. Pani Lecomte darowała mu także udręczenia swej córki. Szlachetna panna otrzymywała w spadku miliony majora. Był to jeszcze jeden powód więcej, by pozostać wierną danemu słowu; lecz także powód, dla którego dumny Ludwik zwolnił ją od wszelkich zobowiązań. Był teraz ubogi, albowiem ojciec Lecoq stracił większą część majątku, odgrywając rolę nababa z Bahuru. Czyż potrzebujemy dodawać, że panna Lecomte nie przyjęła zwróconego słowa i że Ludwik był zanadto rozkochany, by trwać niezłomnie przy swem postanowieniu. Pobrali się na początku jesieni w starym kościele w Boulogne. Po ślubie wyruszyli do Włoch. Pani Lecomte połączyła się tam z nimi niebawem.

Lecoq, nie chciał opuszczać swojego mieszkania na Qaui Conti i powrócił do dawnych nawyknień. Zresztą nie brakło mu roboty. Nowożeńcy, przed wyjazdem prosili ojca, by im wyszukał majątek ziemski. Lecoq znalazł go, nabył i odnowił dwór dla swoich dzieci.

Piédouche został leśniczym. Kłusownicy będą się mieli z pyszna. Pigache nie chciał opuszczać Paryża, ale nic na tem nie traci, bo Ludwik Lecoq będzie mu dawał sutą rentę. Chłopcy Piédouche'a chodzą do szkół i wykierują się pewnie na porządnych ludzi.

Głuchoniemy wstąpił do instytutu i dzięki swym niepospolitym zdolnościom wkrótce będzie profesorem swoich towarzyszów niedoli. Małżonkowie Galoupiat, obdarzeni hojnie, sprzedali skład węgli, osiedli w kraju rodzinnym i wciąż zaokrąglają posiadłość ciotki Couvignou.

Cambremer nie jest zwrotniczym. Marta dostaje od swojej kuzynki pięćdziesiąt tysięcy franków rocznej renty. Po powrocie państwa Lecoq zamieszka u nich wraz z ojcem. Ale szczęśliwi małżonkowie zwlekają z powrotem. Spędzili zimę w Serento, a latem przenieśli się nad jezioro Como. Mają córeczkę podobną do obojga.

Życie płynie im jak zdrój czysty. Na niebie ich szczęścia niema ani jednej chmury.

KONIEC.

Kronika.

Już śniegi znikły pod wpływem łagodniejszej aury, nawet lody na Warcie pękły, ale nie zmiękł prokurator i nieubłaganą pozostała policya — konfiskując i zeszły numer „Pracy“. I może dobrze się tak stało, bo pytanie, czyby nie zadrżały Prusy w swych posadach, gdyby oba skonfiskowane numera naszego pisma zamiast pleśnieć w murach policyi, były doszły do rąk czytelników?

Na wieść, że „Pracę“ znów skonfiskowano i że już trzeci redaktor aresztowany — tutejsza żydowska „Posnerka“, stojąca na żołdzie hakaty, aż zawyła z radości mniemając, że teraz już „Praca“ napewno upaść musi, zwłaszcza, że może niejeden czytelnik, nie otrzymawszy ponownie pisma, zniechęci się do dalszego abonamentu. Lecz mam przekonanie do Was, Szanowni Czytelnicy, *że tej uciechy hakacie i żydostwu nie zrobicie,* lecz właśnie przeciwnie, że w tej ciężkiej chwili „Pracy“ nieopuścicie, niezapomnicie o niej, przeciwnie, że tłumnie pośpieszycie na pocztę, by przez zaabonowanie „Pracy“ wywiązać się z obowiązku narodowego, — że w drodze zabierzecie z sobą jeszcze niejednego dobrze myślącego obywatela, — by po pierwszym kwietniu „Praca“ śmiało ogłosić mogła, iż pomimo wszelkich przeszkód, tych ustawicznych rewizyi i nieskończonych indygacyi, pomimo trzykrotnego aresztowania redaktorów i licznych procesów, oraz powtórnych konfiskat i t. d., że pomimo tych wszystkich nawałnic — „Praca“ odradza się jak feniks jeszcze silniejsza, jeszcze liczniejsza, tem serdeczniej witana pod każdą strzechą szczerze polską.

Kiedy już mówię o powodzi hakaty, — narzuca mi się też mimowolnie pytanie, zresztą bardzo na czasie, czy wskutek wezbranej Warty będzie powódź, lub czy jej też nie będzie? Nie chcę się bawić w proroka — dlatego pozostawiam pytanie bez odpowiedzi, natomiast podniosę z uznaniem, że sprawa ogroblenia Warty posunęła się znacznie naprzód, a przez to samo zbliżyliśmy się do tego punktu, w którym powódź w Poznaniu należeć będzie do historyi.

Cieszy to nas bardzo, bo właśnie od powodzi cierpiała dzielnica miasta, najgęściej przez nas zaludniona. Każdy wie, że mówię tu o Chwaliszewie. Ogroblenie Warty i uchronienie miasta od powodzi podniesie też znacznie zdrowotwotność, ponieważ każdy zrozumie, że powódź była przyczyną, iż mury domów dolnej części miasta nasiąkały wilgocią — z wilgoci zaś wytwarzała się stęchlizna i zgnilizna.

Ponieważ rozpocząłem już rozbierać stosunki miasta Poznania, nie mogę pominąć milczeniem, że niezadługo miasto nasze będzie miało pomnik Bismarka. Tak jest! Sejm prowincyonalny uchwalił pewną kwotę na pomnik, a polscy deputowani słusznie piśmienny przeciwko temu wnieśli protest.

Stawianie pomnika Bismarkowi w grodzie Przemysława, w stolicy Wielkopolski, jest ciężkim policzkiem wymierzonym polskości. To też oburzenie jest ogólne i słuszne!

Inicyator walki kulturnej, twórca komisyi kolonizacyjnej, wyznawca hartmanowskiej idei: „ausrotten“, ojciec hakatyzmu ma stanąć w grodzie, w którym mają swe pomniki założyciele Królestwa Polskiego, krzewiciele chrześciaństwa, Mieczysław i Bolesław, czyż to nie jest bezwzględnością najwyższą wobec nas? I wobec takiej bezwzględności dziwią się Niemcy, że gorycz w sercach naszych rośnie i znajduje upływ w ostrych artykułach.

Lecz znośmy cierpliwie te dopusty Boże, znać nie dosyć jeszcze cierpieliśmy za dawne błędy.

Rzucam zasłonę na tę smutną sprawę i z sercem rozbolałem wybiegam za miasto, aby zaczerpnąć powietrza, aby orzeźwić się widokiem naszych łanów i pól.

Tak byłyby one nasze w rzeczywistości, gdyby nie było się znalazło tylu lekkomyślnych i niewdzięcznych synów tej ziemi ojców świętej.

Kto czytał memoryał komisyi kolonizacyjnej, przekonuje się, ile to ziemi zaprzepaściliśmy — bo niechaj nikt się nie tłomaczy, że go konieczność zmusiła do sprzedaży ziemi. Tę konieczność wywołała niezaradność, lekkomyślność i brak zrozumienia obowiązku obywatelskiego.

Na polach jeszcze smutno. Oziminy niekoniecznie się przedstawiają dla strapionego rolnika.

Żyto zaczyna się nieco zielenić, „ruszyło się“, ale pola pszenicą obsiane całkiem jeszcze martwe. Mówią wprawdzie, że do świętej Trójcy nie zaglądaj do pszenicy, lecz przezorny rolnik już dziś bada, czy pszenica przetrzymała ostrą i z początku bezśnieżną zimę.

Z różnych stron donoszą, że szczególnie ucierpiały angielskie pszenice. Gatunki już u nas zaaklimatyzowane lepiej wyszły z zimy, ale bez obaw na nie patrzeć nie można, bo zwiędły, żółty kożuch, lub całkiem czarne miejsca, widniejące na polach, nie wróżą zbyt pomyślnie.

W zeszły poniedziałek i wtorek Poznań niezwykłą miał cechę.

Setki włościan przybyły na zebranie Kółek rolniczych. Ogorzałe ich twarze dziwnie odbijały od wybledzonych oblicz mieszczuchów, a dziarskie ich postacie korzystne robią wrażenie.

Jest siła w tem włościaństwie naszem i fizyczna i duchowa.

Spojrzeć trzeba tylko z uwagą w otwartą męską twarz naszego włościanina, zajrzeć trzeba mu głęboko w oko, aby się przekonać, że tam rozwagi dużo i sporo sprytu, nie mówiąc już wcale o słynnym „owczarskim rozumie“. Wielkie nadzieje pokładamy w naszym stanie włościańskim, i ziści je też ten stan, jeżeli zachowa swe gorące przywiązanie do wiary i ojców mowy, a wyrzeknie się kilku przywar, które jeszcze każą jego z gruntu zdrową duszę. A do tych przywar zaliczam pociąg do kieliszka, *dziwną słabość do żydostwa* i pieniactwo. Przywary te nie tak już silnie wystąpiły jak dawniej, ale całkiem nie zanikły jeszcze.

W następny wtorek odbył się w Bazarze obiad na cześć starszego Patrona, p. Maksymiliana Jackowskiego.

Na tem kończę mą dzisiejszą kronikę z upłynionego tygodnia, kończę z gorącym apelem do Was, Szanowni Czytelnicy, *byście niezapomnieli odnowić przedpłaty* na „Pracę“ Ale nie przestańcie już na tem, lecz przemówcie jeszcze za „Pracą“ przy każdej Wam się nadarzającej sposobności, przy pogawędce, w towarzystwie, w kółku rodzinnem, zachęćcie przyjaciela, krewnego i t. d. do abonamentu „Pracy“. *Dopominajcie się też „Pracy“ w każdym lokalu,* — zwróćcie gospodarzowi lokalu uwagę na to, by nie zapomniał o „Pracy“ zwłaszcza teraz na kwietnia... Mam ufność w Was, Szanowni Czytelnicy, że dzięki Waszej zapobiegliwości przedwczesna radość hakaty i żydostwa nietylko, że się nie ziści, że wskutek podwójnej konfiskaty abonentów „Pracy“ nietylko że nie ubędzie, ale że z nowym kwartałem powitam zastęp czytelników „Pracy“ *w zdwojonej liczbie.*

Więc do dzieła... *Acer.*

Od Redakcyi.

Kwartał się kończy i przedpłata na „Pracę“ na nowy kwartał otwarta.

Spoglądając na te ubiegłe trzy miesiące naszej pracy politycznej i publicystycznej doznajemy uczucia ulgi, żeśmy w pewnej mierze przyczynili się do wyświetlenia w dyskusyi publicznej kilku ważnych spraw, z których każda koncentruje uwagę ogółu. Sprawy, jakim w ubiegłym kwartale poświęciliśmy szczególną uwagę były:

Sprawa zespolenia ludu polskiego pod całym zaborem pruskim bez względu, czy lud ten mieszka na Ślązku, czy w Księstwie lub w Prusach. Zniesienie sztucznie wytworzonych przegród pomiędzy Śląkiem a Księstwem — ku tem silniejszej i jednolitszej obronie interesów polskości.

Sprawa wychodźtwa polskiego w Niemczech.

A wreszcie:

Sprawa germanizacyi przez kościół.

Te oto trzy sprawy, siłą rzeczy wysuwające się dziś na front dyskusyi publicznej, zostały w naszem piśmie rozstrząsane zarówno z zasadniczego, jak i praktycznego stanowiska.

Sprawie śląkiej poświęciliśmy już niejeden artykuł — a numer niniejszy poświęcamy jej przeważnie. Nie porzucimy podjętego tematu w pół drogi, lecz raczej tem żywiej interesować będziemy opinię publiczną do spraw tych, im bardziej zbliżać się będą wybory, a gdy te nadejdą, to przecież z braćmi Ślązakami zawołamy: „Górą nasza“, gdy kilka mandatów z rąk obcych w ręce polskie przejdzie.

Żeśmy sprawom wychodźtwa poświęcali wiele miejsca, o tem Czytelnicy wiedzą najlepiej, bo działo się to nieraz niemal z uszczerbkiem dla spraw kraju.

Obok tych kilku spraw nasuwa się

obecnie cały szereg wysoce aktualnych przedmiotów, które omówić nam trzeba będzie. Ale bez względu na przedmiot, któremu będziemy więcej poświęcali uwagi, myśl przewodnia zawsze przyświecać nam będzie ta sama. Zawsze stać będziemy, jak dotąd, na gruncie narodowym, na gruncie walki o moralne i materyalne podniesienie naszej Ojczyzny. W myśl programu tego *zwalczać będziemy wszelką politykę ustępstw,* bo na ustępstwa ci tylko decydować się mogą, co się pogodzili z istniejącym stanem rzeczy.

A dalej, stojąc na gruncie narodowej idei, stać będziemy twardo przy idei demokratycznej, gdyż ta idea na równości wszystkich klas opiera przyszłość narodów, ona każe obywatela szanować w każdym człowieku, czy to robotnik, czy wyrobnik, czy kmieć, lub szlachcic; — ona nie prowadzi do wywoływania antagonizmów klasowych, do zrównania wszystkich warstw wobec ideałów narodowych.

Przełom społeczny, dokonywający się obecnie u nas, przenosi punkt ciężkości z warstw wyższych na średnie i niższe.

Ustępowanie związanej z tradycyą historyczną warstwy szlacheckiej powinno się dokonywać bez waśni, a jeśli się ma już dokonać, to niechaj przyjdzie w ten sposób, aby na miejsce ustępującej inteligencyi rodowej przychodziła „ładnie i składnie“ warstwa inteligencyi pochodzącej z ludu.

Unikania walk wewnętrznych nakazuje nam fakt, że całych sił potrzebujemy, aby nie dać się pożreć smokowi germańskiemu.

Czytelnicy nasi, biorąc numer naszego pisma do ręki, wiedzą, czego się mają spodziewać: mają w „Pracy“ pismo w pełnem tego słowa znaczeniu niezależne, nie stojące na gruncie żadnego stronnictwa, nie zamykające tendencyjnie oczu na niczyje wady: *gdy chodzi o sprawę pnbliczną, dla nas niema osobistości tak wysoko postawionych, którymbyśmy śmiało i otwarcie nie wypowiedzieli słów krytyki,* — jędrnej, dosadnej, nie obwijającej prawdy w bawełnę.

Idziemy naprzód, nie troszcząc się o przeszkody, jakie nam swoi i obcy kładą na drodze: ożywia nas przekonanie, że to zaufanie Czytelników, którzy w złej lub dobrej doli zawsze otaczają pismo nasze poparciem i zaufaniem, i nadal towarzyszyć nam będzie.

Czytelnicy! Jeśli dziś pod koniec kwartału zwracamy się do Was z prośbą o poparcie, to dzieje się to raczej przez wzgląd na przyjęty przez nas zwyczaj, niż z istotnego przekonania, że Wam trzeba przypominać obowiązek popierania „Pracy“. — Wszak przed tygodniem dopiero, gdy prokuratorya pozbawiła nas powtórnie całego nakładu, pisali do nas czytelnicy: „Ten arkusz, zawiadamiający o konfiskacie mówi do nas więcej, niżby w całym zeszycie „Pracy“ można było zamieścić“...

My się więc na wzajem rozumiemy. A jeśli tak jest, to niechajże każdemu z naszych przyjaciół teraz zwłaszcza pod koniec kwartału stanie na myśli ten cały szereg rewizyi, konfiskat, aresztowań, i znowu rewizyi, i procesów, i więzień, — a zapewne każdy weźmie w rękę zeszyt „Pracy“ i podąży do znajomego, i powie mu: „Masz, czytaj. Polecam ci to pismo. W każdym numerze znajdziesz dowód, że naród polski żyje!“

A gdy tak Czytelnicy nasi powiedzą swym znajomym, wtedy my poświadczymy, że zrozumieli ducha naszego pisma.

Redakcya „Pracy“.

W stosowną porę, bo w chwili, gdy żydostwo przez usta swoich wybitniejszych przedstawicieli w Poznaniu ogłasza swój „patryotyzm (?)“ polakożerczy i czarną niewdzięcznością odpłaca polskości za doznawane w pomyślniejszej dobie łaski i dobrodziejstwa, przygotowujemy do druku niezmiernie zajmującą, piękną, oryginalną powieść, nadesłaną nam przez jednego z wybitniejszych obywateli galicyjskich, a noszącą tytuł:

„Antysemityzm“.

Autor, ukrywający się pod imieniem ***Romana Srzeniawity,*** *nakreśla nam w zajmującej osnowie powieściowej mnóstwo barwnych obrazów, w których się odzwierciedla wiernie żydowski wyzysk, chytrość i chciwość lichwiarska, której już tylu naszej szlachty, włościan i mieszczan padło ofiarą. Charakter pijawek, tak znamienny dla żydostwa, żywo się zarysowuje w tej powieści na tle stosunków galicyjskich i przypomina nam nieprzeliczone szkody materyalne i moralne, zadane przez żydów społeczeństwu wielkopolskiemu także.*

Po patryotyczno-pruskich frazesach p. Jaffego, który — jak całe zresztą żydostwo w dzielnicach naszych, uważa za rzecz zupełnie godziwą, że po rozbiorze Polski żydzi poznańskiej dzielnicy stali się na doczekaniu patryotami pruskimi, ***jest bardzo na czasie zapoznać się głębiej*** *z istotą semicką, niebezpieczniejszą dla nas niż hakatyzm. Czas wielki zabrać się łącznie, zbiorowemi siłami, a rozumnie i wytrwale do obrony, wyzwalając się zupełnie z pod żydowskich wpływów i zrywając wszelkie z tem niewdzięcznem plemieniem, a niestety jeszcze liczne handlowe stosunki.*

Dla dobra sprawy polskiej, której żydzi — jak sami z dziwnym cynizmem głoszą — życzliwymi być nie potrafią, puszczamy w świat tę powieść, jako zdrowe, rzetelne ziarno wyobrażenia o naszych żydowskich pijawkach.

Druk powieści rozpoczniemy już w przyszłym numerze. *Redakcya.*

Czas największy zapisać

„PRACĘ“

na nowy kwartał.

W obrębie państwa niemieckiego jest *każda poczta i każdy listowy tak na wsi jak i w mieście zobowiązany* każdego czasu do przyjęcia abonamentu, który wynosi na kwartał

tylko 1 markę 25 fenygów.

„Praca“ zapisaną jest teraz na poczcie w spisie gazet na rok 1901 pod rubryką: **Abtheilung II t. poln. Nr. 103.**

Uwaga! Przy zamówieniu na poczcie winien każdy wyraźnie zaznaczyć, że pragnie zaabonować „Pracę“ z Poznania.

☞ Już wielkanocny numer „Pracy“ pięknie illustrowany i nadzwyczaj obfity w doborową treść, przeniesie wartość abonamentu.

Szanownych Czytelników *w Galicyi*

i wogóle w Austro-Węgrzech prosimy uprzejmie o łaskawe spieszne nadesłanie abonamentu na nowy kwartał w ilości

2 kor. 30 hal.

wprost do Administracyi „Pracy“, albo też o zaprenumerowanie naszego pisma na tamtejszej poczcie, w którym to razie abonament uczyni

tylko 1 kor. 47 hal.

Kto wcześnie i to natychmiast „Pracy“ nie zapisze, ten nie otrzyma pięknego numeru wielkanocnego!

Premia.

Kto zjedna choćby tylko jednego abonenta i nadeśle odnośny kwit abonamentowy wraz z własnym kwitem, ten otrzyma tytułem premii, więc *bezpłatnie*

ładną książkę.

Nadzwyczajna premia.

Każdy z Czytelników, który nam zjedna dwóch nowych abonentów i udowodni to kwitami pocztowemi, otrzyma jako premią

piękną powieść historyczną

w trzech tomach,

lub też inne piękne książki.

Premie otrzymają tylko ci abonenci, którzy pozyskali innych nowych abonentów, ci zaś abonenci, którzy zapisali tylko sobie „Pracę“, nie mają prawa do premii.

Początek bardzo zajmującej powieści pod tytułem

„Antysemityzm“

której druk rozpoczniemy w następującym numerze dostarczymy każdemu nowo przybyłemu abonentowi za nadesłaniem na porto znaczka listowego, dziesięciofenygowego.

Wszystkich tych Czytelników, którzy reklamują u nas zaległe numery „Pracy“, upraszamy o przysłanie na porto znaczka listowego dziesięciofenygowego.

Zwracamy uwagę, że druk numeru kończy się w czwartek, najpóźniej w środę nadesłane muszą być inseraty, które do najbliższego numeru wejść mają.

Numery okazowe wysyłamy na żądanie bezpłatnie.

Czytelnicy! Nie opuszczajcie „Pracy“ w tej ciężkiej godzinie! Dajcie dowód zdwojonej energii i siły! Z wytrwałością rozszerzajcie pismo nasze, przysparzajcie nam nowych czytelników. Mamy tę ufność i wiarę w Was, że z tej burzy co się nad nami rozszalała teraz, wyjdzie „Praca“ zwycięzko i obcym zaimponuje liczbą swych zwolenników!

Prosimy usilnie wyciąć kwit abonamentowy i podać go znajomemu, z gorącą zachętą do przedpłaty. — Niech „Praca“ znajdzie przystęp do każdego domu! Niechby sobie każdy z Czytelników poczytał za obowiązek pozyskania choćby tylko jednego nowego abonenta, a byłoby to najlepszą i najgodniejszą odpowiedzią za nasze cierpienia.

Czytelnicy! Liczymy na Wasze poparcie.

Czas największy zapisać

„Czytelnię Polską“

na bieżący kwartał

„CZYTELNIA POLSKA“ zapisaną jest na poczcie w spisie gazet na rok 1901 pod rubryką: „Abtheilung II t. poln. 14.“

Abonament „Czytelni Polskiej wynosi kwartalnie

60 fenygów.

W Galicyi i wogóle w Austro-Węgrzech

72 hal.

Pod opaską: kwartalnie 1,10 mrk. czyli 1 koronę 32 hal.

Baczność! Kwity abonamentowe pocztowe na „Pracę“ zamieszczone są na pierwszej stronie pod okładką.

Wiadomości.

W tej chwili odbieramy od tutejszej dyrekcyi policyi uwiadomienie, że część skonfiskowanych arkuszy z Nr. 11-go — **możemy znów odebrać z powrotem.**

Ciekawi jesteśmy po co te arkusze wogóle nam pobrano i narażono nas na tak dotkliwe straty? Dziś naturalnie te z powrotem oddane arkusze nie mają dla nas żadnej a żadnej zgoła wartości. To też wszelkich strat dla nas ztąd wynikłych dochodzić będziemy na drodze prawnej.

Ba, nawet czcionki zabrano nam z drukarni, czego prawo również niedozwala.

Prawo prasowe wyraźnie dozwala konfiskowanie tylko tych arkuszy, w których znajduje się oczywiście artykuł inkryminowany. Przy konfiskacie zwróciliśmy też funkcyonaryuszom policyi na to szczególniejszą uwagę, jako też na ztąd wynikłe, a nie obliczalne straty, lecz daremnie. Policya pobrała wszystko, nawet obrazki i okładzinkę osobno leżącą — a przez to zniszczono nam tysiące arkuszy papieru, ustawiania i druku, straciliśmy dwurazowy dochód z inseratów a nadto, czytelnicy narażeni zostali na utratę numeru. Sprawa ta oprze się jeszcze o parlament i sejm, dokąd wystosowaliśmy energiczny protest.

Swoją drogą postępowanie sądowe z naszej strony naprzeciwko sposobowi konfiskaty i o odszkodowanie już wdrożone i ciekawi jesteśmy na rozstrzygnięcie tego procesu.

Wielka prośba do Czytelników naszych. — Z powodu rewizyi, konfiskat i t. d. pozbawieni nawet zostaliśmy numerów „Pracy“ z bieżącego ćwierćrocza, które potrzebujemy do naszego kwartalnika, jako dokumentu redakcyjnego. Upraszamy zatem naszych Przyjaciół-Czytelników, aby nam zechcieli nadesłać zbyteczne numery z bieżącego kwartału, za co wywdzięczymy im się w inny sposób.

Szanownym Czytelnikom donosimy uprzejmie, iż agenturę „Pracy“ i „Czytelni Polskiej“ na Zabrze i okolicę na Górnym Slązku otworzyliśmy *u p. Aleksandra Glachuta w Dorocie p. Zabrze ul. Polna Nr. 6.* — Prosimy „Pracę“ tam sobie zaabonować. — Nadmieniamy, że u p. Glachuta można także otrzymywać numery okazowe „Pracy.“

Kursa rysunkowe dla młodzieży rzemieślniczej, urządzone przez tutejsze Towarzystwo Przemysłowe, odbywają się pod przewodnictwem jednego z tutejszych architektów co wtorek i piątek wieczorem od godz. 8 do 10 w lokalu przy ul. Szkólnej pod nr. 6 na II piętrze. Faktem jest, że pomyślność wielu działów rzemiosła zawisła w znacznej mierze od biegłości w rysunkach. To też zachęcamy gorąco do korzystania z owych kursów. Wiadomości o nich należy szerzyć po warsztatach i w Towarzystwach. — Nauka jest bezpłatna.

Szanownym Czytelnikom naszym zwracamy uwagę na ogłoszenie na ostatniej stronie pp. **Klarowicza i Marcinkowskiego**, którzy przy *placu Piotra 2 „Drogeryą pod Kotwicą* od p. J. Kollata objęli. Zasadą tych panów jest, zawsze *jaknajlepsze* towary mieć na składzie i takowe po *możliwie tanich* cenach oddawać, ażeby przez to sobie jak najliczniejsze grono szanownych odbiorców zjednać i w ten sposób mały zysk większym obrotem powetować.

Z naszej strony młodym przedsiębiorcom „Szczęść Boże.“

Restauracyą „Bavaria“, dawniej Kobylepole w Poznaniu przy placu Wilhelmowskim nr. 5, przejął na własność p. Stanisław Rychlicki. Szczęść Boże rodakowi!!

Lubownikom zdrowotnych owocowych nalewek i likworów zwracamy baczną uwagę na ogłoszenie zamieszczane stale w „Pracy“ zaszczytnie znanej fabryki wódek pp. Marczyńskiego i Klóskowskiego w Poznaniu, przy ulicy Berlińskiej nr. 15-ty, premiowanej na wystawie przyrodniczo-lekarskiej w Krakowie, wielkim złotym medalem za znakomite nalewki.

Wobec zalewu właśnie na tem polu przemysłu rodzinnego u nas przez firmy obce, przeważnie żydowskie, powinniśmy potrzeby nasze zaopatrywać tylko u firm polskich, a w pierwszym rzędzie u tych, których znakomite wyroby ogólne zjednały sobie uznanie. Do firm takich należy firma powyżej wzmiankowana, którą ze względu na nadchodzące święta polecamy uwadze Szanownej Publiczności.

Mistrz stolarski, p. S. Wiśniewski w Poznaniu przy ulicy Półwiejskiej nr. 26 w sklepie przyjmuje zamówienia na wszelkie wyprawy budowlane i meblowe po tanich cenach. Bliższe szczegóły podane są w odnośnem ogłoszeniu.

Pan Aug. Denizot, właściciel renomowanych i medalami na różnych wystawach ozdobionych Szkółek w Poznaniu na św. Łazarzu przy ul. Kolejowej 45 poleca różne drzewa, krzewy ozdobne i owocowe, wysadki na żywopłoty i t. d. Ilustrowane cenniki rozsyła na żądanie gratis i franko, (patrz inserat.)

Na chleb św. Antoniego nadesłał p. Tomasz Kujawa z Blumenthalu 3 mr. Razem na ten cel zebraliśmy 5,35 m. Dalsze składki przyjmujemy chętnie.

Na Czytelnie ludowe nadesłało Towarzystwo śpiewu w Ostrowie 3 m. 40 fen. Dotąd zebraliśmy na ten cel 13 m. 40 fen.

Dalsze składki chętnie przyjmujemy.

Na odbudowanie wieży na Jasnej Górze złożyli w dalszym ciągu pp. J. Bartkowski z Wyganina, Pr. Zachodnie, 5 mrk., A. Nawrocka z Wschowy 5 mrk., Helena Petras 10 mrk., Józefa Apelkowska z Kruświcy

2 m. Dotąd zebraliśmy na cel powyższy 419 mrk. 10 fen. Dalsze datki chętnie przyjmujemy.

Szpital Dziecięcy św. Józefa w Poznaniu. — W zakładzie tym pozostającym pod zarządem i opieką Sióstr Miłosierdzia udzielono w roku ubiegłym pomocy lekarskiej 5872 dzieciom (w r. 1899—5086). Podstawę materyalną istnienia szpitalika tworzą jak dawniej tak i teraz zapomogi sejmu prowincyonalnego i sejmików powiatowych. — Miejsce p. dr. Drobnika, który od r. 1890 pełnił z wielką gorliwością służbę lekarza ordynującego przy oddziale chirurgicznym, a z powodu objęcia posady naczelnego chirurga przy lazarecie miejskim był zniewolony ustąpić, zajął p. dr. Pomorski. Na stacyi dla chorób wewnętrznych ordynuje pan dr. Krysiewicz. — Bezinteresownie udzielają pomocy szpitalikowi pp. dr. Stark, specyalista w chorobach skórnych, dr. Stasiński, zajmuje się choremi na oczy, a dr. Bolewski opiekuje się choremi na uszy.

Dochód wynosił w r. 1900—11,884,46 mrk., rozchód włącznie deficytu z roku 1899—17,854,87 mrk. — pozostaje na rok 1901 w kasie deficyt w wysokości mrk. 5,970,41 mrk. — Do kuratoryum szpitala św. Józefa należą pp. poseł W. Jerzykiewicz, poseł radzca L. Mizerski, (w miejsce zmarłego śp. posła Mottego) i ks. kanonik Pędziński. — Przełożoną zakładu jest Siostra Irena Łuszczewska.

Sprawozdanie Dyrekcyi Towarzystwa Pomocy Naukowej im. K. Marcinkowskiego za rok 1900. — Członków składkujących było w r. ubiegłym 4,498. — Z składek zwyczajnych wpłynęło do kasy Towarzystwa 26,187,15 mrk., składek nadzwyczajnych 10,704,10 mrk., procentów 33,950,40 mk. Zysk na efektach przy zakupnie 996,75 mrk., fundusz dyspozycyjny z r. 1899—17,095,38 mrk., razem wynosi dochód 88,933,78 mrk. — Rozchód przedstawia się jak następuje: stypendyatom wypłacono 65,499,50 mrk., koszta biura Dyrekcyi i komitetów 3,993,45 mk., procentów wypłacono 2,859,10 mk., stępla spadkowego 40 mrk., razem 82,342,05 mrk. — Pozostałoby funduszu dyspozycyjnego na r. 1901—16,591,73 marek. Z udzielonych stypendyów korzystało 453 młodzieńców. — Fundusz żelazny Towarzystwa wraz z funduszem dyspozycyjnym na r. 1901 wynosi 950,535,77 marek.

Do komisyi rewizyjnej należą pp. dr. Buski, dr. Kusztelan, St. Krysiewicz, dr. W. Łebiński i Jarosław Leitgeber.

Do składu Dyrekcyi należały w roku 1900 następujące osoby: 1) Hr. Mieczysław Kwilecki, prezes. 2) Ks. kanonik Echaust, wiceprezes. 3) Radzca sanitarny, dr. Zielewicz, sekretarz. 4) Poseł W. Jerzykiewicz, podskarbi. 5) Szambelan S. Cegielski. 6) Ks. kanonik dr. Dziedziński. 7) Radzca sprawiedliwości Głębocki. 8) Dr. Stanisław Jerzykowski. 9) Ks. kanonik Pędziński. 10) Ks. prałat Wawrzyniak. 11) Ks. prałat Woliński. 12) Wicemarszałek hr. T. Żółtowski. 13) Hr. Józef Mielżyński † 14) Prof. Ludwik Jakowicki † 15) Radzca dr. Klemens Koehler †

Dyrekcya odbyła w r. 1900 posiedzeń 32 we wtorki po 1 i 15 każdego miesiąca, a nadzwyczajne posiedzenia wedle potrzeby. Dziennik registratury wykazuje w tym roku 1971 numerów, z których większa część przypada na korespondencye z władzami, instytutami naukowemi, członkami towarzystwa, młodzieżą wspieraną, lub jej rodzicami i opiekunami, reszta zaś przypada na korespondencye z komitetami. Akt ogólnych i osobistych było według sprawozdania za rok 1899 w końcu tegoż roku 4127, w ciągu r. 1900 przybyło 134 — jest ich więc z końcem 1900 r. 4261.

Adres dyrekcyi: Poznań, św. Marcin 27. Adres Kasy Głównej: Poseł W. Jerzykiewicz, Poznań, Lipowa ul. 7.

Wiec w Gniewkowie. W poniedziałek, dnia 25-go bm. w święto Zwiastowania N. M. Panny, o godzinie 2 giej po południu, odbędzie się w **Gniewkowie** na sali p. R. Witkowskiego **Wiec polski**, na który najuprzejmiej zapraszamy wszystkich rodaków z Gniewkowa, z bliższej i dalszej okolicy.

Porządek obrad: 1. Zagajenie wieca przez prezesa Komitetu. 2. Wybór przewodniczącego, sekretarza i ławników na dzień wieca. 3. Sprawozdanie posła p. dr. **Krzymińskiego**. 4. „O wychowaniu młodego pokolenia na dobrych obywateli.“ (Ref. jeden z mieszczan Gniewkowa.) 5. „Samopomoc i obrona prawna.“ (Ref. red. Maćkowski z Inowrocławia.) 6. „O miłości ziemi ojczystej.“ (Referent jeden z zamiejscowych gospodarzy.) 7. Wolne głosy, protesty i rezolucye.

Komitet miejski.

20,000 wysadków szparagowych w najlepszych gatunkach i truskawki ma na sprzedaż zakład ogrodniczy I. Witkowskiego w Łąkie p. Rottenburg a/Obra. Cennik wysyła się za nadesłaniem znaczka 10-cio fenygowego. (Patrz ogłoszenie).

Wolsztyn, dnia 7-go marca 1901. W dniu 5-ym b. m. posłałem na tutejszy urząd pocztowy 2 przekazy z następującymi adresami:

a) Szanowna Redakcya „Pracy“
Poznań (Posen).

b) Wielmożny Pan Wład. Chosłowski
Skarbnik Związku Tow. Przemysłowych
Poznań (Posen)
Ul. Wrocławska 13.

które tutejszy urzędnik pocztowy nie przyjął, z tem nadmienieniem, iż takowe muszą być w niemieckim języku pisane. Posłałem niezwłocznie zażalenie do naddyrekcyi pocztowej w Poznaniu, o którego wyniku swego czasu Szanownej Redakcyi doniosę.

Z szacunkiem
St. Miedziński.

Od Redakcyi.

Panu Wacławowi G. w Żerkowie. Kontrakt może być stęplowany, stępel płaci się od czasu objęcia dzierżawy.

P. Ludwik Mazur Rzeszów. Prosimy raz jeszcze udać się listownie do p. Wiśniewskiego w M., a jeżeli ten pieniądze odebrał, z pewnością życzoną książkę nadeśle.

P. Gubrynowicz & Schmidt Lwów. Nr. 28 „Czytelni Polskiej zupełnie wyczerpany.

P. J. Dywicki Świecie. Numery „Pracy“ z r. 1899 wyczerpane.

A. W. 22 Poznań. Nic nam o takim zakładzie nie wiadomo.

Pan Kazimierz Pierzch. Pańska Korespondencya była w opracowaniu już umieszczona. Wysyłamy numery okazowe i prosimy rozdać między znajomych. Serdeczne pozdrowienia.

Pan Wł. Chr. w G. Owszem, prosimy bardzo: za słowa życzliwości i zachęty dziękujemy serdecznie.

Panu Wł. W. w Poznaniu. Za łaskawą uwagę Bóg zapłać, postaramy się i zamieścimy w streszczeniu.

Redakcyi „Szkólnictwa“ w Nowym Sączu. Księgarnia A. Cybulskiego w Poznaniu.

Szczęsnemu Ostoji. Dziękujemy, zamieścimy.

Panu E. H. w G. Najuprzejmiej dziękujemy, zrobiliśmy według życzenia.

Panu Mateuszowi D. Serdecznie dziękujemy, zamieścimy w następnym numerze.

Panu St. Kr. w Ostrzeszowie. Ze względów prasowych nie możemy zamieścić.

Panu P. P. w Zahna (prow. Saska). — Książkę odpowiednią nabyć można w Księgarni Katolickiej w Poznaniu, Stary Rynek. Co do zaabonowania „Pracy“ masz Pan dołączone karty abonamentowe do dzisiejszego numeru.

Panu J. Z. Kop. w Gołuchowie. — Będzie zamieszczony, ale prosimy jeszcze o trochę cierpliwości.

Panu A. G. w O. Artykuł z powodu częstych rewizyi policyjnych zaginął.

Za redakcyą odpowiedzialni:
Bolesław Rakowski z Poznania od strony 275 do włącznie 292 (pierwsze $2^1/_2$ arkusza) i od strony 305 do 309 (ostatni arkusz).
Teofil Bestyński z Poznania od str. 289 do 304 (2 środkowe arkusze).

Za wszelkie reklamy i ogłoszenia odpowiedzialnym jest administrator „Pracy“ **Wincenty Szmytkowski**.

Ostatnia wola. Pewien młody człowiek, po zaręczynach, zaczął wygłaszać swoje żądania w obecności narzeczonej i jej matki:

— „Żądam, ażeby ślub odbył się o jedenastej zrana; podczas uczty weselnej ponna grać orkiestra Górskiego. Uczta ma się odbyć w sali hotelu francuskiego. Naturalnie zaraz po ślubie, udamy się do Paryża..."

— Wiesz, Zosiu! — rzecze matka do narzeczonej, po wyjściu jej przyszłego męża: — twój gaguś ma kosztowne zachcianki!

— Dajmy mu spokój, mateczko, — odpowie panna z uśmiechem, pełnym złośliwości: — to jego ostatnia wola!

Naiwność dziecięca.

Guwernantka:

— Powiedz mi Karolko, czy mnie kochasz?

Karolka: A tak.

Guwernantka:

— A dla czego mnie kochasz?

Karolka: Ponieważ w katechizmie stoi, że powinniśmy kochać naszych wrogów.

Tajemnica.

— Powierzyłabym panu jednę rzecz; ale daj mi pan słowo honoru, że zatrzymasz to przy sobie.

— O pani! jeżeli to pieniądze, to z pewnością.

Dziwne powietrze.

— Chodź, wstąpimy tu na piwo.

— Nie pójdę, w tej restauracyi obrzydliwe powietrze.

— Jakto? onegdaj mówiłeś, że to jest jedna z najprzyzwoitszych restauracyi.

— Tak, ale wczoraj od gospodarza pożyczyłem tam 10 marek.

Nie złe pojęcie.

Chłop (który pierwszy raz prowadzi dopiero proces, mówi do swego adwokata):

— Bo to uważa pan, ja jestem rzetelny i poczciwy człowiek... ja w mojem życiu nigdy jeszcze adwokata nie potrzebowałem.

Praktyczny ojciec.

— Podobno syn pana Samuela ma się kształcić w zawodzie handlowym?

— A tak, oddam go na praktykę do firmy Geldhaber et C-o.

— Niech pan Samuel tego nie robi, firma ta lada dzień zrobi krach.

— Nu, co to szkodzi, niech się i tego nauczy.

Przed wyborami.

— No, panie Jacenty, dajta się wybrać na wójta.

— Na żaden sposób nie mogę, tak jestem przyzwyczajony do kamaszy, że nie mógłbym nosić buta z cholewą.

— A cóż to ma do wójtowstwa?

— Zdaje się aszeci!... a gdzieżbym nosił pieczęć i klucz od kasy?...

Czas największy odnowić przedpłatę na poczcie!

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i podać znajomemu z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserl. Postamt für das beg. Vierteljahr die in Posen erscheinende Wochenschrift

„P R A C A“

(Abtheilung II. t. poln. Nr. 103 der Zeitungspreisliste)

für 1,25 Mark.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 1,25 M, erhalten zu haben bescheinigt

.............................., den ....

Kaiserl. Post ....

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i podać znajomemu z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserl. Postamt für das beg. Vierteljahr die in Posen erscheinende Wochenschrift

„P R A C A“

(Abtheilung II. t. poln. Nr. 103 der Zeitungspreisliste)

für 1,25 M.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 1,25 M. erhalten zu haben, bescheinigt

.............................., den ....

Kaiserl. Post ....

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i podać znajomemu z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserl. Postamt für das beg. Vierteljahr die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca“

(Abtheilung II. t. poln. 103 der Zeitungspreisliste)

für 1,25 M..

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 1,25 M. erhalten zu haben bescheinigt

.............................., den ....

Kaiserl. Post ....

Prosimy odciąć.